

POLSKIE TOWARZYSTWO AFRYKANISTYCZNE

AFRYKA

WYDANIE SPECJALNE/2012

SZCZECIN



Polskie Towarzystwo Afrykanistyczne

Zarząd Główny

Adres do korespondencji

także w sprawie nabywania egzemplarzy „Afryki”

Katedra Języków i Kultur Afryki UW

00-927 Warszawa, Krakowskie Przedmieście 26/28

e-mail: peteafr@gmail.com

www.ptafr.org.pl



Rachunek bankowy:

PKO BP SA XIV O/Warszawa

76 1020 1156 0000 7802 0050 6345

Redakcja:

Jacek Łapott

Ewa Prądyńska

Marta Tobota

ISSN-1234-0278

Na okładce:

Plakat III Kongresu Afrykanistów Polskich,
Szczecin 2012

projekt: Agnieszka Konior

Opinie wyrażone w tekstach autorskich na łamach „Afryki”
nie powinny być utożsamiane ze stanowiskiem władz PTAfr
lub zespołu redakcyjnego.

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń
reklamowych.

Nakład: 250 egz.

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
<i>Małgorzata Szupejko</i>	
Nota o Polskim Towarzystwie Afrykanistycznym (PTAfr)	7
Postulat utworzenia Instytutu Zachodnioafrykańskiego w Szczecinie	13
Rozmowy „Afryki”:	
„Do przekazów ustnych należy podchodzić z szacunkiem”	
– z prof. Władysławem Filipowiakiem – archeologiem, byłym dyrektorem Muzeum Narodowego w Szczecinie rozmawiają Wiesława Bolimowska i Ewa Prądyńska	21
„Zostaję przy Dogonach”	
– z dr. Jackiem Łopottem – etnologiem rozmawiają Wiesława Bolimowska, Anna Bytyń-Buchajczyk i Ewa Prądyńska	47
<i>Joanna Bar</i>	
Afrykanistyka w dorobku naukowym Jana Czekanowskiego	75
<i>Stanisław Flejterski</i>	
Ośrodek Badań Krajów Południa. Próba częściowej rekonstrukcji genezy powstania Uniwersytetu Szczecińskiego	86
<i>Piotr Tomza</i>	
Fenomen Kazimierza Nowaka, czyli o Afryce nowocześnie	97
<i>Anna Bytyń-Buchajczyk, Marta Tobota</i>	
Ghana 2011 – wstępne sprawozdanie z obserwacji i dokonań w trakcie wyjazdu badawczego	117
<i>Ewa Prądyńska, Marta Tobota</i>	
Afrykańskie nabytki Muzeum Narodowego w Szczecinie w ostatniej dekadzie – krótkie podsumowanie	135

WSTĘP

Z racji III Kongresu Afrykanistów Polskich znalazł się w Państwa rękach Numer Specjalny periodyku „Afryka”. Przygotowany został okazjonalnie przez autorów szczecińskich. Jest to numer będący próbą doinformowania Polskich Afrykanistów działaniami ośrodka szczecińskiego jak i przypomnieniem sylwetki prof. Jana Czekanowskiego – niejako Patrona obecnego Kongresu. Dla „niezrzeszonych” znajdzie się tutaj także kilka informacji o Polskim Towarzystwie Afrykanistycznym.

Historię 50-letnich zainteresowań Afryką oraz obecność środowiska szczecińskiego na tym kontynencie omawiają trzy pokolenia afrykanistów czynnie zaangażowanych w tę działalność – prof. dr hab. Władysław Filipowiak, prof. dr hab. Stanisław Flejterski, dr Jacek Łapott oraz Anna Bytyń-Buchajczyk, Marta Tobota i Ewa Prądkyńska.

Znajdziecie tu Państwo informacje o genezie zainteresowań naszego miasta tym kontynentem, historii badań i sposobach gromadzenia przed laty egzotycznych zbiorów oraz o próbach nadania tym zainteresowaniom charakteru niezależnych instytucji badawczych jak: Instytut Zachodnioafrykański czy Ośrodek Badań Krajów Południa na Uniwersytecie Szczecińskim. Klamrą spinającą badania w Afryce są dwie instytucje zaangażowane czynnie w działalność na tym polu: Muzeum Narodowe w Szczecinie oraz Uniwersytet Szczeciński. Czasy zupełnie nieodległe to wspólne inicjatywy badawcze w Mali i Ghanie.

Zupełnym ewenementem, którego geneza mocno jest związana z naszym miastem, jest dopiero co zakończone przedsięwzięcie zwane „Afryką Nowaka”. W skuteczniej próbie powtórzenia trasy podróży rowerowej Kazimierza Nowaka sprzed siedemdziesięciu lat wzięło udział ponad sto osób z różnych stron Polski.

Dzięki zainteresowaniu i zaangażowaniu się coraz większej grupy młodych ludzi Afryką, kulturą i współczesnymi problemami jej mieszkańców, Szczecin ze spokojem i nadzieją wchodzi w kolejne 50-lecie działalności.

Redakcja

NOTA O POLSKIM TOWARZYSTWIE AFRYKANISTYCZNYM (PTAfr)

MAŁGORZATA SZUPEJKO

Polskie Towarzystwo Afrykanistyczne (PTAfr) działa od 1990 roku. W dniach 24-25 września 1990 roku odbył się zjazd inauguracyjny; 22 października 1990 roku nastąpiło wpisanie do rejestru stowarzyszeń wraz z zatwierdzeniem Statutu Towarzystwa. Lista członków założycieli to dziewniętnaście osób, z których cztery już odeszły:

Andrzej Bartnicki († 16.03.2004 r.)

Zygmunt Komorowski († 27.09.1992 r.)

Janusz Krzywicki

Hanna Lisicka

Izabella Łęcka

Joanna Mantel-Niećko († 28.10.2009 r.)

Bronisław K. Nowak

Nina Pawlak

Robert Piętek

Stanisław Piłaszewicz

Zofia Podobińska

Tomasz Potkański

Adam Rybiński

Eugeniusz Rzewuski

Barbara Stępniewska-Holzer

Grzegorz Waliński

Bogodar Winid († 14.12.1996 r.)

Alicja Wrzesińska

Andrzej Zaborski

Siedzibą Towarzystwa był od samego początku jego działalności Zakład Języków i Kultur Afryki Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie Katedra Języków i Kultur Afryki Wydziału Orientalistycznego UW przy ul. Krakowskie Przedmieście 26/28.

Struktura organizacyjna: Władzami PTAfr są: Walne Zgromadzenie, Zarząd Główny i Komisja Rewizyjna.

Okresy działalności to trzyletnie kadencje poczynając od 1990 roku.

Kolejni przewodniczący Zarządu Głównego:

Stanisław Piłaszewicz, Bronisław K. Nowak – dwie kadencje, Eugeniusz Rzewuski, Jan J. Milewski – dwie kadencje, Małgorzata Szupejko – obecnie druga kadencja.

Liczba członków Towarzystwa pod koniec pierwszej kadencji wynosiła 47 osób; obecnie – na początku ósmej kadencji wynosi około 100 osób.

Członkowie honorowi PTAfr:

PTAfr posiada trzech członków honorowych. Są to:

redaktor Wiesława Bolimowska, prof. dr hab. Władysław Filipowiak i prof. dr hab. członek korespondent PAN Karol Myśliwiec.

Charakterystyka działalności

Przyczyny i okoliczności utworzenia Towarzystwa – zostały określone w II Rozdziale Statutu:

ROZDZIAŁ II – Cele i środki działania

§ 7. Celem Towarzystwa jest inicjowanie, organizowanie, prowadzenie i popieranie badań naukowych oraz popularyzowanie wiedzy o Afryce.

§ 8. Osiąganiu tego celu służy w szczególności:

- 1) organizowanie posiedzeń i zjazdów naukowych,
- 2) organizowanie odczytów i wykładów w kraju i za granicą,
- 3) prowadzenie prac badawczych w kraju i za granicą,
- 4) działalność doradcza oraz wykonywanie ekspertyz,
- 5) inicjowanie oraz prowadzenie działalności wydawniczej,
- 6) prowadzenie kursów i szkoleń,

- 7) działanie na rzecz rozwijania ogólnopolskiej i międzynarodowej współpracy afrykanistów oraz ich współpracy z instytucjami badawczymi, popularyzatorskimi, wydawniczymi, kulturalnymi i gospodarczymi, których działalność ma związek z Afryką.
- 8) gromadzenie publikacji i dokumentacji oraz wszelkich zbiorów afrykanistycznych.

§ 9. Towarzystwo może być członkiem zagranicznych i międzynarodowych organizacji i stowarzyszeń.

PTAfr powstało z inicjatywy grupy afrykanistów reprezentujących następujące ośrodki: Zakład Języków i Kultur Afryki UW (obecnie Katedra JiKA UW), Instytut Krajów Rozwijających się UW (obecnie Instytut Geografii i Studiów nad Rozwojem UW), Instytut Historyczny UW, Instytut Orientalistyki UJ, Zakład Etnologii UW (obecnie Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UW) i Zakład Krajów Pozaeuropejskich PAN (obecnie Instytut Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych PAN). Członkowie PTAfr reprezentują środowiska naukowe związane ze wspomnianymi wyżej instytucjami oraz niemal wszystkimi ważniejszymi uczelniami wyższymi w Polsce. Wśród członków PTAfr są także osoby wywodzące się z różnych środowisk związanych z działalnością misyjną, pedagogiczną i naukową kościoła katolickiego w Polsce, przedstawiciele uczelni katolickich (Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego), a także studenci oraz sympatycy spoza uczelni. PTAfr jest stowarzyszeniem interdyscyplinarnym w obrębie nauk humanistycznych i zrzesza specjalistów reprezentujących następujące dziedziny: antropologię kulturową, etnografię i etnologię, archeologię, estetykę, filozofię, geografę, historię, historię gospodarczą, historię sztuki, językoznawstwo, kulturoznawstwo, literaturoznawstwo, misjologię, nauki polityczne, socjologię, stosunki międzynarodowe, teologię.

Środki finansowe PTAfr pochodzą ze składek członkowskich oraz z dotacji Komitetu Badań Naukowych, a obecnie z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego na działalność wydawniczą, z Narodowego Centrum Nauki (grant badawczy), a także niewielkich prywatnych darowizn członków i sympatyków.

Formy działalności PTAfr

Podstawową formą działalności naukowej PTAfr są seminaria, prelekcje, konferencje i kongresy, które spełniają rolę międzyśrodowiskowego, interdyscyplinarnego forum wymiany myśli naukowej i upowszechniania wyników badań. Są też rodzajem afrykanistycznej wszechnicy dla uczestników spoza środowiska akademickiego. Ich problematyka jest bezpośrednio związana z pracami badawczymi realizowanymi przez polskich naukowców – afrykanistów z kraju i z zagranicy.

Największymi wydarzeniami naukowymi w skali działalności PTAfr są Kongresy Afrykanistów Polskich. I Kongres odbył się w Pieniężnie w siedzibie Misyjnego Seminarium Duchownego Księża Werbistów, w czerwcu 2007 roku; II Kongres odbył się w murach Wyższego Seminarium Duchownego Misjonarzy Oblatów w Obrze koło Poznania, we wrześniu 2009 roku. Oba te Kongresy odbyły się dzięki wydatnej pomocy organizacyjnej misjonarzy z tych ośrodków dydaktycznych, którzy użyczyli swoich siedzib na odbycie obrad kongresowych. Współorganizatorem III Kongresu jest Uniwersytet Szczeciński we współpracy z Muzeum Narodowym w Szczecinie.

Inne formy działalności PTAfr

Polegają one na wspieraniu inicjatyw studenckich (m.in. Afrykanistycznego Koła Naukowego UW) przez współuczestnictwo członków PTAfr w organizowanych przez nich konferencjach naukowych, seminariach, wystawach, imprezach kulturalnych związanych z wszelkimi ważnymi dla Afryki wydarzeniami i rocznicami; obejmowaniu patronatem honorowym innych, pozaakademickich inicjatyw popularyzujących wiedzę o Afryce oraz dostarczaniu ekspertyz związanych ze statutowymi zadaniami PTAfr, np. na rzecz Polskiego Komitetu d/s UNESCO.

Działalność wydawnicza PTAfr

„Afryka” – początkowo jako Biuletyn PTAfr, zaczął ukazywać się od końca 1994 roku w Warszawie, w charakterze wewnętrznej publikacji informacyjnej. Był biuletynem dotowanym przez Komitet Badań Naukowych (do 2008 roku) i wydawanym dzięki społecznej pracy autorów, recenzentów

i zespołu redakcyjnego. Stopniowo powiększał się jego zakres tematyczny i objętość. Ukazuje się dwa razy w roku. Do tej pory ukazały się 34 numery. Od numeru 34 „Afryka” zmieniła swoją szatę graficzną i objętość, zrezygnowano również z określenia „biuletyn”, gdyż w istocie jest pismem naukowym, popularyzującym dorobek polskich afrykanistów i tematykę afrykańską. W parametrycznej ocenie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego czasopismo otrzymało sześć punktów. Nadal jego wydawanie jest możliwe dzięki pracy społecznej, składkom członków PTAfr i pieniądзом z grantu badawczego.

Zespół redakcyjny pierwszych trzech numerów tworzyli: Wiesława Bolimowska i Eugeniusz Rzewuski. Od 1996 roku przewodniczącym zespołu redakcyjnego został Bronisław K. Nowak, a członkami Wiesława Bolimowska i Marek Pawełczak. W roku 2000 do zespołu powrócił Eugeniusz Rzewuski, pozostając w nim do roku 2002. Od roku 2003 do zespołu została włączona Małgorzata Szupejko. W 2008 roku do zespołu weszła Ewa Siwierska, która w tymże roku, po rezygnacji Bronisława K. Nowaka, została wybrana przez Zarząd PTAfr na stanowisko redaktora naczelnego „Afryki” i pełni tę funkcję do dziś. W 2011 roku do zespołu została włączona Kinga Turkowska.

Bibliografia polskich prac dotyczących Afryki (dotowana przez KBN) – jej kolejne zeszyty ukazały się począwszy od 1994 roku: Zeszyt I (obejmujący prace z lat 1990-1994); Zeszyt II (lata 1985-1989 i 1995); Zeszyt III (lata 1980-1984). Opracował je Robert Piątek. Zeszyt IV (lata 1975-1979) opracowała Aleksandra Saulewicz-Goć.

Wydawnictwa książkowe:

PTAfr wydało dwutomową pracę, będącą efektem pokongresowych debat I Kongresu Afrykanistów Polskich: tom I, pod redakcją naukową Jacka J. Pawlika i Małgorzaty Szupejko: *Afryka na progu XXI wieku. Kultura i społeczeństwo*, ASPRA-JR, Warszawa 2009, s. 336 i tom II pod redakcją naukową Arkadiusza Żukowskiego i Dominika Kopińskiego: *Afryka na progu XXI wieku. Polityka, kwestie społeczne i gospodarcze*, ASPRA-JR, Warszawa 2009, s. 330.

W przygotowaniu są tomy zawierające materiały II Kongresu, których redakcji podjęli się: Hanna Rubinkowska, Jarosław Różański, Arkadiusz Żukowski i Rafał Wiśniewski.

PTAfr wystąpiło do MNiSW o grant wydawniczy dla książki ***Kalejdoskop afrykański. Problematyka tożsamości w literaturach Afryki przełomu XX i XXI wieku***, pod redakcją naukową Renaty Diaz-Szmidt i Małgorzaty Szupejko, która jest owocem konferencji zorganizowanej wspólnie z PTAfr przez Instytut Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich UW oraz Katedrę Języków i Kultur Afryki UW w maju 2010 roku, zatytułowanej *Literatury afrykańskie na przełomie XX i XXI wieku*.

Polskie Towarzystwo Afrykanistyczne posiada swoją stronę internetową: www.ptafr.org.pl

POSTULAT UTWORZENIA INSTYTUTU ZACHODNIOAFRYKAŃSKIEGO W SZCZECINIE*

Potrzeba koordynacji i działania w Zachodniej Afryce

Utworzona przez Polską Żeglugę Morską na przełomie lat 1958/1959 linia zachodnioafrykańska była wynikiem zaistnienia poważnych zmian polityczno-ekonomicznych na terenie Zachodniej Afryki. Zataczające coraz szersze kręgi ruchy wyzwolenicze ludów afrykańskich doprowadziły w swojej żelaznej konsekwencji dziejowej do zmierzchu kolonializmu oraz położenia kresu monopolowi handlowemu państw kolonialnych. Polityczna i gospodarcza żywotność Afrykańczyków z jednej strony oraz naturalna tendencja do współpracowania w zakresie wymiany towarowej z krajami nie mającymi obciążeń kolonizatorskich na afrykańskim kontynencie, postawiły nasz kraj w bardzo korzystnej sytuacji dla jego ekspansji na nowych rynkach handlowych. Oczywiście jeszcze przez całe lata istnieć będzie przyzwyczajenie rynku do towarów, jakimi go zaspokajano przez kilkanaście dziesiątek lat. Niemniej jednak istniejący monopol został definitywnie przełamany, co dało nam wielką i niepowtarzalną szansę wprowadzenia na te rynki polskich towarów. Utrzymanie tak szerokiego monopolu w handlu zagranicznym Afryki Zachodniej było nie tylko kwestią zależności kolonialnej. Czyniono wielokrotnie próby wejścia na ten teren, jednak okazywało się, że najpoważniejszą ochronę interesów stanowiły połączenia żeglugowe zcentralizowane w najsilniejszej przez dziesiątki lat Konferencji Linii Zachodnioafrykańskich (*West Africa Lines Conference*), w której rolę prowadzących odgrywały linie angielskie. Zawsze istniały możliwości,

* Postulat utworzenia Instytutu Zachodnioafrykańskiego w Szczecinie został przygotowany przez Polską Żeglugę Morską i skierowany do Muzeum Pomorza Zachodniego (obecnie Muzeum Narodowe w Szczecinie) 4-go maja 1961 roku. Do utworzenia Instytutu Zachodnioafrykańskiego nigdy nie doszło (tekst *in extenso*).

ażeby wykluczyć z rynku intruza, który i tak musiał korzystać z floty kontrolowanej przez tych, z którymi podejmował walkę konkurencyjną.

Zjawisko to wystąpiło w całej jaskrawości w 1958 roku, kiedy to nasz handel zagraniczny usiłował wejść do Ghany i Sierra Leone z polskim cementem. Brak bezpośredniego połączenia żeglugowego naszych portów z Zachodnią Afryką przekreślał zawarcie kontraktów i dopiero interwencja własnej floty pozwoliła na otwarcie szczelnie zablokowanego do tamtej pory rynku. Linia PŻM powstała zatem w oparciu o eksport cementu, ale równocześnie i sama sprzedaż cementu stała się możliwa jedynie dzięki podjęciu przez szczecińskiego armatora organizacji linii. W efekcie tej ścisłej współpracy, która zaistniała tylko dzięki wybitnej aktywności szczecińskiego ośrodka żeglugowego wyeksportowano do Ghany i Sierra Leone w roku 1959 – 20.000 ton cementu, a w roku 1960 – 57.000 ton cementu, natomiast w roku bieżącym przewiduje się wywóz 120.000 ton, co stanowi zakontraktowane przez nasz handel minimum.

Utworzenie w oparciu o cement linii regularnej poważnie zwiększyło możliwości eksportowe wszelkich innych towarów. Posiadanie własnego transportu morskiego oferującego znacznie lepsze warunki aniżeli tonaż zachodnioeuropejski, starający się nie dopuścić do rozwoju naszych kontaktów handlowych z młodymi państwami afrykańskimi, stało się wyraźnym momentem zwrotnym w naszych stosunkach z Zachodnią Afryką.

Rynek zachodnioafrykański jest niezmiernie chłonny. Prawie całkowity brak przemysłu z jednej strony oraz dysponowanie poważną bazą surowcową z drugiej strony stwarza szerokie możliwości wymiany towarowej. W naszych warunkach jest to wymiana oparta na współpracy dwóch równorzędnych partnerów, a nie partnerów, z których jeden stanowił do niedawna narzędzie ekonomicznego podporządkowania kupującego europejskiej metropolii. Trudno jest w tej chwili przewidzieć, jaki będzie rozwój naszych stosunków żeglugowo-handlowych z krajami Afryki Zachodniej. Jedno jest tylko pewne, że będzie on zdecydowanie większy i rozleglejszy, aniżeli przewidywaliśmy jeszcze kilka miesięcy temu.

Ta możliwość właściwej oceny naszych możliwości eksportu do Afryki Zachodniej ma bardzo poważne źródło, które i w przyszłości może stać się czynnikiem utrudniającym normalne stosunki handlowe. Nasze doświadczenia na tym nowym terenie działalności są wciąż jeszcze bardzo znikome.

Nie posiadamy kadry ludzi dysponujących wystarczającymi i kompleksowymi wiadomościami z tego terenu, ponieważ nie posiadamy niemal żadnej tradycji w tym handlu. Na przestrzeni ostatnich lat zaczęło się powoli zmieniać na lepsze, ale tempo „poznawania Afryki” jest wciąż zbyt wolne, nie nadąża za rozwojem stosunków, a rozwój stosunków zdecydowanie nie nadąża za rozwojem coraz to nowych i szerszych możliwości naszej wymiany towarowej z krajami Afryki Zachodniej. W chwili obecnej decydującym czynnikiem jest umiejętność wejścia z polskim towarem w każdą lukę powstającą na skutek pękania dotychczasowego monopolu. Jednak żeby to zrobić i w dodatku zrobić właściwie, trzeba znać specyfikę tego rynku. Specyfika ta jest bardzo różnorodna i wymaga znacznej specjalizacji. Zróżnicowanie zagadnień jest zdecydowanie większe aniżeli porównując np. rynek fiński z włoskim. Stosunki handlowe, jakie wytworzyły się w krajach zachodnioafrykańskich, są wynikiem całego szeregu czynników, które w ten czy inny sposób wpływały na kształtowanie się młodych państw i ich ekonomiki. Znajomość tej specyfiki, podbudowana odpowiednim doświadczeniem, pozwoli nam na właściwe ustawienie naszych stosunków gospodarczych z Zachodnią Afryką, które do tej pory są niestety prowadzone nadal trochę po omacku. Nie oznacza to oczywiście, że nasi ludzie, których zadaniem jest prowadzenie i rozwijanie tych stosunków, nie wywiązują się ze swoich obowiązków. Przyczyna tego leży zdecydowanie w braku odpowiedniej bazy rozwoju tych stosunków, leży w braku środków i warunków właściwego oddziaływania na rynki zachodnioafrykańskie.

Nie można rozwijać skutecznie stosunków handlowych, zapominając o tych momentach, które tworzą tę lub inną sytuację, atmosferę ich rozwoju. Zagadnienie musi być traktowane bardzo kompleksowo, bo tylko takie jego postawienie zapewni nam właściwe efekty naszego działania.

Specyfika terenu afrykańskiego stała się powodem, że na przestrzeni lat w krajach silnie zainteresowanych i zaangażowanych w stosunkach handlowych z tym kontynentem powołano do życia szereg instytucji. Instytucje te miały za zadanie naukowe rozpracowywanie rynku i specyfiki zagadnień mających jakikolwiek wpływ na jego kształtowanie się. Do chwili obecnej istnieją i działają takie instytucje w Bremie, Paryżu, Amsterdamie. Wpływ ich działalności na rozwój stosunków był niezaprzeczalny. Badania, a przynajmniej te najistotniejsze, nie są przedmiotem publikacji z uwagi na ich

wykorzystywanie do własnych celów. Można je jednak ocenić właściwie obserwując handlową i nie tylko handlową działalność tych krajów na rynkach zachodnioafrykańskich. Ustawienie zachodnioeuropejskich instytucji afrykańskich jest zdecydowanie jednostronne, tzn. skierowane na maksymalną eksploatację badanych rynków bez uwzględnienia ich potrzeb i korzyści. W działalności tych instytucji nie ma mowy o zasadzie wzajemnych korzyści i pomocy partnerów przemysłowo rozwiniętych dla gospodarczo zacofanych krajów afrykańskich. Punktem wyjściowym są nożyce cen artykułów przemysłowych i surowców.

Stwierdzamy, że sama zasada instytucji jako ośrodka badawczego gromadzącego doświadczenia wszystkich dla udostępnienia ich wszystkim, którzy ich potrzebują, jest czymś bardzo pozytywnym i godnym polecenia. Sprzeczne natomiast z naszymi intencjami jest jednokierunkowe ustawienie prac instytucji. Jest ono całkowicie sprzeczne z innymi intencjami w stosunkach zachodnioafrykańskich oraz z naszym ustrojem. Powołany przez nas do życia Instytut Afrykański winien postawić sobie za główny cel dwustronność korzyści płynących z jego istnienia i działania, korzyści zarówno dla nas jak i młodych państw afrykańskich tworzących od podstaw swoją niezależną państwowość.

Wniosek utworzenia omawianego Instytutu Afrykańskiego jest potrzebą chwili obecnej i perspektyw rozwoju stosunków. Zgromadzić w nim należy wszystkie doświadczenia, związać w jego ramach wszystkich tych, którzy w swojej pracy zawodowej mają do czynienia z rynkami afrykańskimi lub swoją działalnością w jakikolwiek sposób mogą przyczynić się do rozwoju i poprawy naszych powiązań. Instytut winien stać się głównym doradcą i koordynatorem naszych przedsięwzięć afrykańskich, a jednocześnie winien być ośrodkiem badawczym służącym pełną pomocą naukową naszym partnerom, których w chwili obecnej nie stać jeszcze na posiadanie podobnej instytucji. Takie ustawienie Instytutu zapewni nam jego właściwą pracę, a przede wszystkim odpowiednie jej przyjęcie i ocenę w Afryce.

Instytut powinien być tworem mocno zbliżonym do Instytutu Morskiego, którego działalność posiada widoczny wpływ na rozwój naszej gospodarki morskiej. Jednocześnie jednak jego organizacja winna być szersza przez objęcie maksymalnej ilości współpracowników nieetatowych. W początkowej fazie organizacji należy się zadowolić utworzeniem

jedynie stałego sekretariatu koordynującego prace poszczególnych grup badawczych i zajmującego się ich publikacją, w dalszej perspektywie należy powołać etatowe grupy badawcze. Przykładowo można ustalić następujący wachlarz zagadnień: handel zagraniczny, komunikacja (w tym żegluga), geografia gospodarcza, rolnictwo tropikalne, kopalnictwo rud, medycyna tropikalna itp.

Siedzibą Instytutu powinien być Szczecin. Przemawia za tym cały szereg względów natury ogólnej i szczegółowej. Szczecin jest siedzibą armatora, który podjął wysiłek organizacji linii od podstaw. Jest zarazem główną bazą linii i portem tranzytującym 100% KDL-owskiej masy towarowej z/ do Zachodniej Afryki. Szczecin potrzebuje, ze względów politycznych, istnienia na swoim terenie instytucji posiadających charakter naukowy, ażeby w ten sposób wzmocnić ośrodek szczeciński. Brak jakichkolwiek instytutów badawczych na terenie Szczecina jest rękojmnią, że nowy Instytut będzie ośrodkiem dużej działalności i, skupiając ludzi spoza terenu Szczecina, wciągnie przede wszystkim do swojej działalności wszystkich tych z terenu miasta, których wiedza i doświadczenie będzie w stanie coś Instytutowi dać. Szczecin posiada trzy wyższe uczelnie, które swoim zasięgiem będą stanowić właściwe zaplecze naukowe. Wreszcie Szczecin jest, jak już wspomniano, „portem tranzytu” i doświadczenia tranzytujących można będzie również wykorzystać przez włączenie do prac Instytutu partnerów czechosłowackich i węgierskich. Szczecin posiada dobrze rozwiniętą lokalną współpracę z NRD i w Szczecinie będzie utworzone Centrum Budowania dla wspólnej linii do Zachodniej Afryki, co również daje gwarancję rozszerzenia działalności Instytutu i możliwości wymiany doświadczeń. Nasze miasto stanowi poza tym pewną analogię do dziejów narodów afrykańskich, ponieważ było przez wiele set lat obiektem bezpośredniego oddziaływania i podporządkowywania sobie przez kolonizatorów spod hasła: *Drang nach Osten*. Jest to może szczególnie bardziej drugoplanowy, jednak posiadający duże znaczenie w wypadku kreowania miasta na symbol naszej współpracy z Zachodnią Afryką, jako jej głównego ośrodka.

Istnieje pytanie, kto powinien sprawować opiekę nad Instytutem i kto powinien nakreślać jego kierunki działania i być podporą tej działalności. Najbardziej powołaną do tego jest PAN, która winna działać i kierować przyszłym Instytutem przy pełnej współpracy i poradnictwie w sprawach

zagadnień komercyjnych ze strony Polskiej Izby Handlu Zagranicznego. Instytut winien znaleźć swoje miejsce przy placówce posiadającej odpowiedni autorytet. Można zaproponować umieszczenie go w gmachu Muzeum Pomorskiego, jako instytucji o dużym prestiżu naukowym.

Pozostaje kwestia czasu i funduszy. Termin utworzenia Instytutu, choćby w najbardziej ograniczonej i załączkowej formie, winien być jak najszybszy. Rozwój sytuacji w Zachodniej Afryce postępuje bardzo szybko i nie wolno nam zaprzepaścić tej wielkiej szansy politycznej i gospodarczej. Wiekowe zacofanie na kontynencie afrykańskim jest nadrabiane w ciągu lat i dlatego czas, który tak długo stał w miejscu, liczy się teraz na tygodnie



Płaskorzeźba z czarnego bazaltu przedstawiająca maskę afrykańską, poniżej tablica z napisem „UNIAFRICA - otwarcie linii - 29.09.1961”. Część Kroniki Morskiej Szczecina, Bulwar Piastowski, wyk. Sławomir Lewiński (fot. M. Tobota)

i miesiące dla spraw przeprowadzanych normalnie w ciągu lat całych. Jeśli nas zabraknie, znajdą się inni, ale ci inni nie będą skłonni do ustępowania nam zajętych stanowisk wtedy, gdy my zdecydujemy się wreszcie na pójście w ich ślady. Dlatego też sprawa funduszy nie powinna być problemem, o który miałyby rozbić się cała idea utworzenia Instytutu Afrykańskiego. Nakłady w porównaniu z efektami są tak minimalne, że nie można ich brać nawet pod uwagę. Nie można również żądać przeprowadzenia cyfrowej kalkulacji korzyści ponieważ właściwą ocenę może dać tylko sama działalność Instytutu i jej wpływ na rozwój naszych stosunków i powiązań z młodymi państwami zachodnioafrykańskimi.

Szczecin, dnia 14 października 1968 r.

Do Oficerów i Marynarzy
Linii Zachodnio-Afrykańskiej.

Polska Żegluga Morska w dążeniu do dalszego rozwijania Działu Afrykańskiego Muzeum Pomorza Zachodniego zwraca się do Załóg pływających na liniach zachodnio-afrykańskich z serdecznym i gorącym apelem, aby zechcieli z własnych środków zakupować w krajach Afryki Zachodniej przedmioty z zakresu materialnej i duchowej kultury mieszkańców tych krajów, a po powrocie przekazywać je do Muzeum Pomorza Zachodniego.

Chodzi w tym wypadku o przedmioty takie, jak maski, oryginalne rzeźby, przedmioty związane z religijnym kultem animistycznym, a także zabytkowe sprzęty codziennego użytku, naczynia, narzędzia i wiele innych. Równocześnie prosimy o przekazywanie do Muzeum wraz zabytkami możliwie wyczerpujących informacji o pochodzeniu tychże, jak miejsce nabycia wraz z datą, pochodzenie plemienne, okres wyprodukowania oraz przeznaczenie. Od zakresu informacji o zabytku zależy w znacznej mierze jego wartość naukowa i muzealna.

Zwracając się z niniejszym apelem Dyrekcja Polskiej Żeglugi Morskiej zwraca uprzejmie uwagę, że Przedsiębiorstwo nasze od początku w szczególny sposób patronuje powstawaniu cennych zbiorów zachodnio-afrykańskich w szczecińskim muzeum, udzielając jego pracownikom naukowym pomocy w trakcie podejmowania przez nich w latach 1962, 1964/65 i 1967/68 wypraw badawczych na Czarny Łód. Życzliwy odzew wśród Oficerów i Marynarzy załóg pływających na obecny apel będzie cennym świadectwem, iż rozwój zbiorów i wystaw afrykańskich w Muzeum Pomorza Zachodniego jest w dużej mierze dziełem Naszego Przedsiębiorstwa i jego Pracowników. Oczekujemy, że dalsze wzbogacenie tych zbiorów ze środków załóg pływających Polskiej Żeglugi Morskiej będzie wartościowym wkładem w uoczenie w dziedzinie kultury zbliżającej się XXV Rocznicy Powrotu Pomorza Zachodniego do Polski.

Kierownik

Apel Kierownictwa PŻM skierowany do Oficerów i Marynarzy Linii Zachodnioafrykańskiej zachęcający do pozyskiwania zbiorów afrykańskich do Muzeum Pomorza Zachodniego (obecnie Muzeum Narodowe w Szczecinie).



POLSKA ŻEGLUGA MORSKA

ZAKŁAD LINII REGULARNYCH

SZCZECIN, dnia 20.VI. 1969

LA/MW

NEWBUILDING 6.000 DWT
NEWBUILDING 6.400 DWT
NEWBUILDING 6.500 DWT
REJOWIEC 5.700 DWT
GRODZIEC 5.700 DWT
JAN ZIEKA 5.200 DWT
SZCZAWNICA 5.317 DWT
KRUSZWICA 5.300 DWT
BYDGOSZCZ 5.261 DWT
GŁOGOW 5.200 DWT
TOSICA 5.000 DWT
NEWBUILDING 5.200 DWT
NEWBUILDING 5.200 DWT
WROCLAW 5.214 DWT
MODLIN 5.214 DWT
ELBLAG 5.200 DWT
LWOW 5.200 DWT
KAPITAN SZCZAKOWSKI 5.200 DWT
CHOCIM 5.200 DWT
SKIERKA 5.200 DWT
KAPITAN KANSKI 5.200 DWT
MARYNARZ MIGALA 5.200 DWT
ANDRZEJ BOROWY 5.200 DWT
WICE STANKIEWICZ 5.200 DWT
MAZURY 5.200 DWT
WARMIA 5.200 DWT
WODNICA 5.200 DWT
NIMFA 5.200 DWT
SYRENKA 5.200 DWT
GOPLANA 5.200 DWT
SKRZAL 5.200 DWT
SWIETLIK 5.200 DWT
MUSIALA 5.200 DWT
WILA 5.200 DWT
KIASAL 5.200 DWT
WILA 5.200 DWT
WILA 5.200 DWT
WILA 5.200 DWT
NEWBUILDING 5.200 DWT
NEWBUILDING 5.200 DWT
WILA 5.200 DWT
NER 5.200 DWT
KRUTYNIA 5.200 DWT

MUZEUM POMORZA ZACHODNIEGO

ob. dyr. dr W. Filipowiak

Szczecin

ul. Steromlyńska

W dniu wczorajszym otrzymaliśmy telegram od kapitana statku m/s LUBLIN który poniżej przytaczamy :

" Mineliśmy dekar 19/6 o 940 ste les palmes 22/6 o 500 stop powiadomić muzeum wiozę czółno regionalne z abidjanu kapitan".

Dla orientacji podajemy, że statek spodziewany jest w Szczecinie ok. 30 bm., dokładniejszy termin przybycia statku podamy Wam dodatkowo.

Dzięk Eksplotacji Linii Zachodnio Afrykańskich

M. Wępszewski
M. Wępszewski

Wpisane dnia 21.VI.69
L. dn. 12.12.1969
Zatwierdzone dnia



TELEFON: CENTRALA 40-050
KOD: NEW BDE
TELEGRAM: POLSTEAMLINE

TELEX: 24210, 24222, 24225
BANK: NBP II OM SZCZECIN
KTO: 1412-8-1001

Przykład pozyskiwania zbiorów dzięki pomocy PZM

ROZMOWY „AFRYKI”

„DO PRZEKAZÓW USTNYCH NALEŻY PODCHODZIĆ Z SZACUNKIEM”

Z PROF. WŁADYSŁAWEM FILIPOWIAKIEM – ARCHEOLOGIEM,
BYŁYM DYREKTOREM MUZEUM NARODOWEGO W SZCZECINIE
ROZMAWIAJĄ WIESŁAWA BOLIMOWSKA I EWA PRĄDZYŃSKA

Wiesława Bolimowska: Panie profesorze, mija pięćdziesiąt lat od Pana pierwszej wyprawy rozpoznawczej do Afryki, wyprawy, która zapoczątkowała badania afrykanistyczne w Szczecinie. Jak do tego doszło? Jak narodził się pomysł tej wyprawy? Dlaczego inicjatywa wyszła z Muzeum Pomorza Zachodniego?

Władysław Filipowiak: Historycznie patrząc na sprawę muszę powiedzieć, że to nie był mój pomysł. To była idea Dyrektora Polskiej Żeglugi Morskiej, pana W. Małeckiego, który mnie zaprosił do współpracy. Wcześniej grunt pod tą współpracę wypracował dr W. Fenrych – kierownik Działu Morskiego. Czyli cała ta afrykanistyka w Szczecinie, te wyprawy to były badania na użytek gospodarki morskiej.

WB: Wtedy? W latach 60-tych?

WF: Wtedy, ale PŻM i później nas wspierało. Nawet ostatnio, gdy wysyłaliśmy do Afryki zbiory i dokumentację w 1999 roku, Euroafrica zafundowała nam powrót całego zestawu zbiorów i dokumentacji w jednym kontenerze aż na miejsce do Konakry, żeby wszystko doszło w porządku. I trzeba powiedzieć, że ta współpraca gospodarki i kultury się udała, bo przecież ani ja nie wiedziałem, ani dyrektor Małecki jak to robić. Wszystko zaczynaliśmy od zera. Dyrektor Małecki zafundował nam podróż rekonesansową wzdłuż wybrzeża Afryki Zachodniej¹. Mieliśmy możliwość nawiązania kontaktów

¹ Wyprawa rozpoznawcza trwała od 1 maja do 8 sierpnia 1962 roku.



Wiesława Bolimowska i prof. Władysław Filipowiak w trakcie rozmowy
(fot. E. Prądyńska)

ze wszystkimi miejscowymi muzeami, uniwersytetami, czy też innymi instytucjami. I nawet to było ułatwione dzięki PŻM, bo ich przedstawiciele tam na miejscu już te kontakty nam przygotowywali – tak więc to wszystko było dobrze zorganizowane.

W większości wypadków przedstawicielami PŻM-u byli moi koledzy z moich pierwszych studiów, bo ja zanim zacząłem studiować archeologię, skończyłem handel zagraniczny w Szczecinie. Np. w Ghanie był mój kolega dr Wojciech Milke – dlatego bardzo to sprawnie i dobrze szło. To było ważne, bo na tego rodzaju wyczyny pieniędzy żadnych nie było. Nie pamiętam dzisiaj dokładnie, ale z Ministerstwa Kultury i Sztuki dostaliśmy chyba po 50 dolarów na wszystko. Mieliśmy jednak zapewniony na statku byt i opierunek oraz mogliśmy korzystać z *bundu* – sklepu statkowego, w którym kupowaliśmy różne produkty za polskie złotówki. Zadłużyłem się wtedy okropnie, spłacałem to potem dosyć długo, bo tam były papierosy, piwo, mleko w puszkach, które w Afryce cieszyły się ogromnym powodzeniem. To co tam kupowałem wymieniałem potem na różne eksponaty. Jednak

limit i tak żeśmy wyczerpali i pieniądze już wszystkie wydaliśmy, wtedy załoga statku m/s „Jan Żiżka” dokonała zrzutki do marynarskiej czapki. M/s „Jan Żiżka” to był pierwszy polski statek z polskim silnikiem wyprodukowanym w Poznaniu u Cegielskiego, który na szczęście nie zaskoczył w Dakarze. Naprawa trwała tydzień i mieliśmy czas na nawiązanie kontaktów. Różnie to w tych portach bywało. Czasami staliśmy dwanaście godzin albo czterdzieści, to zależało od załadunku. Tak nam się to dosyć dobrze złożyło, że w tym Dakarze mieliśmy trochę więcej czasu. Bo wszystko zaczęło się właściwie od Dakaru.

Co muszę jednak zaznaczyć – PŻM cały czas nas wspomagała w tych kontaktach i w trakcie wszystkich wypraw, które później przedsięwzięliśmy. Robił to dyrektor Witold Małecki, a później dyrektor Ryszard Karger. Muszę o tym wspomnieć, dlatego że to nie były znowu takie małe pieniądze. Nas by nie było stać, żeby to wszystko opłacić z kasy muzealnej, bo nie było na to pieniędzy. Później, jak człowiek się trochę rozeznał, to zachęcił do współpracy też inne przedsiębiorstwa, które nas wspierały. Tu muszę powiedzieć o Polfie, bo w czasie drugiej wyprawy² Polfa nas zaopatrzyła w leki, w takich ilościach, że mogliśmy cały powiat wyleczyć, w zamian tylko za adnotacje jak te leki zachowywały się w Afryce. To też były duże pieniądze. Potem – fabryka konserw rybnych w Szczecinie to nam chyba ze sto kilogramów konserw rybnych dała. Tym opłacałem robotników, wypłacałem premie. Dla nich to była podwójna korzyść – zjedli rybki, a puszka potem służyła im jako naczynie. Najważniejszy jednak był pobyt w Dakarze. Tam ma siedzibę Francuski Instytut Czarnej Afryki *Institut français d'Afrique noire* (IFAN) przemianowany później na *Institut fondamental d'Afrique noire* – potężna organizacja. Francuzi, muszę powiedzieć, sporo inwestowali w badania naukowe w Afryce kolonialnej. Dakar to w ogóle piękne miasto i ma znośny klimat. Tam poznałem wybitnego archeologa-afrykanistę profesora Raymonda Mauny, który darzył sympatią Polaków jeszcze z czasów wojny, bo wspólnie z nimi walczył. I on mnie namówił do badań w Niani, żeby w tej małej miejscowości szukać stolicy Imperium Mali. I wspomam-

² Po wyprawie rozpoznawczej zorganizowano trzy wyprawy badawcze, które prowadziły badania w Niani. Badania archeologiczne w Niani prowadzono w latach: 1964-65, 1967-68 oraz 1973-74.

gał mnie przez cały czas. Ja, żeby się dobrze przygotować do badań, przez dwa lata studiowałem literaturę, mapy, zdjęcia, ale to wszystko dostałem od Niego. To był podstawowy materiał do rozpoczęcia badań. A kolega Mieczysław Wiepszewski, który był przedstawicielem PŻM-u w Konakry, nawiązywał lokalne kontakty, i jak ja przyjechałem do Konakry to już prawie wszystkich znałem, choć tylko z opisu. Przygotowywaliśmy to bardzo, że tak powiem, logistycznie, ale państwo Republika Gwinei rządzona przez Sekou Toure nie była łatwym państwem. Podejrzliwa, pozrywała stosunki ze wszystkimi, zwłaszcza z Francją. Była pod ogromnym wpływem Związku Radzieckiego i Chin, bo te dwa państwa konkurowały ze sobą w Gwinei o wpływy. Myśmy byli z tego „właściwego obozu”, więc nas tolerowano. Wszyscy się dziwili jak my w ogóle w tej Gwinei możemy prowadzić badania, i muszę tu wspomnieć o ogromnej zasłudze pierwszego polskiego ambasadora w Konakry. Był nim pan Włodzimierz Migoń, były wojewoda szczeciński, który był za pan brat z archeologią, bo wcześniej jako starosta zniński³ kolegował się z profesorami Rajewskim i Henslem. Tak więc była wspólna płaszczyzna do porozumienia. I jeszcze jedną rzecz tu trzeba powiedzieć. Głównym doradcą i prawą ręką prezydenta Sekou Toure był pan Condotto Nenekhały, który studiował archeologię w Paryżu i jako student odwiedził Polskę, która strasznie mu się spodobała. Mieliśmy wielu sprzymierzeńców, co miało ogromne znaczenie, bo w Gwinei wówczas wszyscy byli nastawieni dosyć negatywnie do Europejczyków. Sekou Toure był właściwie takim *advocatus diaboli* jeśli chodzi o stosunki międzynarodowe, nie za bardzo o nie dbał, poza oczywiście Związkiem Radzieckim i Chinami.

Pierwsza wyprawa była rozpoznawcza, od Maroka do granic Kamerunu. We wszystkich ośrodkach byliśmy. W Ghanie, w Senegalu, tylko Gwinei nam się nie udało wtedy odwiedzić. Nawiązaliśmy wiele kontaktów. W Abidżanie na przykład spotkałem dyrektora tamtejszego muzeum, etnografa czeskiego – pana B. Holasa, który osiedlił się na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Był emigrantem powojennym bardzo wrogo nastawionym do obozu socjalistycznego i początkowo był nieufny, ale ja dobrze znam język czeski, więc od razu nawiązaliśmy nić porozumienia. Poza tym on był wielokrotnie

³ Na terenie tego starostwa leży Biskupin.

w Polsce po wojnie, na kongresach, na radach naukowych. To były takie punkty, dobre punkty zaczepienia, które bardzo nam pomagały. Profesor Mauny wspierał mnie dopóki był w Afryce. Powiedział mi: „wy możecie tu jeszcze coś zrobić, my musimy odejść”. Myśmy trafili na koniec kolonializmu, państwa afrykańskie uzyskiwały swoją niezależność, wolność i one potrzebowały historii, własnej tożsamości. Stąd, na przykład, archeologia i historia miały dla nich znaczenie ogromne. Etnografia już nie. Można powiedzieć nawet, że Sekou Toure niszczył kulturę tradycyjną, jako wstydliwą, coś co świadczy o zacofaniu.

Ewa Prądzyńska: A jak Pan myśli, jaki interes miała PŻM, że tak w Was inwestowała?

WF: Słuszne pytanie. Pan dyrektor Małecki powiedział do mnie tak: „Proszę Pana, otwieramy zachodnioafrykańską linię żegludową. Zaczynamy robić interesy z Afryką, ale my o tej Afryce nic nie wiemy. Zróbcie coś, żeby Afryka dotarła do mieszkańców Szczecina, żeby coś więcej było wiadomo o Afryce”. Muszę powiedzieć, że ja miałem obiekcje. Zastanawiałem się, skąd ja wezmę na to pieniądze. Transport mieliśmy zapewniony, ale potrzebowaliśmy przecież wyposażenie i co najważniejsze ludzi – archeologów, etnologów – do tej roboty, którzy by się orientowali trochę w tych sprawach afrykańskich. Ja sam przecież nie byłem bardzo przygotowany. Chociaż... jedna rzecz mi pomogła. Ja studiowałem w Poznaniu na uniwersytecie archeologię, etnologię i antropologię, bo taki był jeszcze krótko po wojnie model kształcenia. Miałem wykłady u profesora Czekanowskiego, wielkiego badacza Afryki, jednego z największych, w Polsce na pewno. Na wykładach mówił o wędrówkach ludów afrykańskich np. Fulbejów, porównując to z przemieszczaniem się Gotów w Europie. Słuchałem tego z zainteresowaniem, ale wątpiłem w to. Pojechałem do Afryki, to przestałem wątpić. Dużo się nauczyłem w Afryce. Nawet zrobiłem program badań nad tą wędrówką Fulbejów, dlatego że główne jej centrum było na terenie Gwinei, w górach Futa Dżalon. Oni w XV wieku zaczęli wędrować na wschód, przez całą Afrykę Zachodnią doszli aż do Adamawy, na pograniczu Kamerunu. Ci Fulbeje uważali się za białych. To są oczywiście negroidzi ale o trochę innych cechach. Bo oni przyszli ze wschodniej Afryki, z okolic Sudanu, przez Saharę.

WB: PŻM wspomagała Was do końca?

WF: Tak. Muszę też powiedzieć, że potem przekonało się również nasze ministerstwo kultury. Na pierwszą wyprawę badawczą do Niani namówił S. Jasnosza, mojego przyjaciela z Poznania, doktora archeologii. Mówił świetnie po francusku i przede wszystkim miał ogromne doświadczenie. Dostaliśmy po sto dolarów na te badania, z czego po pięćdziesiąt od dyrektora Departamentu Muzeum M. Ptaśnika. Z PŻM-u dostałem chyba z pięćdziesiąt paczek reklamowych: koszulka *Polish Steamship Company*, spodenki, woda kolońska, mydło, itd. Wszystko bardzo ładne. Za przeprawę przez Niger i Tinkisso – paczuszkę, robotnikom w Niani – paczuszkę, wszystkim płaciłem tymi paczkami. Dla nich to było więcej warte jak pieniądze. To się nam udało. Jak wróciłem, wtedy ministerstwo się zainteresowało. I tu muszę na chwałę ministra Motyki parę słów powiedzieć, bo on wtedy był ministrem. Dostałem telefon, że mam się stawić do pana ministra. Przyjechałem na umówioną godzinę, a minister Motyka mi mówi tak: „Co Pan pije? Kawę? Może być koniak?” I zaraz po kieliszku. Mówi jeszcze: „Panie, bez picu i propagandy. Jakie będą z tego korzyści, dla nich i dla nas, bo dla wszystkich muszą być”. Mówię mu, że oni potrzebują historii, a my możemy im w tym pomóc, przy uzyskaniu źródeł i ich opracowaniu i wejść na rynek międzynarodowy z badaniami. Więcej właściwie chyba nie trzeba. „Dlaczego dla nich to tak ważne, dlaczego oni chętnie widzą u siebie archeologów?” – „Bo oni nie mają przeszłości zapisanej”. Źródła pisane są fragmentaryczne, bardzo, bardzo słabe, ale są dobrze opracowane. My też mieliśmy dobrych polskich specjalistów. Profesor Lewicki przecież się tym zajmował, arabista z Krakowa. W Mauretanii prowadził kiedyś badania. Był moim wielkim autorytetem. W ogóle był doskonały jeśli chodzi o źródła pisane. Masę pisał na temat źródeł arabskich, ich znaczenia. Co było ciekawe, on świetnie łączył źródła arabskie i źródła etnograficzne. Na przykład porównywał, jakie uprawy znaleźć można w źródłach, a jakie stosuje się teraz.

Pan minister był dosyć, muszę powiedzieć, sympatyczny, ale i wojewoda szczeciński, pan Kuczyński nam sprzyjał. Bo jako muzeum żeśmy przeszli wtedy pod województwo i nam budżet trochę powiększyli, żebyśmy mieli na te wyjazdy, na zakupy. Bo trzeba kupić samochód, odpowiedni sprzęt itd.

WB: Ostatecznie Pan minister Motyka przyznał Panu jakieś pieniądze z *clearingu*, tak?

WF: Tak, po drugiej wyprawie. Miałem dużo szczęścia, bo pan ambasador Migoń w Konakry mówi „wie Pan, jest tu dyrektor departamentu afrykańskiego z Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Chce się z Panem zobaczyć, to jest pański kolega, Mińkiewicz. Jest w hotelu, czeka na Pana, on może Panu pomóc”. I poszedłem do tego hotelu i faktycznie! Kolega ze studiów, bardzo sympatyczny. Powiedziałem co tu robimy, po co, a on mówi „kolego, przecież jak napiszecie wnioszek, to my tu mamy pieniądze, które możemy wyciągnąć”. I pan minister Motyka dał mi piętnaście tys. dolarów.

WB: W walucie...?

WF: W walucie gwinejskiej. Wie Pani, gdybym ja miał piętnaście tys. dolarów amerykańskich to ja bym przekopał całą Gwineę. Jednak nawet w walucie gwinejskiej, oszczędnie wydając starczyło na dwie wyprawy. Wie Pani, muszę powiedzieć, że się zdecydowałem na tą Afrykę, jak ja rozważyłem wszystkie za i przeciw. I choć za było mniej, a przeciw więcej... Tak, bo już słyszałem: Filipowiak znowu ma pomysł, nie? To Wolin, to Cedynia, a teraz jeszcze Afryka. „Ten pistolet z tego Szczecina” – tak o mnie mówili, „skąd on ma pieniądze? Co on tam wyrabia w Afryce? Pewno na Księżyc pojedzie”. Wie Pani, jak to bywa...

WB: Inaczej nic by Pan nie zrobił, jak by Pan nie miał pomysłów.

WF: Wpłynęły na moją decyzję wykłady u prof. Czekanowskiego i prof. Raymond Mauny. Choć w Dakarze mnie ostrzegali. Mówił „Panie, Afryka jest niebezpieczna”, ja pytam: „ale o co chodzi?” „Jest zaraźliwa. Kto raz pojedzie do Afryki będzie za nią tęsknił”. Ja potem, proszę Pani, byłem jeszcze osiem czy dziewięć razy. W sumie to spędziłem ponad dwa lata w Afryce. Miałem jednak doskonały zespół, i w Afryce i w muzeum. Ja przez radio na statku stojąc w Zatoce Gwinejskiej w czasie pierwszej wyprawy, z moją sekretarką Zofią Moskot – miałem przez te wszystkie lata tylko jedną sekretarkę, chodzący komputer – ustalaliśmy budżet na następny rok, udany budżet. Na statku wszystko mieliśmy do dyspozycji. Ja rozmawiałem z żoną, z muzeum. To o tyle ważne, że wiedziałem co się dzieje, ale póki byłem na statku. Jak zszedłem na ląd, skończyły się kontakty.

Gromadziliśmy zbiory. Handlowaliśmy aż miło. Papierosy, polskie Carmeny, szły lepiej niż Chesterfieldy. Mleko skondensowane, piwo, to były znakomite towary na wymianę. Z tej pierwszej wyprawy badawczej zrobiliśmy wystawę. Przywieźliśmy tyle zabytków. Nie oczywiście wielką, ale też nie małą. Wystawę otworzył pan dyrektor Małecki. Przyjechała telewizja z Mali i robili dokumentację i mówili „u nas w Mali nie ma takiej wystawy”. Także wszyscy byli zadowoleni. Dyrektora Małeckiego badania archeologiczne tak nie satysfakcjonowały, ale jak zrobiliśmy wystawę był zadowolony. Przyjechał również kapitan m/s „Jan Żiżka” – pan Roman Budka. Atmosfera była ogromnie życzliwa i co ciekawe nikt nigdy nie pytał ile nas te wyjazdy do Afryki kosztowały.

WB: Panie profesorze, wróćmy do Niani.

WF: Pani mnie musi trochę hamować, bo wie Pani ja jestem gadatliwy.

WB: To bardzo dobrze, ale Panie profesorze, wróćmy do Niani. Jak to było z Niani? Co było wiadomo o Niani, a co, że tak powiem, trzeba było odkryć? W ogóle to proszę przyznać się, ile Pan miał wtedy lat?

WF: Ja? Ile miałem lat? Pojechałem w 1962, a urodziłem się w 1926, to ile miałem?

EP: 36 lat.

WB: Najlepszy wiek.

WF: Proszę Pani, już miałem dużą praktykę. Bo ja już od 1952 roku prowadziłem wielkie badania w Wolinie. I metodę, którą opracowaliśmy w Wolinie, zastosowałem w Niani i w ciągu niecałych dwóch tygodni wiedziałem wszystko.

WB: Panie profesorze, wróćmy do pytania o Niani, jeśli można. Co o Niani było wiadomo jak żeście jechali?

WF: Proszę Pani, o Niani pisali dwaj autorzy: M. Montrat i H. Hevré. Profesor Maunay też był w Niani. Oni jednak byli wszyscy, że tak powiem, krótko i badali ten teren powierzchniowo. Poza tym to inna szkoła. Szkoła zachodnia szukała architektury i rzeźb. A myśmy szukali wszystkiego. To znaczy nas interesowało całe tło gospodarcze, zabudowa.



Mieszkańcy Niani witają ekspedycję, 1968 rok (fot. W. Filipowiak)

WB: I tutaj właśnie pomogło doświadczenie z badań na Wolinie?

WF: Tak. Wie Pani, istniała hipoteza, że Niani, jako Nyeni występujące w źródłach pisanych, jest stolicą, tym bardziej że są tam zabytki. Tymczasem takie zabytki były w różnych tego typu miejscach. Trzeba było po prostu zrobić inwentaryzację całego kontekstu. Jedynym archeologiem, który był w Niani był, jak już mówiłem, profesor Mauny. Nie podjął badań, ale był przekonany, że tam jest ta stolica. Była jeszcze hipoteza, że stolica jest pięćdziesiąt kilometrów dalej też nad rzeką Tinkisso, ale w innym miejscu. Byłem tam, żeby to sprawdzić, jednak tam nic nie było. Sprawdziliśmy to, co się dało. Ja chciałem jeszcze na malijską stronę pojechać do serca ziemi Mandingów, bo z Niani wychodziła droga, oczywiście wydeptana, przez zwierzęta i ludzi, droga *Manding-sila*. Przez Niani idą dwa szlaki: *Manding-sila* – droga do serca ziemi Mandingów i *Sarakole-sila* – droga kupców, którzy szli na północ. Jednakże serce ziemi Mandingów leży po malijskiej stronie za Nigrem. Nie dostałem zezwolenia od Gwinejczyków. Oni chyba byli trochę zazdrośni żebym czasem nie uciekł z badaniami z Gwinei.

EP: Chcieli mieć stolicę u siebie?

WF: Tak. Ja do serca ziemi Mandingów w końcu dotarłem, w 2001 roku. Alpha Oumar Konaré zaprosił mnie na kongres do Bamako i potem spytał się mnie co bym chciał jeszcze zobaczyć. A ja Mu mówię, że chciałbym pojechać do serca ziemi Mandingów. Bo przetrwała tradycja ustna, że oni tam przyszli i stamtąd się rozeszli na inne strony. To jest ogromny obszar, urodzajny. Cudowne miejsce, geograficznie, ekologicznie. Dostałem jeepa japońskiego z klimatyzacją i Dyrektora Departamentu Kultury do towarzysztwa i pojechaliśmy z prof. Michałem Tymowskim. Prof. Tymowski był też ciekaw jak to wygląda. Dlaczego mówi się, że to serce ziemi? Ponieważ to najlepsze ziemie i najlepsze uprawy. To kraj – raj.

WB: Panie profesorze, wróćmy do badań w Niani.

WF: Na pierwszą wyprawę badawczą do Niani pojechaliśmy we dwóch – kolega S. Jasnosz i ja, wypożyczoną na lewo od towarzyszy radzieckich ciężarówką GAZ. Bo oni tam mieli bazę transportową. Na miejscu dołączył do nas historyk gwinejski Djibril Niane, który kończył studia we Francji. Na tej ciężarówce musieliśmy mieć zapas paliwa i siedzieliśmy na beczkach z benzyną, tam tej benzyny ok. tysiąc litrów było. Zrobiliśmy badania sondażowe, próbne. I okazało się, że złapaliśmy stratygrafię. Archeolog jak ma doświadczenie terenowe to ma nosa. Najpierw zrobiliśmy inwentaryzację wszystkich stanowisk archeologicznych, a jednocześnie ja prowadziłem badania toponomastyczne, to znaczy zapisywałem nazwy miejscowe. Byłem już wtedy obkuty w źródłach pisanych i w literaturze dotyczącej Niani. Na przykład Ibn Battuta pisał, że przybył do stolicy Niani i zamieszkał w dzielnicy białych. Więc ja pytam przez tego historyka gwinejskiego Djibrila Niane „gdzie tu była dzielnica białych?” A oni wszyscy w śmiech. Jeden z nich mówi: „biali to są tysiąc kilometrów stąd!” Pytam dalej: „gdzie tu była dzielnica arabska?” – „Oooo, *larabu-so!*”, od razu mi pokazali, potem też dzielnicę królewską mi wskazali.

WB: Jak wyglądał wasz przyjazd do Niani i kontakt z miejscową ludnością? Przyjechaliście do tej miejscowości, Pan się rozejrzył, policzył te stanowiska, czy najpierw zaczęliście od starszyny?

WF: Proszę Pani, najpierw trzeba było zacząć od kontaktu z ludnością. Tam żyje lud Malinke z grupy Mande. Oni więcej ciągnęli do Mali, ale granica idzie prawie w samym Niani. Święta góra Niani-Kuru jest punktem granicznym. Ten kolega historyk załatwiał zgodę wioski, starszyny, a oni nie byli nastawieni do władzy w Konakry tak namiętnie. Zebrali się i radzili, radzili z godzinę i potem komunikują, że chcą nas widzieć. Myśmy już zajęli jedną chatę, i z niej był widoczny plac zebrania. Zebranie odbywało się na świeżym powietrzu pod mango. Myśmy to wszystko obserwowali, i wie Pani, jeśli chodzi o dyskusje i parlamentaryzm to by się można od nich uczyć. Zalecałbym ogromnie kursy dla polskich polityków. Każdy wszystko spokojnie może powiedzieć, nikt nie mówił z podniesionym głosem. Uzgodnili, że chcą nas poznać. Wie Pani, wypadało jakoś wyglądać. Myśmy byli zarośnięci, bośmy parę dni podróżowali, brudni, bo przecież tam z wodą był kłopot, koszule przepocone. Mówię: „chłopaki przebieramy się”. Ja nie mogłem trafić do nogawki spodni, taki byłem zdenerwowany. Pamiętam dokładnie. Przebraliśmy się i poszliśmy. „*Bonjour*”, „*ta na te*”, „*ta na si te*”. Wszystkie pozdrowienia, bo to stały u nich rytuał. Potem pytali „Bolon?”, Bolanda – Polska, a Bolon – Polak. Na mnie nikt nie mówił tam Filipowiak, tylko Bolon! I myśmy powiedzieli, tłumacz tłumaczył, po co przyjechaliśmy i co chcemy dla nich zrobić.

WB: I co powiedzieliście?

WF: Że tu była dawna stolica i my chcemy tę stolicę odnaleźć i potwierdzić. Naczelnikiem Niani był Keita z królewskiego rodu. Oni o tym wiedzieli, że tu była stolica, w tradycji zostało. A potem się okazało, że dużo więcej wiedzą. A metoda, ta o której mówiłem – toponomastyczna, dała efekt piorunujący. Zaakceptowali nas i potem bardzo się do nas przekonali, bo ja, wie Pani, miałem ogromne sukcesy w Niani – nie w archeologii, nauce – ale z zakresu medycyny. I dzięki temu byłem z nimi za pan brat. Rozpoczęliśmy badania, powierzchniowe i sondażowe. Normalna stratygrafia tylko treść inna. Mieliśmy materiał do badań. Dopiero potem można było zrobić pomiar. Druga wyprawa to już były badania na wszystkie fajerki.

WB: Dopiero podczas drugiej wyprawy zrobiliście pełne badania?

WF: Tak, wtedy były normalne badania. Nasz obiekt to kilkanaście hektarów. Za potokiem Farakole natknęliśmy się na dzielnicę królewską, tam też odkryliśmy meczet, pałac i studnię przed meczetem. To już nie ulegało wątpliwości, bo przy meczecie musi być studnia. Najlepsze, że tej studni byśmy nie znaleźli bez pomocy miejscowej ludności. Wiedzieli gdzie była dzielnica arabska, wiedzieli gdzie był pałac, gdzie była dzielnica królewska, wiedzieli gdzie była studnia zasypiana w XVI wieku. Zrobiliśmy analizy i datowanie C-14 nam to potwierdziło. To były super informacje. A myśmy robili eksperymenty i sprawdzaliśmy czy oni nas nie oszukują. Jak odkryliśmy wał w dzielnicy królewskiej, to pytamy szefa wioski Keitę „jak te mury tu biegły”? Nic nie powiedzieliśmy, że mamy już to sprawdzone. Proszę Pani, oni obeszlą stanowisko i wyszli na nasz drugi wykop dokładnie na te wały. Czyli można mieć zaufanie do wieści gminnej.

EP: Mieliście ułatwioną pracę.

WF: Zgadza się. Wiele takich informacji uzyskaliśmy.

WB: Panie profesorze, a jak w ogóle wyglądało to Niani? Jak by Pan to opisał wtedy jak Pan tam przyjechał?

WF: Z jednej strony płynie rzeka Sankarani, ta wioska leży nad tą rzeką, ale z tyłu od północy już leżą wzgórza. To niewysokie wzgórza, ze świętą górą Niani-Kuru w tyle, na którą jak wejdziesz biały człowiek to będzie koniec świata. Ja poszedłem i końca świata nie było.

WB: Wszedł Pan tam za zgodą miejscowej ludności czy bez ich wiedzy?

WF: Za ich zgodą, nas było wtedy kilku, poszliśmy sami. Ja, wie Pani, nie wierzę w koniec świata, ale wszystko robiłem za zgodą miejscowej ludności. Na przykład odkryłem w okolicy grotę. Z tymi grotami to jest ciekawa historia, bo w nich koncentrowało się życie kultowe. Ja jedną odkryłem. To była grotka w nawisie skalnym. Można było do niej wejść. U wejścia do tej groty znalazłem ceramikę. Byłem wtedy z jednym Gwinejczykiem. Byłem skłonny wejść, tylko najpierw chciałem wystrzelić rakiетnicę, żeby wypłoszyć ewentualne zwierzęta, bo to nie wiadomo co tam mogło być. I wie Pani co? Nie widziałem czarnego człowieka tak szarego i tak przerażonego.

Prosił mnie żebym nie wchodził. I nie wszedłem. Potem miałem kolejną okazję. Grota, którą mi pokazała starszyzna wioski, była zasłonięta takim płaskim głazem, tylko trzeba było mieć sprzęt, liny, światło, asekurację itd. A ja nic nie miałem i nie wszedłem tam. A to musiała być interesująca sprawa, bo ta grota była przez Nich chroniona. Ja potem, jak jechałem następnym razem, to już wziąłem odpowiedni sprzęt, ale wtedy w 1978 roku nie doszło do badań.

Różne krąży na ten temat insynuacje. Strona gwinejska stawiała takie warunki, na które ja się nie mogłem zgodzić. Bo nie mogłem się zgodzić na to, że oni nic nie robią, a my wszystko i odsyłamy opracowania do ich akceptacji. Ja widziałem jak to się kończy. Sprawozdania były cięte, jako prace seminaryjne. To ja będę angażował ludzi, pieniądze, a oni będą tylko akceptować!

EP: Jak Pan ocenia, która z wypraw do Niani była najistotniejsza?

WF: Ostatnia w 1973 roku, kiedy pojechaliliśmy już w mocnym składzie: W. Bender – mój przyjaciel z Warszawy, ogromnie doświadczony archeolog, B. Szerniewicz – historyk. Tam na miejscu mieliśmy już rysowników, Gwinejczyków, którzy byli u nas przeszkoleni. A wyposażeni byliśmy jak amerykańska wyprawa. Naprawdę. Konserwy, koce, łóżka składane i pieniądze też mieliśmy, ale też ciężko pracowaliśmy. Szef wioski Keita powiedział nam, że mieszkańcy Niani chętnie by nas wynajęli do roboty na polu. Mówił: „nic, tylko pracujecie”. Mieliśmy też do pracy Gwinejczyków, młodzież – taki hufiec junacki w mundurach oraz cywili.

WB: Dużo było tych Gwinejczyków?

WF: Około pięćdziesięciu robotników. Kopaliśmy na wielu stanowiskach.

EP: Taką dużą grupę trzeba było wykarmić, ktoś gotował? Mieliście specjalnego kucharza?

WF: Nie, ich karmiła wioska. A my mieliśmy swojego kucharza, Gwinejczyka.

EP: Dlaczego ta ostatnia wyprawa była najważniejsza?

WF: Najwięcej przekopaliśmy: pałac, meczet, salę audiencyjną, o której pisał Ibn Battuta.

WB: I jak ona wyglądała wg jego opisu?

WF: Wie Pani, to już były wpływy północnoafrykańskie. Zbudowana była z „banco”. To był budynek czworoboczny, miał takie kamienne wieżowate narożniki – znaleźliśmy ich ślady. Pokryta była kopulastą strzechą. Była dość duża, 10x10 m. Miała okna, Ibn Battuta pisał o okuciach w oknach, myśmy te okucia znaleźli. Przy tych wieżach-narożnikach sali audiencyjnej, znaleźliśmy groty strzał i oszczepów, czyli tam się do końca bronili przed Bambara, którzy zdobyli Niani. To była sala audiencyjna, którą zbudował Abu Iszak es-Saheli, ten sam, który postawił m.in. meczet w Timbaktu.

WB: Mówił Pan o swoich sukcesach w medycynie. Leczył Pan miejscową ludność?

WF: Tam warunki higienicznie były straszne. Wody brakowało, bo się ją nosiło kawałek drogi z rzeki. Była też studnia, ale jak by tak wszyscy brali wodę z jednej studni, to byłby dramat. W tej rzece prali, myli się i jeszcze pili tę wodę. Myśmy mieli doskonałe filtry, więc nam to było obojętne.

Wie Pani, ja potem już byłem doktorem i funkcjonowałem jako „monsieur doctor”, ale wszyscy myśleli, że jak doktor, to lekarz. Ile ja miałem kłopotów z tym, ile strachu, ile ja nocy nie przespąłem, bo odmówić nie mogłem, a przecież leczyć nie umiałem. Trochę ich oszukiwałem, dawałem witaminy. Najpierw wykazałem się szybkim i skutecznym leczeniem, bo szefowi wioski wyleczyłem nogi.

Tam w buszu jest pełno kolczastych roślin, pełno kurzu, brudu, miał same strupy na nogach. To był bardzo sympatyczny człowiek. On był starszy ode mnie, zany człowiek, w ogóle trzeba przyznać, ze sposobu bycia, że to był ktoś. Zawsze mi się podobało, że wieczorami jak się siedziało przy ognisku, to on kontrolował, czy jakieś dziecko gdzieś nie siedzi, nie śpi, jak zobaczył zaraz wyganiał do domu. Ja nie wiedziałem nawet, że tam 2-3 m dalej ktoś śpi, bo to ciemno i nic nie widać. Taki troskliwy był! Prosił mnie któregoś razu, żebym mu pomógł z tymi nogami. Ja myślę, jak to zrobić? Przypomniałem sobie, że w czasie wojny leczyliśmy nadmanganianem potasu, a ja akurat miałem nadmanganian potasu. I mu mówię żeby przyniósł wiadro przegotowanej wody. On przyszedł z tym wiadrem wody, ja mu nasypałem nadmanganianu potasu i kazałem mu wsadzić nogi do wiadra. Posiedział w tym. Część strupów odpadła już w tym wiadrze. Jak wyjął te nogi to mi

się niedobrze zrobiło, takie miał zrosty i blizny, i jeszcze ropiejące. Miałem maść penicylinową i wysmarowałem mu te nogi po tym moczeniu i obandażowałem. Zrobiłem mu buty z bandażu aż do kolan. Muszę powiedzieć, że mnie ścisnęło w gardle jak to robiłem. Ja wiele rzeczy w czasie wojny widziałem, ale to było straszne i też bolesne. Potem on poszedł, już była noc, ciemno, któryś z kolegów mówi „same buty idą”, bo tylko te obandażowane nogi było widać. Wie Pani, na nich się szybko goiło.

Często mieli jaglicę, młodzi, starzy. To jest zapalenie spojówek, cieknie okropnie z oczu. Czasami przy takiej ostrej jaglicy nie wychodzą z chaty w ciągu dnia. Ja miałem dobry podręcznik, dostałem od kapitana, bo na statku każdy kapitan ma podręcznik do leczenia. Zawsze coś tam znalazłem, poduczyłem się. Przyszedł do mnie raz chłopak, miał może z 12-14 lat, był mojego wzrostu. Miał jaglicę. Dałem mu streptomycynę, ale mniejszą dawkę, popatrzyłem ile lat, jaka waga. Zawsze połowę dawałem, bo się bałem żeby nie przedawkować, nie miałem też pewności, czy dobrze robię, więc żeby nie zaszkodzić. Wyobraźcie sobie, tydzień minął, przychodzi chłopak z ojcem. A chłopak miał na imię Namori tak samo jak jeden z władców Mali. Oczy wyleczone! Mówię, miałem większe efekty w medycynie jak w archeologii. Oni są ogromnie wdzięczni. Trzeba powiedzieć, że ja tym leczeniem to zarabiałem, tzn. nie pieniądze, ale owoce, jajka. Nie musieliśmy tylko tych naszych konserw wcinać. One dobre są jako rezerwa, ale jednak świeże mięso, kuropatwy... Ja polowałem, ale nie lubię, to takie przeżycie... nie nadaje się. Ja bym tam tym ich łowczym nie był.

Raz przyszedł do mnie znacznie starszy mężczyzna, i mówi że nie widzi, a on chorował na tę jaglicę, ale już długo i wystąpiły komplikacje. Nie widział. Jak ja mogłem mu poprawić wzrok? Dałem mu zestaw witamin i powiedziałem – to pamiętałem z etnografii – że musi codziennie zjeść jedno jajko, ale tylko od białej kury. On przychodzi po jakimś czasie, idzie i z daleka woła, że widzi. Ja w to nie wierzyłem, on się pewnie dobrze czuł, bo był dożywiony i może te witaminy trochę mu pomogły, ale może i trochę lepiej widział?

Najgorzej było jak przyszedł taki starszy mężczyzna z młodą żoną. Ona miała szesnaście lat i była w ciąży. Wiem jak się dzieci robi, ale nie wiem jak się rodzą. Taka ładna dziewczyna, a on taki zatroskany. Mieliśmy wtedy kierowcę z ambasady, i on mi mówi „Panie, bądź Pan ostrożny, bo przecież

Pan się na tym nie zna”. Ja mówię „A Pan się zna?” I tak radzimy co zrobić, dałem jej zestaw witamin. Bo oni tam mają takie monotonne jedzenie. Ona rozchyła bluzkę i pokazuje ten brzuszek taki dosyć zaawansowany. Taki tatuaż na brzuchu aż mnie zatkało! A ten kierowca mówi „Panie doktorze, rany boskie, przerysuj Pan to przez kalkę, drugi raz nie będzie Pan miał szansy. Ja już lecę po kalkę”. Ja mówię „Panie, spokojnie”. Oczywiście, że warto by to było przerysować, ale jak by to wyglądało? Ona przychodzi do leczenia, a ja rysuję. To by było nie tak, moim zdaniem.

Różne były sytuacje, ale raz to byłem tak przestraszony, że to jeszcze opowiem. Przychodzi rodzina, z takim oseskiem, ja wiem może rok? I on charczy. Temperaturę miał. Kolega mówi „chłopie, ty się nie dotykaj, bo jak on nie dożyje rana, to my nie dożyjemy obiadu”. Tak się zastanawiam, w książce czytam, oglądam dziecko, widzę, że ma po prostu temperaturę, półprzytomny był od tej gorączki. Dałem mu coś przeciwgorączkowego i witaminy. Oczywiście połowę dawki. Poszli. Wieczór nadchodzi, był z nami wtedy inżynier Banaszczak – geodeta, bardzo fajny. On pierwszy zrobił pomiary Niani. Mówi „byłe dożyć do rana”. Nie spaliśmy całą noc. Przecież równie dobrze to mogło być co innego, inna choroba. Rano, ledwo słońce wstało, wrzask – idą. Muszę powiedzieć, że byłem zdenerwowany. Tam się człowiek poci, ale jak wtedy się spociłem, to coś niesamowitego. Nawet mówić nie mogłem. Patrzę: idą z dzieckiem! I wszyscy uśmiechnięci! Mały ożył! Jak oni poszli, to musiałem się położyć – bo nie mogłem stać na nogach ze zdenerwowania i ze strachu. Dobrze, że to się tak skończyło. S. Jasnosz mówił, „wiesz, Ty jeszcze będziesz wielkim doktorem, ale nie w archeologii”.

EP: Cieszył się Pan popularnością jako lekarz, ale co miejscowa ludność myślała o badaniach archeologicznych? Była nimi zainteresowana?

WF: Tak, przychodzili na wykop. Oni znali historię. Muszę wam powiedzieć, że Oni wszyscy lepiej znają swoją historię jak my naszą. Z mieszkańcami Niani można było o historii porozmawiać. Zrobili nam takie seansy. Bo u nich, wie Pani, jest ta tradycja mówiona, oralna. Są grioci, szkoły griotów. I oni sprowadzili jednego z najlepszych griotów, specjalnie żeby zademonstrować jego umiejętności. Nazywał się Dyeli Kouyate. Zorganizowali spotkanie wieczorem, na placu. Od tego griota, to muszę powiedzieć, że

aż dostojność była na odległość. I jednocześnie skromny człowiek. Zaczął grać na korze i półśpiewem opowiadać historię. Mieszkańcy, dzieci jak makiem zasiał, tak było cicho. Dla nas to też było przeżycie. On mówił w języku malinke, ale po imionach, które wymawiał: Namori, Sundiata, to wiedzieliśmy jak ta narracja idzie.

Z mojej inicjatywy w Niani powstała szkoła, dwuizbowa szkoła. Obiecałem im zaopatrzenie i następnym razem przywiozłem zeszyty, kredki. I zrobiłem jeden błąd. Nauczycielowi przywiozłem w prezencie rower. A on wsiadł na ten rower i pojechał w siną dal. To mi się nie udało, ale to przez nadgorliwość, gdybym mu nie kupił roweru...

WB: Panie profesorze, a jak władze gwinejskie przyjmowały wyniki Pana badań?

WF: Wie Pani, różnie, ale większość bardzo pozytywnie.

WB: Miałam zaszczyt towarzyszyć Wam podczas wizyty u prezydenta Sekou Toure. Pan pamięta?

WF: Wie Pani, on wykorzystywał nas politycznie.

WB: W czasie tego spotkania, to pamiętam, że raczej mówił Wam komplementy.

WF: Tak, tak. To był bystry facet i wiedział jak to oceniać. To muszę powiedzieć, bo byłem u niego parę razy i przyjmował nas naprawdę bardzo życzliwie. Sekou Toure był propagandzistą, strasznym mówcą, umiał porywać tłumy. Tylko proszę sobie wyobrazić stoimy na słoneczku, grzało do czterdziestu stopni, a Sekou Toure nawija dwie godziny. Długo potrafił mówić o kolonializmie, o socjalizmie.

WB: Pan pamięta, jak Sekou Toure przyjął wiadomość, że się potwierdziły hipotezy, iż w Niani była stolica państwa Mali?

WF: Oho! Wiece były! W Konakry, na stadionie!

EP: Te wiece były organizowane na Waszą cześć?

WF: Nie! Sekou Toure mówił „myśmy odkryli”! Nawet nie miałem o to pretensji. Co tu dużo mówić, to była ich historia. Takie były nasze założe-

nia, że każdy ma mieć z tego jakąś korzyść. Myśmy mieli, bo weszliśmy do literatury nauki światowej. UNESCO wydało *Histoire generale de l'Afrique* po francusku i po angielsku też. Sto tysięcy tomów nakład! Tam są wyniki naszych badań. Napisał Djibril Tamsir Niane, ale na nas się powołuje. On uciekł do Senegalu i dopiero po śmierci Sekou Toure wrócił do Gwinei. Od początku pomagał nam w badaniach i był w nie zaangażowany. Ja też za granicą opublikowałem trochę artykułów, po niemiecku, po angielsku, po francusku. Dużo publikowałem. Mnie wystarczyło to co zrobiłem.

EP: Czyli w Gwinei to był wielki sukces?

WF: Oni też mieli swój udział, bo dali ludzi, transport, wyżywienie i zezwolenie na badania. Wie Pani, był taki problem. Ja po pierwszej wyprawie odesłałem do Gwinei dokumentację i zbiory, a potem pojechałem na następną wyprawę i jak zobaczyłem, w jakim to się stanie znajduje, to doszedłem do wniosku, że nic z tego nie będzie. Zbiory rozrzucone, pomieszczone, a dokumentacja zniszczona. Tam jest ogromna wilgotność, papier... to wszystko powinno być inaczej chronione. Taka była umowa, że my wszystko opracowujemy, a zbiory wracają do Gwinei. Zresztą to było dla mnie normalne. Jak by to było gdyby ktoś z zagranicy kopał Gniezno czy Kraków i zabrał zbiory? Nikomu by się to w Polsce nie podobało. Poza tym to jest ich historia.

W 1999 roku ja już wiedziałem że za rok pójde na emeryturę. Były takie głosy, żeby nic nie oddać. Nawet mi zarzucano, że niszczę zbiory czy dezorganizuję. Jednakże ja powiedziałem: absolutnie nie! Umowy trzeba dotrzymać. Mało, że odesłałem to jeszcze wystawę zrobiłem. Konsul Honorowy RP w Gwinei Pan Sadou Bailo Barry prosił mnie, czy bym nie mógł zafundować wystawy, żeby to pokazać. I zrobiliśmy kompletną wystawę do kontenera. Euroafrica dała cały kontener za darmo. W kontenerze zbiory, dokumentacja i ta wystawa poszła. Ja nie pojechałem, bo obawiałem się, że będą mnie zmuszali do różnych zobowiązań. A ja już nie miałem możliwości, ani prawa, bo szedłem na emeryturę. Pojechał kolega B. Szerniewicz i bardzo dobrze. Muszę powiedzieć, że wywiązał się z tego zadania ekstra. Byłem w 2001 roku w Afryce, w Bamako, na kongresie. A na tym kongresie, patrzę: wystawa „Polsko-gwinejskie badania w Niani”. Gwinejczycy zrobili. Zaczęli przychodzić do mnie ludzie z Senegalu, Wybrzeża Kości

Słoniowej, czy by ta wystawa mogła potem do nich pojechać. A ja mówię – być może, ale wystawa nie jest nasza, wystawa jest gwinejska, bośmy to przeznacz yli dla Gwinei.

EP: Panie profesorze, ale mówił Pan wcześniej, że jak przekazał wyniki badań po pierwszej wyprawie, to Oni tego nie szanowali, dokumentacja była źle przechowywana i praktycznie została zniszczona. Nie bał się Pan, że ten sam los spotka tę pozostałą dokumentację i zbiory?

WF: Proszę Pani, nie chce mi się szukać, bo tu mi rodzina porządk i robiła i tak łatwo bym tego nie znalazł... W zeszłym roku pisał do mnie S. Robert, archeolog, którego znam jeszcze z Dakaru. Pisał, że był w Konakry, i że namawiał ich, żeby ze mną kontakt nawiązali do dalszej współpracy i do dalszych badań. I pisał, że zbiory i dokumentacja są w fatalnym stanie. Ja się tego spodziewałem. Jednak ja nie mogłem tego nie oddać. Poza tym ja tak napisałem swoją pracę, że główna dokumentacja z badań terenowych jest opublikowana. Można wziąć książkę pod pachę, iść w teren i robić badania.

WB: A czy Pan coś wie, czy badania w Niani są kontynuowane?

WF: Nie, nie są kontynuowane. S. Robert pisał życzliwie o tych naszych badaniach w Niani i o potrzebie ich kontynuacji. Przez mojego wnuka zwrócił się do mnie doktorant Sorbony z prośbą o spotkanie, bo On pisze o Państwie Mali i o Niani chciałby wiedzieć więcej. Ja prawie wszystko napisałem, choć niektóre rzeczy przyszły mi do głowy już później, jak książka się ukazała.

Wie Pani, ja miałem ogromne plany związane z wyprawą przygotowywaną w 1978 roku. To miało być ostatnie uderzenie. Zdradzę Wam tajemnicę, bo ja już niedługo do Krainy Wiecznych Łowów pójdę, muszę Wam coś opowiedzieć. Na opublikowanym w książce *Średniowieczna stolica królestwa Mali – Niani w VI-XVII wieku* planie Niani⁴ zrobionym przez inż. Banaszczaka z 1968 roku jest wyznaczony taki trójkąt: 6M1, 6M2, 6M3. Wg mnie – bo to tylko hipoteza, którą chciałem sprawdzić ale nie zdążyłem i żałuję, że mi się to nie udało, bo mam nosa – tu prawdopodobnie jest najstarsze

⁴ W. Filipowiak, *Średniowieczna stolica królestwa Mali – Niani w VI-XVII wieku*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1981, s. 65.

Niani, z okresu Sundiaty Keity z XIII wieku, a być może, że tu jest to Nyeni z IX wieku, które występuje w literaturze. Bo tu ceramika była i wszystko się zgadzało, ale to trzeba wykopać. I to miałem zaplanowane na tę wyprawę w 1978 roku, która nie doszła do skutku. I szkoda.

EP: Chciałam jeszcze zapytać o specyfikę badań archeologicznych w Afryce. Pan mówił, że pojechał do Afryki z doświadczeniem z Wolina, i że to się sprawdziło. Chciałabym jednak zapytać czy była jakaś specyficzna metoda działań w Afryce? Coś czego w Polsce się nie stosuje?

WF: Nie. Wie Pani, to była normalna archeologiczna polska metoda. Ja kopalem wcześniej w Wolinie. Wolin jest wielkim kompleksem osadniczym. Miasto, przedmieścia, wszystko. Niani jest takie samo, tylko układ jest trochę inny. W Wolinie był problem na Srebrnym Wzgórzu, w literaturze były informacje, że tam jest grodzisko. Miałem wątpliwości. Zrobiłem ciąg wykopów, poza grodziskiem, przez fosę, wał, majdan. Nie jeden wykop, bo na to pieniędzy nie było i nie skończyłbym tego przez lata. To był wykop – przerwa – wykop – przerwa. Tak samo zrobiłem w Niani. Przecież ja tam tak długo nie mogłem siedzieć, bo pieniędzy na to nie było. Musiałem szybko wiedzieć gdzie kopać. I robiłem to samo co w Wolinie – ciąg wykopów co 10-20 metrów. Dwa tygodnie pracy, i już po profilach widać: od północy: wał, plac, warstwa kulturowa, okazuje się, że natknąłem się na meczet! I jak to zobaczyłem, to potem na dole, tam gdzie było największe zgrupowanie, zrobiłem to samo, tylko poprzecznie – i było wszystko. Miałem pałac, salę audiencyjną, meczet, studnię... chociaż tę studnię to jednak dzięki miejscowej ludności znaleźliśmy. Myśmy nie mogli na nią trafić, nie było po niej śladu. Cztery lata zasypana... Nawet skorup nie było. Przyszła starszyzna, tak około 9.00-10.00 do południa, i dyskutują, gdzie jest ta studnia? Między sobą rozmawiają, spokojnie, ale ponad dwie godziny! Już południe, słońce świeci na kark. S. Wołągiewicz mówi, „jak zaraz nie skończą idę do domu”. W końcu uzgodnili i pokazują: „tu jest studnia”. Ja mówię „Staszek, dawaj szpilę”. Żeśmy ją wbili i kopimy. Myśmy tę studnię na pół przekroili! Potem pobraliśmy próbki i zrobiliśmy datowanie C-14, i potwierdził się XVI wiek. Tak więc z szacunkiem trzeba podchodzić do przekazów ustnych.

EP: Mówił Pan kiedyś, że w Afryce nie ma granicy między archeologią i etnologią. Może to jest ta specyfika archeologicznych badań w Afryce?

WF: Jedna dyscyplina z drugą muszą ściśle współpracować. Na przykład... weźmy żelazo. Epoka żelaza zaczyna się różnie w Afryce na różnych terenach i są różnice w produkcji tego żelaza. To mnie interesowało, bo to jest ogromny cywilizacyjny postęp. W Niani były dymarki i stare i nowsze. W Afryce Zachodniej dymarki były używane jeszcze w czasie drugiej wojny światowej. Tam niedaleko na Wybrzeżu Kości Słoniowej prowadził badania etnoarcheologiczne nad żelazem profesor Poznansky ze Stanów Zjednoczonych i nawet korespondowaliśmy ponieważ Jego sekretarka знаła język polski.

To samo z ceramiką... Ręcznie lepią ceramikę sprzed tysiąca lat i ręcznie lepią ceramikę współczesną. To daje możliwości porównania. A przecież ceramika jest materiałem masowym dla archeologów.

EP: Jak, z perspektywy lat, ocenia Pan swoje badania w Afryce?

WF: Jak oceniam? Trudne pytanie. Trudno samemu oceniać. Proszę Pani, przede wszystkim, żeby móc coś powiedzieć, to trzeba by prowadzić dalsze badania. To jest wielka góra, z której tylko czubek na razie zdobyliśmy, ale tej treści pełnej to jeszcze nie.

EP: Panie Profesorze niedawno obchodził Pan jubileusz 85-lecia. Na uroczystości przygotowanej z tej okazji były wymieniane Pana liczne osiągnięcia, prowadził Pan badania na Pomorzu, w Wolinie, w Cedyni. Gdy Pan patrzy na cały swój dorobek, to jakie miejsce w Pana dorobku naukowym zajmuje Afryka?

WF: Drugie. Inaczej mi nie wypada. W tym roku obchodzę 60-lecie pracy w Wolinie, bo pracowałem już wcześniej w 1949 roku na Zamku, jako student... Teraz w Wolinie jest tam mój wnuk, ale ja się do tego nie przyczyniłem, to Jego zasługa. Wie Pani, nawet by mi nie wypadało inaczej powiedzieć. Bakcyła na Afrykę połknąłem, i mam go do dziś, jednak moim zdaniem byłoby nawet nieuczciwie, gdybym powiedział, że na pierwszym miejscu stawiam Afrykę. Ja ostatnio w Afryce byłem 10 lat temu na zaproszenie Pana Konare, i tak rozmawiamy z Panią Konare po polsku, i Ona mi mówi: „Wie Pan co? Polska to dla mnie taka druga ojczyzna”, a ja mówię:

„a dla mnie Afryka”. Nauczyłem się wiele w Afryce – muszę to powiedzieć. A Pani myślała, że powiem Afryka? Proszę Pani, ja się tak napracowałem w Wolinie, na tych wykopaliskach u nas. Nie wiem co mnie do tej roboty tak gnało. Ja dwanaście godzin dziennie pracowałem. Miałem tak ułożony dzień – zresztą wzorowałem się na Kostrzewskim i na Churchillu – dobę podzieliłem na dwie części, żeby można było więcej zrobić. Ja do pracy chodziłem na 7.30. Jak chodziłem to nie musiałem kontrolować pracowników, bo zawsze wiedzieli, że ten skurczybyk może przyjść punktualnie. Pracowałem do 15.30, a o 16.00 już byłem w domu, bo mam bliźniętka. Jadłem obiad i szedłem zaraz spać na dwie godziny. Wstawałem na kolację, z żoną pogadałem z godzinę i o 21.00 byłem już w muzeum, gdzie pracowałem do 2.00. W soboty i niedziele też. Dziwię się mojej żonie, że mnie nie porzuciła. Wystarczało mi w sumie sześć godzin snu. Ja byłem odporny, zaprawiony w ciężkiej pracy, bo od czternastego roku życia pracowałem.

EP: W Muzeum krążyły legendy o tym, że pracuje Pan po nocach...

WF: Wie Pani, naprzeciwno był Komitet Wojewódzki i zauważyli, że w nocy w Muzeum świeci się światło, ale ludzie powiedzieli, że to Dyrektor pracuje, a Oni się dziwili „co On robi? Co w muzeum można robić?”

EP: Panie profesorze, był Pan ponad 45 lat Dyrektorem Muzeum w Szczecinie. Jest to jedyne muzeum w Polsce, które w ciągu pięćdziesięciu lat stworzyło od zera ogromną kolekcję afrykańską. Jaki był Pana wkład?

WF: To już jest zasługa Jacka Łapotta. Szkoda, że odszedł z Muzeum. To chyba jedyne takie zbiory w Polsce i to na ogół udokumentowane. Gdyby nie J. Łapott, to by tego wszystkiego nie było. On pracował u nas jako student na badaniach terenowych na Pomorzu. Ja wtedy rozbudowywałem etnografię. Dostałem od prof. Burszty grupę studentów, którzy odwiedzali chaty po chacie, wiocha po wiosce. I ten Łapott mi się spodobał. Miał inicjatywę, był pracowity. Szukałem kogoś do pracy do Muzeum, dowiedziałem się, że On gdzieś na Mazurach pracuje. Zadzwoniłem do Dyrektora do Olsztynka, pytam czy pracuje tu taki, a On mi mówi: „tak, ale co to za natrętny facet”. Pytam się „a o co chodzi?” „On stale czegoś szuka, stale mu coś nie odpowiada. Pracowity jest, ale też uciążliwy”. Myślę sobie, że

On jest uciążliwy to mi nie przeszkadza, byleby był pracowity i miał inicjatywę i pomysły. Ściągnąłem go i nie pomyliłem się. Jakie ja z Nim miałem kłopoty. Przychodzi na przykład do mnie i mówi: „potrzebuję pięćdziesiąt tys. na wystawę”, a ja mówię: „dam dwadzieścia”. I za 25 tys. też zrobił! Miał stale inicjatywę. Dlatego mówię, że żałuję, że jest teraz na uniwersytecie. Choć dobrze, że zrobił doktorat, ja zawsze namawiałem pracowników do pisania doktoratów. Co to za Muzeum, gdzie będą pracowali tylko woźni? Moim zdaniem Muzeum Narodowe w Szczecinie musi się zajmować wieloma dyscyplinami, nie tylko archeologią, etnologią, sztuką itp. W Polsce są takie tradycje, że muzea narodowe to muzea sztuki. Nie ma nic innego narodowego?

EP: Panie Profesorze, jeszcze dzisiaj, po tylu latach, wielu ludzi zadaje mi pytanie, co w Muzeum Narodowym robi Afryka? A może Pan by teraz wszystkim wytłumaczył?

WF: My jesteśmy miastem morskim, co prawda teraz słabym... Gdyby nie ta nasza flota, stocznia, która już dzisiaj jest zrujnowana, to my byśmy się wielu rzeczy nie dorobili w tym kraju. Flota handlowa przynosiła ogromne zyski. Niech Pani popatrzy, wzdłuż wybrzeża, gdzie są muzea, w których reprezentowane są kultury pozaeuropejskie? Kontakt szeroki ze światem, znajomość tych kultur to bardzo ważne.

EP: Co Pan sądzi o szczecińskiej afrykanistyce? Czy ma jakieś perspektywy rozwoju?

WF: Jeśli będą tacy ludzie jak J. Łapott, to się będzie rozwijała. Tylko powinni być z różnych dyscyplin – historycy, etnologowie i archeologowie. To było moje marzenie, dlatego ja ściągnąłem B. Szerniewicza – historyka, S. Szafrąńskiego – archeologa i J. Łapotta – etnografa. Bo w Afryce trzeba prowadzić badania interdyscyplinarnie.

EP: Od kilku lat na Uniwersytecie Szczecińskim są kierunki, na których można studiować archeologię i etnologię. Co by Pan powiedział studentom US? Czy warto prowadzić badania w Afryce?

WF: Warto. Musi być jednak do tego też zaplecze. W Szczecinie tego zaplecza wielkiego nie ma, ale można je utworzyć. Bo jak będzie zespół ludzi

na Uniwersytecie i w Muzeum, to wtedy można organizować wyprawy, wzbogacać zbiory, publikować. Mamy kupę młodych ludzi i niegłupich, wykształconych, którzy chcą robić karierę i trzeba im dać warunki.

WB: Dziękujemy za rozmowę.



Wykop na terenie dzielnicy królewskiej, stanowisko 1, 1968 rok (fot. W. Filipowiak)



Wykopiska na stanowisku 1, osiedle, 1973 rok (fot. Archiwum DKP)



Wykopaliska na stanowisku 1, stare miasto, pałac, 1973 rok (fot. Archiwum DKP)



Wykopaliska na stanowisku 1, osiedle, 1973 rok (fot. Archiwum DKP)

Rozmowy „AFRYKI”

„ZOSTAJĘ PRZY DOGONACH”

Z DR. JACKIEM ŁAPOTTEM – ETNOLOGIEM
ROZMAWIAJĄ WIESŁAWA BOLIMOWSKA,
ANNA BYTYŃ-BUCHAJCZYK I EWA PRĄDZYŃSKA

Wiesława Bolimowska: Co spowodowało, że zainteresował się Pan Afryką? Przypadek czy świadomy wybór?

Jacek Łapott: Nie ma podobno przypadków, są tylko znaki. Cofając się pamięcią do czasów szkolnych, przypominam sobie, że już wtedy zainteresowała mnie – nastolatka, nie tyle sama Afryka, co afrykańskie maski. Zobaczyłem je na „rozkładówce” czasopisma „Dookoła Świata”, które wówczas się ukazywało. Przeczytałem tam po raz pierwszy o etnografii i etnologii. Nie było wtedy oczywiście Internetu, by od razu wyjaśnić znaczenie tych pojęć. Artykuł o maskach i ich fotografie tak mnie zafascynowały, że – muszę się przyznać – wyciąłem je po cichu żyletką z oprawionego rocznika „Dookoła Świata”, należącego do ojca mojego szkolnego przyjaciela.

Ewa Prądyńska: Ile miał Pan wtedy lat?

JŁ: Chodziłem do szkoły średniej. Później, kiedy byłem już na studiach, przyznałem się do tego czynu i przeprosiłem ojca mojego przyjaciela. Myślę, że prawdopodobnie artykuł o maskach był tym przysłowiowym ziarenkiem afrykanistyki, które we mnie zasiano. Nie jestem pewien, czy już wtedy padło na urodzajną glebę. Wybrałem studia etnograficzne, nie wiedziałem jednak, jak potoczą się moje losy.

WB: Studiował Pan na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu?

JŁ: Tak, dawno temu na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Było nas na etnografii siedem osób, ale tylko ja pisałem pracę magisterską

na temat uważany wówczas za „egzotyczny” – o tajnych stowarzyszeniach między innymi w Afryce. Moim promotorem była nieżyjąca już prof. Maria Frankowska, na której seminarium uczęszczałem. Pozostali studenci pisali prace z etnografii Polski.

Po skończeniu studiów w 1971 roku okazało się, że marzenia i rzeczywistość to jednak coś innego. Nie było w zasadzie możliwości zatrudnienia się w dużym mieście, takim jak Warszawa czy Kraków, gdzie w muzeach etnograficznych były działy kultur pozaeuropejskich, ze względu na ograniczenia meldunkowe w stosunku do osób pochodzących spoza tych miast. Przyjechałem do Szczecina, ale wtedy nie znalazłem tu pracy. Interesowały mnie kultury pozaeuropejskie, a takiego działu nie było wtedy w muzeum szczecińskim, nie było także działu etnografii.

Pojechałem aż do Olsztynka – i podjąłem pracę w tamtejszym skansenie – Muzeum Budownictwa Ludowego. Po roku pracy, w 1972 roku, napisałem kolejny list do dyrektora muzeum szczecińskiego Władysława Filipowiaka. Tym razem odpowiedź była pozytywna.

Okazało się, że dyrektor planuje utworzenie w Muzeum odrębnego działu etnograficznego. Wcześniej zbiory etnograficzne zarówno z regionu Pomorza, jak i afrykańskie znajdowały się w strukturze Działu Morskiego. W innych działach, zwłaszcza w Dziale Sztuki Dawnej, znajdowały się zbiory azjatyckie. Zaproponowałem, by je połączyć. W ten sposób powstał Dział Etnograficzny Muzeum Narodowego w Szczecinie. Zostałem kierownikiem tego działu. I tak w myśl zasady „ziarnko do ziarnka” z czasem zbiory zaczęły się powiększać, zwłaszcza po wyprawach dyrektora Filipowiaka do Afryki, a także mojej z 1977 roku. W miarę możliwości gromadzono także zbiory z innych rejonów – Ameryki Południowej, Azji czy nawet z Nowej Gwinei. W 1983 roku można było wyodrębnić Dział Kultur Pozaeuropejskich, w którym większość zbiorów stanowiły kolekcje z Afryki. Była to długa i żmudna droga. Wracając do moich osobistych doświadczeń, kolejnym przypadkiem, który zaważył na tym, że zainteresowałem się poważnie Afryką, była moja pierwsza wyprawa na ten kontynent na przełomie 1976 i 1977 roku.

W owym czasie dyrektor Filipowiak przygotowywał swoją kolejną wyprawę archeologiczną do Afryki Zachodniej. Pamiętam, że zwróciłem się do niego o zgodę na wyjazd, na co dyrektor mi odpowiedział: „Panie Łapott, nie wierzę, by Pan tam coś ciekawego zrobił, ale jak Panu odmówię,

to do końca życia będzie Pan mi wypominał”. I się zgodził. Trudno w tej chwili powiedzieć, czy moje zainteresowania, jak mawiano „egzotyczne”, wytrzymałyby próbę czasu i trwałyby nadal, gdyby nie ten wyjazd. Od napisania pracy magisterskiej o tajnych stowarzyszeniach (na podstawie dostępnej wówczas literatury) do pierwszego, bezpośredniego kontaktu z Afryką minęło kilka lat.

WB: Co to była za wyprawa?

JŁ: Koła Naukowego Studentów Etnografii uniwersytetu poznańskiego. Była to jedna z wypraw, jakie wtedy studenci organizowali z dużym nakładem swojej pracy, zdobywając środki w różny sposób. Pod wieloma względami była to jednak wyprawa pionierska.

EP: Dlaczego uważa Pan, że wymagało to ogromnych wysiłków? Na czym polegał ten pionierski charakter?

JŁ: Pani Ewo, to były inne czasy. Pani nie było jeszcze wtedy na świecie. Świat funkcjonował według innych zasad...

Najważniejsze było pozyskanie samochodu, bo był to wówczas główny środek transportu takiej wyprawy. To było zdecydowanie trudniejsze niż dzisiaj kupno biletu na samolot.

WB: Jak uzyskaliście samochód?

JŁ: To zasługa moich kolegów z wyprawy. Kiedy ja do nich dołączyłem samochód już był. Rysiek Vorbrich, jeden z organizatorów tego przedsięwzięcia, opowiadał mi, że samochód załatwiono na najwyższym szczeblu Ministerstwa Obrony Narodowej. Wypożyczono go nam na czas trwania wyprawy.

Trzeba było ponadto załatwić takie sprawy, jak np. zgromadzenie zapasów żywności. Przy ówczesnych przelicznikach walutowych koszty wyżywienia były w Polsce zdecydowanie niższe niż w Afryce. Łatwiej też było załatwić w Polsce żywność czy złotówki na jej zakup niż tzw. dewizy. Dlatego zabieraliśmy ze sobą konserwy i inne trwałe produkty spożywcze. Trzeba było również starać się o pozyskanie przynajmniej symbolicznych ilości pieniędzy w walutach wymiennalnych. Przy Zrzeszeniu Studentów Polskich istniało wtedy biuro turystyczne „Almatur”, które zajmowało się m.in.

wspieraniem wyjazdów studenckich. Polegało to przede wszystkim na umożliwieniu zakupu określonej sumy walut po tzw. kursie turystycznym, zdecydowanie niższym od kursu czarnorynkowego. W owych czasach umożliwiało to zobaczenie kawałka świata, co było celem wielu inicjatyw studenckich. Pamiętam, że kiedy ubiegaliśmy się o możliwość zakupu dewiz, to na liście tych, którzy otrzymali zgodę było tylko kilka grup studenckich, a wnioski składało ponad sto. Po uzyskaniu zgody na zakup przydzielonej ilości dewiz, trzeba było oczywiście zgromadzić odpowiednią sumę złotych aby je nabyć. Już wtedy podejmowano się pionierskich prac w reklamowaniu polskich firm na trasie podróży, umieszczając ich logo na samochodzie czy w specjalnie wydawanych folderach. Organizacja takiej wyprawy zajmowała często grupie inicjatywnej około dwóch lat.

EP: W jakim charakterze uczestniczył Pan w tej wyprawie?

JŁ: Uczestnika. Kierownikiem organizacyjnym był Włodek Żukowski. Organizatorzy zaproponowali, abym został kierownikiem naukowym wyprawy, uznając, że jako pracownik muzeum szczecińskiego, mając już stopień magistra i pewną wiedzę o Afryce, mogę pełnić tę funkcję. W ostatniej chwili Rektor UAM uzależnił zgodę na wyjazd wyprawy od udziału w niej adiunkta – pracownika tej uczelni, który zostałby jej kierownikiem. Warunek ten udało się nam spełnić. Dołączył do nas Tomek Schramm i wyprawa wyruszyła.

Kiedy organizowano następne wyprawy, miałem już większe doświadczenie. Muzeum szczecińskie było wtedy instytucją, do której zwracano się z prośbą o współpracę w organizowaniu wypraw. Sam również zacząłem przygotowywać wyprawy. Tak było w przypadku ekspedycji studentów Uniwersytetu Warszawskiego i następnej wyprawy studentów z UW i UAM. Muzeum szczecińskie było wtedy najbardziej znaną placówką w Polsce, prowadzącą badania w Afryce.

EP: Pojechał Pan do Afryki, by przeżyć wielką przygodę?

JŁ: Pani Ewo, przypominam, że świat był wtedy inny. Jeżeli ktoś wyjeżdżał do Afryki, to chciał coś zrobić. Głównymi organizatorami tych wypraw byli studenci, więc zakładali, że zbiorą materiały do prac magisterskich. To nie był zły pomysł. Po powrocie z Afryki uczestniczący w wyprawach

studenci byli zobowiązani do przedstawienia wyników swojej pracy. Mobilizowało to ich, by w Afryce zbierać materiały, a nie tylko przeżywać, jak Pani powiedziała, wielką przygodę. Dzięki tym wyprawom powstały dobre prace magisterskie.

Kilka osób, z którymi pojechałem do Afryki, zostało do dziś przy zainteresowaniach afrykanistycznych. Wspólny wyjazd był czasami początkiem ich kariery naukowej.

WB: Ilu było uczestników wyprawy i jaka była jej trasa?

JŁ: Osiem osób: czwórka studentów (Paweł Kostuch, Tomasz Szymaniak, Ryszard Vorbrich i Włodzimierz Żukowski), lekarz – Andrzej Polaszewski, kierowca – Leon Bąbelek i ja. Tomek Schramm musiał niestety ze względów zdrowotnych wrócić wcześniej.

Z Gdyni płynęliśmy do Algieru polskim statkiem handlowym m/s „Siemiatycze”, a stamtąd jechaliśmy ciężarówką Star do Kamerunu. Pamiętam, że podczas wielodniowej podróży statkiem prowadziliśmy wykłady dla uczestników naszej wyprawy i załogi. Tomek Schramm mówił o historii Afryki, a ja o tym czego nauczyłem się na studiach i co przeczytałem o Afryce i o ludach tego kontynentu.

W Algierze napotkaliśmy od razu na pierwszą barierę. Otóż władze portowe nie zgadzały się na szybkie wyładowanie naszej ciężarówki. Jechaliśmy z zawodowym kierowcą oddelegowanym przez uniwersytet poznański. Był to wtedy dla nas starszy pan, który mieszkał w Poznaniu. Tak się złożyło, że córka jego sąsiadów wyszła za mąż za Algierczyka i wyjechała do Algieru. Przez całą drogę nasz kierowca opowiadał, że Ali wszystko może nam załatwić. Kiedy więc w porcie w Algierze wydawało się nam, że spędzimy tam więcej czasu niż zakładaliśmy, postanowiliśmy zatelefonować do Alego i powiedzieć o naszych trudnościach. Zaraz przyjechał do nas na nabrzeże, poszedł do ochmistrza naszego statku i razem przygotowali jakieś upominki. Pojechał z prezentami do administracji portu i wrócił z odpowiednimi papierami. Samochód został wyładowany, my szybko do niego wsiedliśmy i odjechaliśmy z portu. Wtedy po raz pierwszy zetknęliśmy się praktycznie z określeniem „to jest Afryka”. Z pośpiechu chyba nie zdążyliśmy się nawet pożegnać z załogą statku. Okazuje się, że czasami przypadek przesądza o powodzeniu przedsięwzięcia. Ali gościł nas jeszcze

parę dni w Algierze, ponieważ musieliśmy załatwić wizy do innych państw. Potem wyruszyliśmy na południe.

W czasie podróży statkiem starałem się przekonać uczestników wyprawy, by nie jechać prosto na południe do Kamerunu, jak zakładał nasz pierwotny plan, ale w Nigrze, w okolicy Niamej, zboczyć do Mali i dotrzeć do kraju Dogonów. Pamiętam, że przed wyjazdem przeczytałem – także w „Dokoła Świata” – cykl artykułów o kosmogonii Dogonów i o warunkach ich życia w niedostępnych górach. Na zamieszczonych fotografiach wyglądało to fantastycznie. Jeszcze w Polsce, w Katedrze Etnografii UAM znalazłem książkę M. Griaule’a – *Masques Dogon*. W tej wielkiej księdze była mapa kraju Dogonów. Zrobiłem odbitkę tej mapy, co wtedy nie było tak łatwe jak obecnie. O ile pamiętam nazywało się to światłokopią. Mapę tę wziąłem ze sobą. Po dyskusjach udało mi się namówić uczestników wyprawy do wyjazdu do kraju Dogonów. Ostatecznie utwierdził nas w tym zamiarze nieżyjący już polski lekarz Bogdan Szczygieł¹, u którego gościliśmy w Niamej. Sam bardzo chciał do nich pojechać i gorąco namawiał nas, aby dotrzeć do Dogonów, jeśli tylko to jest możliwe. Dzięki jego pomocy udało się nam szybko otrzymać wizę malijską. Pojechaliliśmy tam przez Gao i przeprowadziliśmy pierwsze, miesięczne badania. Trasa całej naszej podróży przez kontynent afrykański liczyła ponad 13 000 km. Dojechaliliśmy docelowo do Kamerunu, gdzie wyprawa zakończyła się na tzw. Trasie Rogozińskiego. Pomimo tak długiej drogi, najlepiej zapamiętałem Dogonów.

WB: Udział w wyprawie umożliwił Panu pozyskanie eksponatów do muzeum...

JŁ: Nie miałem obowiązku gromadzenia materiałów do pracy magisterskiej, jak studenci, ponieważ miałem to już za sobą. Nie ukrywałem przed pozostałymi uczestnikami, że moim celem było pozyskanie eksponatów

¹ Bogdan Stanisław Szczygieł (1928-1986) – doktor nauk medycznych, pisarz, podróżnik, działacz społeczny. W latach 1964-1977 pracował w Algierii a później w Nigrze gdzie m.in. był doradcą prezydenta republiki ds. służby zdrowia. Swoje afrykańskie doświadczenia opisał w książkach wydanych w latach 1966-1986. W rodzinnym Olkuszu utworzył Muzeum Afrykanistyczne, noszące obecnie jego imię.

do muzeum szczecińskiego. Przed wyjazdem dyrektor Filipowiak, który wiedział jak w praktyce wygląda pozyskiwanie zbiorów w Afryce, przekazał mi karton stu mydeł i sto flakoników wody kolońskiej „Czerwony Mak”, abym wykorzystał je na wymianę. To był mój „kapitał” z jakim zaczynałem. Pamiętam, że na początku nie bardzo nam się udawało pozyskać eksponaty. Przez całą Saharę nabyliśmy zaledwie kilka i to za wcale niemałe dla nas pieniądze. Kiedy chciałem kupić tuareski miecz *takouba*, musiałem wydać na niego moje nieliczne dewizy, bo właściciel nie był zainteresowany ani mydełkiem ani wodą „Czerwony Mak”. Pamiętam, że w Tamanrasset kupiliśmy małe juki na wielbłąda i bransoletkę. Potem jednak, gdy od rybaków nad Nigrem w Mali kupiliśmy wielką wierszę do połowu ryb i ościenie, wrócił mój optymizm. Były to już przedmioty ekspozycyjne i pomysł zorganizowania wystawy po wyprawie zaczął wydawać się realny. Kiedy zaś dotarliśmy do kraju Dogonów – a zdarzało się, że w niektórych wsiach byliśmy drugą lub trzecią grupą białych, która tam się pojawiła za pamięci ich mieszkańców – okazało się, że są oni skłonni wymieniać swoje przedmioty na wszystko potrzebne i niepotrzebne co mieliśmy. Wymienialiśmy zatem wszystko, co nie było niezbędne do dalszej podróży, łącznie z odzieżą. Z wyprawy przywieźliśmy ponad tysiąc dwieście eksponatów. Było to też dla nas wszystkich praktyczne doświadczenie ułatwiające nawiązywanie kontaktów z miejscową ludnością, próba oceny tego co jest bardziej wartościowe a co mniej i jak dokonywać takiej wymiany. Niektóre przedmioty były tak urzekające i wydawały się tak unikalne, że kupowaliśmy je, wydając na ten cel nasze skromne zasoby dewizowe.

WB: Ta pierwsza, studencka wyprawa miała, o czym wspomniał Pan na początku rozmowy, ważny wpływ na Pana życie zawodowe. Na długie lata związał je Pan z muzeum szczecińskim. Później były następne wyjazdy do Afryki, wzbogacające muzealne zbiory. Po latach, jakie eksponaty uważa Pan za szczególnie cenne, do których z nich ma Pan stosunek sentymentalny, bo wiążą się z przeżyciami towarzyszącymi ich pozyskaniu?

JŁ: Trudno powiedzieć. Po pierwszej wyprawie doskonale pamiętałem – choć przywieźliśmy setki przedmiotów – kiedy, w jakiej wiosce uzyskałem dany eksponat i za co go wymienilem. Zawsze staraliśmy się nabywać ko-

lekcje przedmiotów z myślą o przyszłej wystawie. Nie pamiętam kto wpoił mi taki sposób pozyskiwania przedmiotów, ale starałem się aby kolekcja jak najpełniej pokazywała kulturę grupy etnicznej, w której prowadziliśmy badania. Tak było podczas pierwszej wyprawy w przypadku Dogonów, a także ludów Kirdi Daba i Kirdi Guidar z Północnego Kamerunu. Jeśli chce się bowiem przedstawić kolekcję prezentującą różne aspekty danej kultury, to musi ona liczyć co najmniej kilkaset eksponatów i będą w niej oczywiście przedmioty bardziej i mniej cenne. Często są one bardziej cenne dla Afrykanów niż dla Europejczyków. Na początku na przykład nie bardzo zdawałem sobie sprawę, że maski, które nabywaliśmy u Dogonów, to maski *imina-na*, te które wykonuje się z okazji święta *Sigi*, obchodzonego raz na sześćdziesiąt lat. Afrykanie, którzy nam je sprzedawali mówili, że są to o wiele bardziej popularne maski *sirige*. Prawdopodobnie nie byli ich prawdziwymi właścicielami. Nie wiedziałem wówczas, że maski, które nabywamy, będą najstarszymi w polskich zbiorach. Dwie z nich były robione sto dwadzieścia lat wcześniej, a dwie kolejne sto osiemdziesiąt. To okazało się dopiero po powrocie do Polski. W tamtych czasach mogliśmy kupić maski – i to nie tylko maski *imina-na* – jedynie w nocy, aby nie widziały ich kobiety, dzieci a nawet sąsiedzi. Pamiętam, że kiedyś jeden z Dogonów kazał kobietom iść po wodę w środku nocy, ponieważ chciał nam pokazać maski i dokonać transakcji. Kobiety doskonale wiedziały, że nie muszą wędrować po wodę, tylko opuścić zagrodę.

Maski przynoszono nam zawinięte w szmaty, worki i odsłaniało się je tylko częściowo, aby można było ocenić czy warto je kupić. Po nabyciu wkładaliśmy je do samochodu i oglądaliśmy je dopiero w Polsce.

Dzisiaj, kiedy kraj Dogonów odwiedza około 150 tys. turystów, wszyscy mogą oglądać maski. Powstały nawet grupy taneczne, wykorzystujące tradycyjne stroje i maski. Występują one na imprezach dla turystów i w ten sposób zarabiają. Teraz nabywanie eksponatów przypomina trochę zakupy w supermarkecie – wkłada się do wózka wybrane przedmioty. Czasem można trochę utargować, a jeśli ktoś o tym nie wie, płaci tyle, ile żądają sprzedający. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych natomiast, zakup każdego przedmiotu to był teatr. Każda ze stron chciała popisać się swoimi zdolnościami handlowymi, tym bardziej gdy transakcję obserwowali widzowie. Przedstawienie nie mogło więc ograniczać

się do pięciu minut, musiało trwać znacznie dłużej. Trzeba było szybko reagować na propozycje cenowe, argumentować swoje racje. W połowie pierwszej wyprawy koledzy odkryli u mnie zdolności handlowe, o jakich do tego czasu nie wiedziałem i scedowali na mnie wszystkie transakcje. Nieraz targi trwały do późnej nocy. Miejscowi Afrykanie szybko zorientowali się jaka jest moja rola w tych wymianach. Pamiętam, że podczas pierwszej wyprawy, a mieszkaliśmy wtedy na misji protestanckiej prowadzonej przez amerykańskich misjonarzy w Sangha, w kraju Dogonów, często słyszałem w nocy przejmujący szept: „Jassek, Jassek”. Musiałem wychodzić ze śpiwora i podchodzić do ogrodzenia. Stojący tam Afrykanin zwykle wręczał mi tajemnicze zawiniątko, zapowiadając, że przyjdzie za dnia sfinalizować interes. Nazajutrz przychodził i cichutko siadał w kącie, czekając aż do niego podejść. Ja z kolei nie zawsze mogłem rozpoznać osoby, które wręczały mi w nocy różne przedmioty. Ale nasz przewodnik i przyjaciel, nieżyjący już Gladiolou Dolo czuwał nad wszystkim i wyjaśniał, że siedzący – czasami przez kilka godzin – mężczyzna czeka na ukończenie transakcji.

EP: Z którego eksponatu jest Pan najbardziej dumny?

JŁ: Dzisiaj? Z pięciu masek *imina-na*.

WB: Dlaczego?

JŁ: Są to maski przygotowywane na święto *Sigi*, które odbywa się w kraju Dogonów raz na sześćdziesiąt lat. W każdej wiosce, w której występuje to święto – a jest to kilkanaście wiosek – jest przygotowywana jedna wielka maska. Nie służy ona jednak do zamaskowania postaci, ale jest stawiana w miejscu, gdzie odbywają się uroczystości. Maski te mają często wysokość dochodzącą do sześciu, nawet ośmiu metrów. Te, które mamy w Szczecinie są dwu-trzymetrowej wysokości. Dwie z nich mają ponad sto osiemdziesiąt lat, a być może pochodzą nie sprzed trzech, ale pięciu świąt *Sigi*. Warto by było zbadać ich wiek przy pomocy analizy C-14. Weszliśmy w ich posiadanie przez przypadek. Dziś nabycie takich masek nie byłoby możliwe, choćby dlatego, że od ostatniego święta, obchodzonego w 1967 roku, minęło już wiele lat. Ponadto ceny byłyby zdecydowanie wyższe.

Anna Bytyń-Buchajczyk: Dla mnie ciekawe jest to, że każdy eksponat był przedmiotem handlu, a niektóre rzeczy czasami miały kilku właścicieli.

JŁ: Zdarzało się tak kilkakrotnie, że kupowaliśmy jakiś przedmiot od jednej osoby, a potem zgłaszał się współwłaściciel lub okazywało się, że przedmiot należy do kogoś innego. Dziś wiem, że wspomniane maski *imina-na* są własnością publiczną i ich sprzedaż wymaga zgody rady starszych. Pamiętam bardzo dramatyczną sytuację w wiosce Takpanta, u ludu Somba w Beninie. Było to w 1987 roku. Przyjechaliśmy do odosobnionej wioski w górzystym terenie i mieliśmy dużo różnych rzeczy na wymianę. Młody człowiek przyniósł nam ozdobny róg muzyczny, który wymieniliśmy – o ile dobrze pamiętam – na nową koszulę, na której bardzo mu zależało. Byliśmy już w sąsiedniej wiosce, gdy pojawiła się grupa starych Somba, a na ich czele szedł bardzo zdenerwowany starzec prowadzący za ucho owego młodzieńca, który przyniósł nam róg. Zaczął tłumaczyć, że ten oto chłopak – jego wnuk – sprzedał nam róg należący do niego. Chcąc załagodzić sprawę, zaproponowałem, że dołożę coś do wymiany np. koszulę dla dziadka. On jednak uporczywie domagał się zwrotu rogu. Pojemniki z eksponatami znajdowały się pod innymi na dnie samochodu i aby się do nich dostać, trzeba było rozładować całą ciężarówkę. Wymagało to od nas dużego wysiłku fizycznego. Chcąc tego uniknąć powiedziałem dziadkowi, że prawdopodobnie zgubiliśmy róg po drodze. Kiedy tłumacz to powiedział, chłopiec zbladł i usiłował wyrwać się dziadkowi. Ten sięgał bowiem po nóż zawieszony w ozdobnej pochwie na szyi i chciał na naszych oczach przebić nim wnuka. W takiej sytuacji przystąpiliśmy do rozładowania samochodu. Wprawdzie dziadek nakazał rozładować go wnukowi jako winowajcy całej sprawy, ale woleliśmy uczynić to sami. W ostatnim rozładowanym kontenerze odnaleźliśmy róg i oddaliśmy ucieszonemu dziadkowi. Okazało się, że był to róg muzyczny, używany przez najstarszą grupę wieku tej społeczności podczas ogólnowioskowych uroczystości. Od chłopaka nie żądaliśmy nawet zwrotu koszuli, ciesząc się, że całą sprawę udało się załagodzić. Kiedy żegnaliśmy się z mieszkańcami tej wioski mówili nam, że mimo tego incydentu są bardzo zadowoleni z wymiany i prosili, abyśmy następnym razem przyjechali dwiema ciężarówkami i przywieźli dwukrotnie więcej „towaru” na wymianę. Kiedy w 1990 roku przyjechaliśmy tam dwoma Tarpanami, byli urażeni.

WB: Były to lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Ile w tym okresie zorganizowaliście takich młodzieżowych wypraw, które – jak się okazało – miały tak ważne znaczenie w zawodowym życiorysie Pana i innych osób?

JŁ: Sporo, musiałbym policzyć. Pierwsza była w 1977 roku, potem wyprawa do Sudanu w 1985, do Somba w 1987, jeszcze raz w te okolice wspomnianymi Tarpanami w 1990 roku. Oczywiście, z różnych względów skład się zmieniał. Kiedyś obliczyłem, że w tym pierwszym okresie „samochodowym” podróżowałem z 36 osobami, z niektórymi kilkakrotnie. W 1985 roku dotarłem do Sudanu. Podróżowaliśmy przez Egipt i Sudan samochodem, który dopłynął polskim statkiem do Aleksandrii. W wyprawie tej brali udział między innymi Sławomir Krysik, Karol Piasecki, Tomasz Potkański i Maciej Ząbek. To było duże wyzwanie. Nowy region, znaczące wpływy islamu itp. Podczas tej wyprawy dotarliśmy w góry Kordofanu do grup ludów Nuba, na pogranicze dzisiejszego Sudanu i Południowego Sudanu. W podróży spędziliśmy prawie dziewięć miesięcy. Trudno w to uwierzyć, ale cały czas korzystaliśmy z zabranej z Polski żywności. Wtedy to przywieźliśmy do muzeów w Szczecinie i w Kaliszu jednorazowo największą kolekcję eksponatów – ponad 1300 sztuk.

Ostatnią wyprawę samochodem zorganizowaliśmy w 1990 roku, wtedy już oczywiście nie zaliczałem się do młodzieży. Wzięli w niej udział między innymi Andrzej Błażyński, Lucjan Buchalik, Wojciech Dohnal, Zbigniew Staszyszyn, Alicja Trojanowska. Dzięki Zbyszkowi Staszyszynowi, fotoreporterowi z Poznania, udało się nam pozyskać wspomniane dwa Tarpany. Początkowo miał to być nowy model, ale prace konstrukcyjne się przedłużały i dano nam standardowe pojazdy, które miały tylko powiększone zbiorniki na paliwo. Tymi samochodami jechaliśmy z Polski przez całą Europę, Gibraltar, Maroko, Algierię, Mali, Niger do Beninu i z powrotem. Tarpany z trudem zniosły podróż przez Saharę. W drodze powrotnej trzeba było przez całą Europę holować jeden z uszkodzonych samochodów. Zapisywaliśmy i filmowaliśmy jak sobie dają radę w tamtych warunkach. Kiedy wróciliśmy były inne czasy i nikt się już nie interesował naszymi uwagami. Dla nas Tarpany były tańszym i wygodniejszym środkiem lokomocji w podróży po Afryce i przywieźliśmy nimi ponad pięćset eksponatów, w tym skórzany namiot tuareski z całym „oprządkowaniem”.

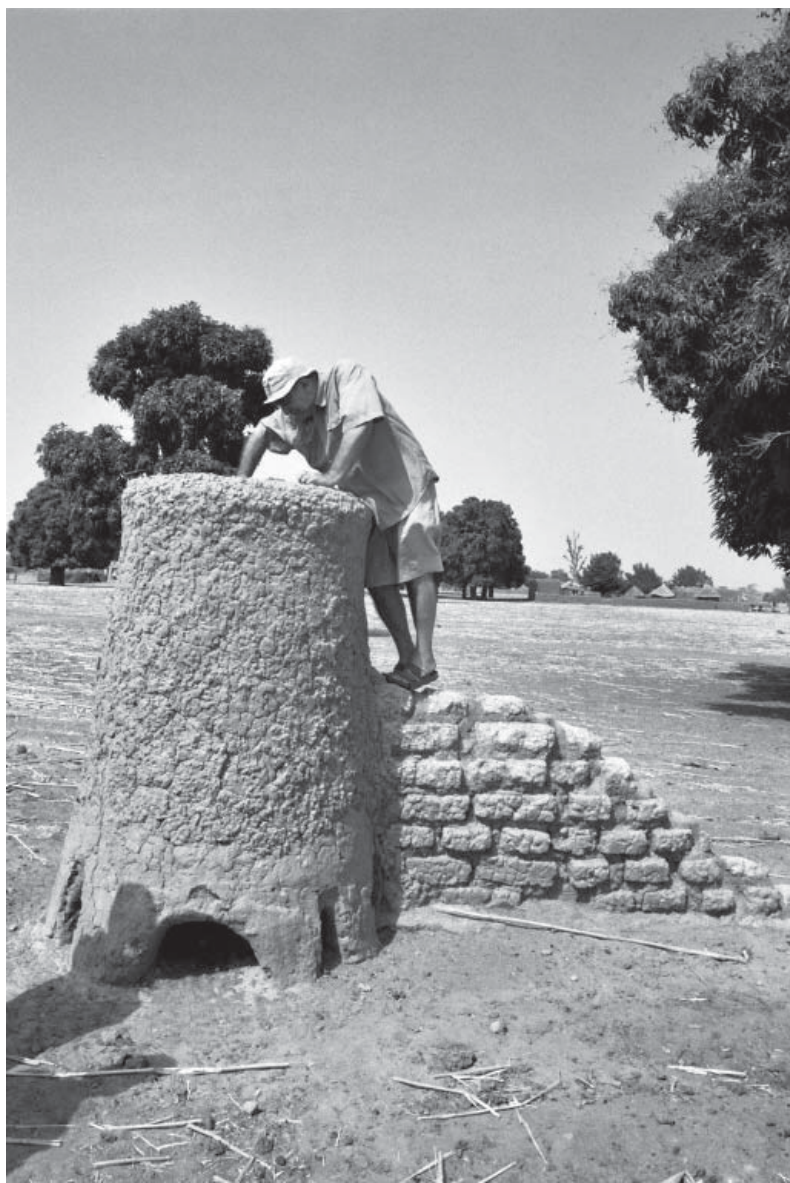


Ładowanie łodzi papirusowej *kadaje* na samochód wyprawy, Jezioro Czad, Nigeria, 1977 rok (fot. ze zbiorów J. Łapotta)

WB: W latach dziewięćdziesiątych i później ponownie wyjeżdżał Pan do Afryki i organizował wyprawy, choć już na innych zasadach...

JŁ: W 1996 roku mój wyjazd do Afryki sfinansowało Muzeum Narodowe w Szczecinie. Skończyły się bowiem czasy „wypraw samochodowych”. Zorganizowanie wyprawy posiadającej własny środek transportu wymagało wiele czasu i wysiłków. Sama podróż przez Afrykę zajmowała ponadto kilka miesięcy. Jak wspomniałem nasza wyprawa w 1985 roku trwała dziewięć miesięcy. W dzisiejszych czasach taki wyjazd byłby niemożliwy. Żaden pracodawca by się na to nie zgodził.

Można powiedzieć, że od 1996 roku, kiedy od dyrekcji muzeum otrzymałem bilet lotniczy i diety na trzydzieści dni, z adnotacją, że mogę zostać dłużej, jeśli wystarczy mi pieniędzy, rozpoczął się etap moich „wypraw samolotowych”.



Jacek Łapott penetrujący czynną dymarkę, wieś Kena, Mali (fot. E. Prądyńska)

WB: W latach dziewięćdziesiątych i później prowadził Pan badania nad kulturą żelaza. Był to temat Pana pracy doktorskiej. Wydał też Pan książkę poświęconą tej tematyce². Jakie nasuwają się refleksje po tych badaniach?

JŁ: To bardzo istotny temat, ale ciągle niezbadany. W różnych publikacjach opisywane są w istocie te same przykłady. Nie tylko na podstawie moich badań i obserwacji, ale także innych badaczy, można by przypuszczać, że Afryka Zachodnia była kolebką obróbki żelaza. W niektórych publikacjach pojawiły się hipotezy, że stanowiska wytopu na pograniczu Nigerii i Kamerunu mogą mieć nawet dwadzieścia tysięcy lat. Brzmi to wręcz nieprawdopodobnie. Wiek tych stanowisk nie został dokładnie zbadany. Szkoda.

Nie prowadziłem badań historycznych, z tego względu, że moja praca miała charakter etnograficzny. Nie dokonywałem zbyt licznych analiz fizycznych i chemicznych pozwalających ocenić skład żelaza na badanym przeze mnie obszarze, nie prowadziłem także analiz umożliwiających datowanie znajdowanych przedmiotów. Jestem natomiast pewien, że gdyby pójść tym tropem i zgromadzić szerszy materiał porównawczy z różnych stanowisk chociażby w Afryce Zachodniej wyniki by nas zaskoczyły.

Afryka Zachodnia nadal czeka na prawdziwego odkrywcę historii żelaza. Ja pisałem o okresie prawie współczesnym, o tym co na pograniczu Beninu i Togo pozostało w pamięci tych nielicznych osób, które kiedyś zajmowały się wytopem żelaza. Sam w tym regionie nie widziałem już wytopu żelaza. Mówiono mi wówczas, że ostatnie dymarki w Afryce Zachodniej wygaszono na Wybrzeżu Kości Słoniowej w 1984 lub 1985 roku.

Kilka lat temu, prowadząc badania na inny temat w Mali spotkaliśmy przypadkowo rodzinę hutników i kowali zajmującą się wytopem żelaza. Było to w 2008 roku, w wiosce odległej o około sto dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Bamako. Brałem wtedy udział w badaniach Ewy Prądyńskiej nad mało znanym w Polsce teatrem lalek u ludu Bamana (bardziej znanym jako Bambara) w Mali. Szukając wiedzy na ten temat z trudem dotarliśmy do miejscowego lalkarza drogą przez busz. Z na-

² J. Łapott, *Pozyskiwanie żelaza w Afryce Zachodniej na przykładzie ludów masywu Atakora*, Żory 2008.

wyku zapytałem, czy w okolicy nie ma dymarek. Okazało się, że w okolicy mieszka wielu kowali. Niektórzy nadal zajmują się wytopem, są również tacy, którzy chcą reaktywować pozyskiwanie żelaza w dymarkach. Uważają oni bowiem, że takie żelazo ma inne właściwości niż to, które pochodzi ze złomu, np. z przysłowiowych resorów lub innych części samochodowych. Żelazo z dymarek używane jest przede wszystkim do wyrobu przedmiotów sakralnych. Podobno fetysze i amulety wykonane z takiego żelaza mają szczególne właściwości. Możliwość zobaczenia czynnych dymarek bardzo nas zaintrygowała. Pojechalśmy do wioski Kena. Po wstępnych rozmowach umówiliśmy się, że postaramy się przyjechać w porze suchej, bo tylko wtedy hutnicy dokonują wytopu i będziemy mogli uczestniczyć w całym procesie pozyskiwania żelaza. Na początku 2009 roku pojechałem tam z Lucjanem Buchalikiem i obserwowaliśmy to wydarzenie – cały proces wytopu żelaza od początku do końca. Nawet to sfilmowaliśmy. Świadczy to o tym, że wytop żelaza w Afryce Zachodniej nie skończył się w latach osiemdziesiątych, trwa nadal i być może można byłoby znaleźć jego ślady również w innych regionach. Jak się dowiedzieliśmy ostatnio, najstarszy z kowali – Diatourou Fane – organizator wytopu z Kena zmarł w zeszłym roku. Zostawił wielu synów i mamy nadzieję, że tradycja wytopu jest kontynuowana.

WB: Wspominał Pan kilkakrotnie o fascynacji kulturą Dogonów. Od ponad trzydziestu lat ma Pan kontakt z przedstawicielami społeczności dogońskiej. Jakie przemiany zaobserwował Pan w tym okresie, i które z nich uważa Pan za najważniejsze?

JŁ: Wyjeżdżając do Afryki w 1977 roku, jak już wspominałem, zabraliśmy ze sobą odbitkę mapy z książki M. Griaule'a o maskach dogońskich. Było na niej zaznaczone wzgórze, gdzie znajdowały się trzy małe wioski o nazwie Youga³. Postanowiliśmy udać się tam w pierwszej kolejności. Kraj Dogonów był wówczas mało dostępny, a zwłaszcza takie górskie wioski. Musieliśmy wynająć karawanę tragarzy, która przenosiła nasze bagaże. Spaliśmy wtedy w namiotach, na dmuchanych materacach i w śpiworach, mieliśmy ponadto duże zapasy żywności. Wszystko to trzeba było transportować przy po-

³ Youga-Piri, Youga-Dogorou, Youga-Na.

mocy tragarzy. Samochód z kierowcą zostawiliśmy na misji protestanckiej w Sangha, my zaś z dziesięcioma tragarzami wędrowaliśmy pieszo przez cały dzień. Kiedy dotarliśmy do jednej z tych wiosek i zobaczyły nas dzieci, uciekały przestraszone, bo nigdy nie widziały białych.

Pytała Pani o zmiany. Atrakcyjność wiosek Youga, umocowanych na skalnych tarasach oddzielonych wąwozami, z charakterystyczną dogońską architekturą, z czasem doceniły biura turystyczne a także sami Dogonowie. Dzisiaj w każdej z tych wiosek jest *campement*, gdzie można przenocować oraz co najmniej kilka *artisan* – sklepików gdzie można kupić pamiątki. Z jednej wioski Youga do drugiej można dotrzeć krętymi, górskimi ścieżkami. Niektórzy turyści, zafascynowani krajem Dogonów dają nawet pieniądze lokalnym szefom na poprawę stanu ścieżek, aby do tych wiosek mogły dotrzeć nie tylko osoby w pełni sprawne, ale także turyści-emeryci. Turyści przyjeżdżają nie tylko do tych trzech wiosek Youga. W kraju Dogonów jest około osiemset wiosek, a liczbę ich mieszkańców szacuje się na 400-500 tysięcy. Największym zainteresowaniem turystów cieszą się wioski położone na obrzeżach masywu Bandiagara – ojczyzny Dogonów. Na tzw. rumowisku skalnym usytuowane są tarasowato najpiękniejsze wioski. Pomimo stale wzrastającego ruchu turystycznego wielu Dogonów jest przekonanych, że to nie oni zarabiają najwięcej na turystyce, ale biura turystyczne.

WB: Czy są to biura firm zagranicznych?

JŁ: Nie. Większość to biura miejscowe, malijskie. Czasami tylko zagraniczne biura turystyczne wchodzą z nimi w stałą współpracę.

Jedną z niewielu usług turystycznych, z której Dogonowie mogą czerpać zyski, jest hotelarstwo. Grupy turystyczne, które do kraju Dogonów przyjeżdżają zwykle na dwa-trzy dni, muszą gdzieś spać i coś jeść. W atrakcyjnych turystycznie wioskach powstają *campements*, jak miejscowi nazywają te hoteliki budowane w stylu miejscowej architektury bądź z kamienia.

W tego rodzaju usługi hotelarskie angażują się nie tylko Dogonowie, ale także przybysze z innych grup etnicznych: Bamana, Fulbe czy nawet Mossi z Burkina Faso.

Obserwując rozwój turystyki w tym regionie, dochodzę do wniosku, że w istocie największe zyski ze swoistej inwazji turystów czerpią ci Dogono-

wie, którzy zajmują się handlem tak zwanymi pamiątkami, tym co można kupić w sklepikach – *artisanach*. Jeśli przyjąć, że rocznie przyjeżdża do kraju Dogonów 150 tys. turystów i każdy kupuje choćby jedną pamiątkę, to nasuwa się wniosek, że trzeba również wyprodukować co najmniej 150 tys. tych pamiątek i jeszcze dostarczyć je turystom. Nie ma już bowiem zasobów oryginalnych przedmiotów, jakie można było znaleźć jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Można oczywiście kupić przedmioty używane na co dzień przez Dogonów, o ile turysta chce dobrze zapłacić. Dziś bowiem wszystko jest na sprzedaż, nawet obrzędowa maska przygotowywana na święto *Sigi* czy *Dama*. Dogońscy sprzedawcy dawali mi jednak do zrozumienia, że turysta, który od razu płaci żądaną cenę i nie targuje się, pozbawia ich połowy satysfakcji. Mają oni wprawdzie zysk, ale nie mają okazji uczestniczenia w tym teatrze, o którym mówiłem wcześniej. Skoro klient od razu się zgodził i zapłacił, to sprzedawca uważa, że podał za niską cenę i tym samym stracił potencjalny zysk. Niezależnie jednak od tych subiektywnych wątków, najważniejsze znaczenie ma stały dopływ wcale niemałych pieniędzy do wiosek Dogonów.

WB: W co oni inwestują?

JŁ: Pojawiło się dużo nowych środków lokomocji, poczynając od rowerów a na samochodach kończąc. Bardzo popularne są motorowery, kiedyś francuskie, obecnie coraz częściej chińskie. Widać sporo anten telewizyjnych, wiele osób posiada odtwarzacze – dzisiaj mniej co prawda ogląda się telewizję, a więcej filmy na taśmach VHS czy na płytach DVD. Następują zmiany w architekturze i w osadnictwie. Od wieków wioski dogońskie powstawały na skalnych rumowiskach w górach, ponieważ zapewniało to większe bezpieczeństwo, chroniło przed najazdami wrogów. Jest to jednocześnie uciążliwe na co dzień, choćby dlatego, że trzeba codziennie nosić wodę na górę, czy chodzić daleko by uprawiać pole. Niektóre rodziny przenoszą się na dół i zakładają wioski na płaskiej sawannie wokół górskiego masywu. Ci, którzy mają pieniądze, rezygnują często z tradycyjnego budownictwa z niewypalanej gliny. W ostatnim dziesięcioleciu bardzo popularne stały się „praktyczne” domy budowane z kamienia. Obecnie wyspecjalizowali się w tym budownictwie kamieniarze, którzy zajmują się łupaniem kamienia na bryły w kształcie sześcianów, oraz murarze, wznoszący z nich

domy. Są to zawody wcześniej nieznane w kraju Dogonów. Powstały wioski z całymi ulicami domów wzniesionych już z kamienia. W moim odczuciu są one zdecydowanie mniej atrakcyjne dla turystów. Trudno jednak wytłumaczyć Dogonom, że jeśli będą wznosić takie kamienne konstrukcje, to turyści nie będą być może chcieli tutaj przyjeżdżać. Obecnie bowiem celem ich podróży są właśnie te stare, urokliwe, górskie wioski. Duża część zarabianych pieniędzy jest jednak także po prostu przejadana i wydawana bezproduktywnie.

Drugim źródłem dopływu środków, coraz bardziej odczuwalnym i widocznym na tym terenie, są różnego rodzaju fundacje pomocowe i stowarzyszenia pozarządowe. Wiele przyjeżdżających osób, widząc jak żyją Dogonowie, chce im pomóc. Czynią to poprzez organizacje bądź indywidualnie, finansując budowę szkół, ośrodków zdrowia i dróg. Bardzo popularne jest wspomaganie budowy studni. Powstają stowarzyszenia i fundacje poza granicami, ale także w kraju Dogonów. Europejczycy, którzy pomagają Malijczykom, namawiają miejscowe społeczności do zakładania lokalnych organizacji, które byłyby ich partnerami. Faktem jest, że mogą one niewiele wnieść oprócz wiedzy o lokalnych stosunkach. Powstaje w ten sposób np. cała sieć lokalnych stowarzyszeń zajmujących się ostatnio popularnymi tutaj mikrokredytami. Ta forma kredytu upowszechnia się także w Afryce, choć nie wszyscy Afrykanie właściwie postrzegają zasady ekonomicznego funkcjonowania.

Są również oczywiście Dogonowie niezainteresowani napływem turystów. W wielu wioskach widzieliśmy napisy zabraniające wstępu do niektórych części. Nadal utrzymuje się także podział na świat mężczyzn i świat kobiet i np. panie z naszej grupy badawczej nie zawsze mogły uczestniczyć w rozmowach z mężczyznami. Z pewnością opisywane tutaj w dużym skrócie zmiany nie dotyczą wszystkich Dogonów i ich wiosek. Szacuję, że w ponad połowie z ośmiuset wiosek dogońskich turyści prawdopodobnie się nie pojawiają.

WB: Mówił Pan o zewnętrznych przejawach zmian związanych z dopływem pieniędzy z turystyki. Czy tak szeroki kontakt z turystami przyjeżdżającymi z różnych krajów, a nawet kontynentów stymuluje aspiracje np. do zdobywania wykształcenia, poszerzania wiedzy?

JŁ: Niektórzy obserwatorzy kultury dogońskiej i sami Dogonowie twierdzą, że napływ turystów nie tylko nie stymuluje dzieci do nauki w szkole, ale przeciwnie – wpływa negatywnie. Dzieci nie uciekają już na widok „białego”. Idą za nim oczekując, iż dostaną pieniądze, jakiś prezent czy choćby cukierka. Nie chodzą do szkoły, żebrzą na szlakach turystycznych, starsi chłopcy dźwigają bagaże turystom, są przewodnikami itp.

Przewodnicy w kraju Dogonów to obecnie swego rodzaju subkultura. Turysty, których przybywa tysiące, są oprowadzani w grupach zwykle po kilka osób. Trzeba im nie tylko pokazać drogę, zapewnić wyżywienie, nocleg, tragarzy, ale i odpowiadać na liczne pytania zainteresowanych. Nie zawsze się to udaje.

WB: Muszą jednak coś wiedzieć, by opowiadać turystom...

JŁ: Tak Pani sądzi? Otóż wcale nie. Okazuje się, że wcale nie muszą. Większość przyjeżdżających niewiele wie o Afryce, a tym bardziej o Dogonach. Wszystko, co im mówią przewodnicy, przyjmują „za dobrą monetę”. Warunki klimatyczne powodują ponadto, że przybysze szybko się męczą. Nie trzeba mieć szczególnych kwalifikacji, by zostać przewodnikiem. Kilka-naście lat temu wymagana była licencja, teraz każdy może być przewodnikiem po kraju Dogonów. I niekoniecznie musi to być przedstawiciel tej społeczności.

Zawód przewodnika jest jedynym sposobem, by znaleźć się w świecie społeczno-finansowego awansu. Wprawdzie biura turystyczne przejmują znaczną część opłat, tym niemniej przewodnicy i tak nieźle zarabiają jak na warunki afrykańskie, a zwłaszcza dogońskie.

WB: W jakiej mierze przyjazd turystów wpływa na emigrację zarobkową Dogonów?

JŁ: Dogonowie mówili nam, że w ostatnich latach emigracja zmniejsza się. Dawniej Dogon, który uprawiał niewielkie, kamieniste poletko i chciał poprawić byt swój i swojej rodziny, emigrował w poszukiwaniu pracy. Emigracja stanowiła dodatkowe źródło dopływu pieniędzy. Była to często emigracja sezonowa w okresie pory suchej. Już następnego dnia po zbiorach prosa, mężczyźni wyjeżdżali do pracy zagranicę. Ci, którym udało się znaleźć dochodową pracę, często pozostawali tam kilka lat. Wyjeżdżali często

do Ghany, na Wybrzeże Kości Słoniowej, a nawet do Kamerunu. Mówiono mi, że emigranci zapożyczali się, by opłacić podróż, często składały się na to całe rodziny.

W ostatnich latach emigracja zarobkowa poza Afrykę, zwłaszcza do Europy, stała się trudniejsza – emigranci z tej części Afryki zatrzymywani są już na granicy z Algierią. W krajach afrykańskich, jak mówili Dogonowie, też trudniej o pracę i jest mniej opłacalna. Banki i instytucje finansowe pobierają ponadto wysokie opłaty za przesyłanie pieniędzy rodzinom. Emigracja zarobkowa stała się więc mniej korzystna. W rozmowach z Dogonami pojawiała się też stwierdzenie, że teraz, kiedy przyjeżdżają turyści istnieje możliwość dorobienia bez konieczności wyjazdu.

WB: Czy podczas wielokrotnego pobytu w kraju Dogonów udało się Panu nawiązać trwale przyjaźnie?

JŁ: Tak. Wiele lat przyjaźniłem się z Gladiolou Dolo z Sangha. Poznałem go w 1977 roku, kiedy po raz pierwszy trafiłem do kraju Dogonów. Później spotykaliśmy się kilkakrotnie podczas moich kolejnych wyjazdów. Nie był już przewodnikiem. To zawód dla ludzi młodych. Kiedy jednak w 2008 roku rozpoczynaliśmy badania nad przemianami zachodzącymi w kulturze dogońskiej (w ramach otrzymanego przeze mnie grantu), doszedłem do wniosku, że będzie naszym najlepszym tłumaczem i pomocnikiem. Powiedzieliśmy Gladiolou o projekcie badań, o tym, że chcemy dotrzeć do jak największej liczby wiosek, by rozpoznać, jakie nastąpiły zmiany i jak na nie reagują Dogonowie. Było widać wyraźnie, że bardzo go to zainteresowało i nie tylko nam pomagał, ale wielokrotnie nas inspirował.

Był muzułmaninem, w swojej wiosce uważano go nawet za muzułmanina ortodoksyjnego. W rozmowach często zwracał nam uwagę, że niezależnie od tego, co dzieje się w kraju Dogonów, niezależnie od tego jakiego są wyznania, Dogonowie pozostają przede wszystkim Dogonami. On, a także inni, z którymi rozmawialiśmy, mówili nam często, że „powrót do kraju Dogonów jest lekarstwem na wszystko”. Ci, którzy emigrują, muszą kiedyś wrócić, bo tu są ich korzenie. Niektórzy zostali co prawda muzułmanami, ale kiedy wymierają członkowie ich najbliższej rodziny, muszą, czy chcą

czy nie, wrócić tam, gdzie są ich ołtarze rodzinne, „bo przecież ktoś musi składać ofiary przodkom”.

Gladiolou był muzułmaninem, a jednocześnie miał imponującą wiedzę o tradycyjnej kulturze dogońskiej. Toteż zamęczaliśmy go często pytaniami na wszelkie tematy. Pochodził z dużej, szanowanej rodziny. Czasami, gdy mogło to ułatwić kontakty, powoływał się na to, że jest muzułmaninem i należy do rady głównego meczetu w Sangha, innym razem, że był radnym, w jeszcze innej sytuacji, że ma *neni* – duszę swego dziadka, który był *Olubaru*⁴.

ABB: Czy nie uważa Pan za swój sukces tego, iż dzięki wieloletnim kontaktom zdobył Pan tak duże zaufanie Dogonów, że pokazali Panu jaskinię, o której Pan kiedyś mówił. Ileż to lat trzeba było, by zaprzyjaźnić się i pozyskać zaufanie?

JŁ: Nie chciałbym się chwalić.

ABB: Czasem należy. Nie powiedział Pan o jaskini...

JŁ: Przypominało to trochę opowieść Marcela Griaule’a. W swojej książce *Bóg wody. Rozmowy z Ogotemmelim* pisał, że kiedy już przygotowywał się do wyjazdu z kraju Dogonów, przyszedł do niego myśliwy. Przyniósł amulet, który autor miał rzekomo u niego zamówić. Griaule nigdy tego Dogona nie widział i niczego nie zamawiał. Był to charakterystyczny dla Dogonów wstęp do ujawnienia ważnej informacji. W ten sposób rozpoczęło się „wtajemniczenie” M. Griaule’a w sekretną część wiedzy Dogonów.

Podobnie było w przypadku naszej grupy prowadzącej badania w 2008 roku. Pakowaliśmy się już do wyjazdu, gdy przyszedł zaprzyjaźniony z nami Dogon – Pangale Dolo i powiedział, że „decydowali się nam coś pokazać”. Zaprowadził nas do jaskini, do której według wierzeń Dogonów zstąpili ich praprzodkowie *Nommo*. Nie byli oni jeszcze ludźmi. Do jaskini zstąpili z ogromnym sumem, który zamienił się w kamień. Na nim usiedli pierwsi praprzodkowie. Pokazywał nam w tej jaskini ślady mitycznego lisa *Yurugu*, z którym praprzodkowie walczyli.

⁴ *Olubaru* to Dogon o bardzo wysokiej pozycji społecznej, jeden z organizatorów odbywającego się raz na sześćdziesiąt lat święta *Sigi*.

Prowadząc badania na temat zmian, nie pytaliśmy Dogonów o ich kosmogonię czy o miejsce „zstąpienia” praprzodków. To Dogonowie podjęli decyzję by opowiedzieć nam o swojej kosmogonii i micie, i uczynili to w tej jaskini. Okazało się przy tym, że nikt obcy nie był w tym miejscu od dwudziestu czterech lat. Przez tyle lat Dogonowie nie uznali nikogo obcego godnym takiego zaufania!

WB: Okres dotychczasowych badań dogońskich zamyka Pan książką. Co jest jej głównym tematem?

JŁ: Tytuł książki jest dość ogólny: *Dogonowie z Mali. Kultura tradycyjna w procesie zmian*. Przedstawiam przemiany związane z ich kontaktami ze światem zewnętrznym. Nie ograniczam się do współczesnych przemian, ale nawiązuję do stosunku Dogonów do czasów i rządów administracji francuskiej oraz do cywilizacji islamu. Oba te zjawiska miały oczywiście nie mniej znaczący wpływ na kulturę Dogonów. A mówiąc bardziej precyzyjnie – próbowały mieć takowy wpływ. Dogonowie i ich kultura skutecznie opierali się bowiem tym wpływom. Dowodem na to jest chociażby to, że pomimo tych wielowiekowych kontaktów – jeszcze 60-70 lat temu, za czasów badań ekipy M. Griaule’a – kultura dogońska okazywała się zwartym systemem, a i współcześnie jej główne zręby wydają się być nienaruszone.

WB: Jakie ma Pan plany na przyszłość?

JŁ: Jestem już w takim wieku, że nie chciałbym zaprzyjaźniać się z nową grupą etniczną. Nie wierzę bowiem w poglądy, że można niewidzialnie unosić się nad jakąś grupą etniczną, obserwować ją bez nawiązywania bezpośrednich kontaktów i być w ten sposób prawdziwie obiektywnym badaczem. Uważałem zawsze, zarówno kiedy zajmowałem się kulturą żelaza, jak i przemianami w kraju Dogonów, że bliższe kontakty zapewniają lepsze wyniki badań niż „przepytywanie się” dwóch obcych osób. Pozostanę więc przy Dogonach.

Wspominałem, iż w kraju Dogonów odrębną dziedziną kultury i nie do końca poznanym polem badawczym jest masowa twórczość artystyczna w szerokim tego słowa znaczeniu, która swoim zasięgiem oddziaływania wykracza poza tę społeczność. Dogonowie sprzedają bowiem turystom

nie tylko przedmioty dogońskie, ale także te wyrabiane przez najbliższych sąsiadów – lud Bamana (Bambara). Zdarza się, że ci ostatni wytwarzają także przedmioty „w stylu” dogońskim. Ba, spotkałem nawet przedmioty wykonywane przez Lobi i udające dogońskie.

W 2008 roku widzieliśmy w okolicach Segou, w wiosce bamańskiej, swego rodzaju manufakturę, w której na kilkumetrowym stosie wiórów siedziało kilku mieszkańców wsi i z zapalem produkowało taśmowo stolki... dogońskie, oraz w stylu ludów Senufo i Bozo.

Przedmioty sprzedawane w *artisanach* najczęściej określane są terminem „tradycyjnej” sztuki afrykańskiej. Nie będę tego pojęcia rozwijał – to temat na oddzielną rozmowę.

W ogromnej masie tych przedmiotów chciałbym spróbować odszukać jeszcze te naprawdę tradycyjne. Ich kształty i cechy charakterystyczne – jak pokazuje moje dotychczasowe doświadczenie terenowe – często odbiegają jednak od znanych i uznanych kanonów sztuki dogońskiej. Czy sztuka Dogonów podziwiana w muzeach to już przeszłość? Jeśli tak, to czym są wspomniane wyżej obiekty używane w dogońskich wioskach? Chciałbym się właśnie zająć tym tematem.

Przy tej ogromnej liczbie przedmiotów wytwarzanych z myślą o turystach przyjeżdżających do kraju Dogonów, chciałbym jeszcze odszukać tradycyjne elementy oraz może poznać przyczynę tej ewolucji.

Osoba interesująca się bliżej sztuką afrykańską jest oczywiście w stanie odróżnić, które maski czy rzeźby są „prawdziwą sztuką” i ustalić ich proveniencję. Jak jednak traktować wytwory „obce” czy niezgodne z kanonami? Wbrew pozorom to ważne pytania.

WB: Czy prowadząc badania i podróżując po Afryce Zachodniej, spotkał Pan osoby, które wiedziały o wynikach badań prof. Władysława Filipowiaka w Niani?

JŁ: To już zupełnie oddzielny temat. *Nota bene* dodam dla porządku, że prof. W. Filipowiak trafił do Dogonów, do wioski Sangha, kilka miesięcy przede mną. O ile pamiętam brał udział w konferencji naukowej organizowanej w 1976 roku w Bamako. Po obradach zorganizowano uczestnikom „podróż do kraju Dogonów”.

Wracając natomiast do pytania, trzeba na ten problem spojrzeć w szerszym kontekście. Afrykanie postrzegają wyniki badań archeologicznych jako ważną część historii powszechnej całego kontynentu. Niani, stolica dawnego Mali, jest znana w Afryce.

Kiedy byliśmy w Bandiagara, dyrektor *Mission Culturelle* zajmującej się kulturą dogońską, dr Cisse, usłyszawszy, że jesteśmy z Polski, i to ze Szczecina, od razu skojarzył nazwę naszego miasta z prof. W. Filipowiakiem. Kiedyś w samolocie w drodze do Mali poznaliśmy prof. Keitę z Uniwersytetu w Bamako. Spotkaliśmy się później prywatnie i okazało się, że dokładnie wiedział kiedy prof. Filipowiak prowadził badania w Niani i jakie były ich wyniki. O wynikach badań prof. Filipowiaka wiedział również malijski archeolog, dr Tchiam, którego spotkałem w Djenne na jednym z nielicznych w Mali stanowisk archeologicznych. Malijczycy prowadzą tam wykopaliska wspólnie z Amerykanami z Uniwersytetu Houston w Teksasie. Można powiedzieć, że kawałek historii Afryki został odkryty dzięki szczecińskim wyprawom archeologicznym, a ich dorobek na trwale wpisał się w historię badań nad przeszłością tego kontynentu.

WB: Czy w sprawach afrykanistycznych uważa się Pan za ucznia prof. Filipowiaka?

JŁ: Wbrew pozorom nie czuję się uczniem prof. Filipowiaka. On prowadził inne badania i z gronem innych współpracowników. Jestem chyba rodzajem samouka, sam zdobywałem wiedzę i doświadczenie w Afryce. Dyrektor Filipowiak stworzył swego rodzaju atmosferę sprzyjającą rozwijaniu afrykanistycznych zainteresowań i gromadzeniu zbiorów. Nie zawsze się zgadzaliśmy. Jedni powiedzieliby, że „za bardzo mi nie przeszkadzał”, inni że „hamował i sprowadzał na ziemię”.

Okres, kiedy prof. Filipowiak był dyrektorem Muzeum, to cała epoka w afrykanistyce szczecińskiej, swego rodzaju „złote czasy”. I niech Pani nie wierzy, że kiedyś było łatwiej. Epoka ta zaczęła się w 1962 roku a skończyła w roku 2000.

EP: Przepracował Pan w muzeum ponad trzydzieści lat i był Pan muzealnikiem z pasji i z powołania. Co skłoniło Pana do porzucenia muzeum i podjęcia pracy naukowej na Uniwersytecie Szczecińskim?

JŁ: Skończyła się „epoka Filipowiaka”, zaczęły się inne czasy i muzeum w Szczecinie ustaliło sobie inne priorytety. Ponadto zorientowałem się, że szybkim krokiem zbliżam się do wieku seniora. Należało więc pomyśleć nie tylko o muzealnictwie i kolejnych eksponatach, ale także o następach i kontynuatorach. Gdy otrzymałem propozycję z Uniwersytetu Szczecińskiego, nie zastanawiałem się długo. Zgromadzoną wiedzę należało się podzielić – w tym przypadku ze studentami.

Zacząłem pracować w Instytucie Historii i Stosunków Międzynarodowych. Tematyka moich zainteresowań nie mogła ograniczać się tylko do badań tradycyjnych kultur afrykańskich. Na początku, może nawet wbrew sobie, rozpocząłem badania nad współczesnymi problemami Afryki. Potem mnie to wciągnęło. Być może książka o Dogonach byłaby inna, gdybym nadal pracował w muzeum. Już w 2007 roku, wspólnie z prof. UW Maciejem Ząbkim, rozpoczęliśmy, w ramach grantu, badania w Sudanie: „Etniczna struktura ludności Południowego Kordofanu. Zmiany w wyniku migracji i przesiedleń przymusowych”. To pomogło mi znaleźć się wśród współczesnych problemów Dogonów.

WB: Panie Jacku, Afryka stała się Pana pasją i treścią życia. Co uważa Pan za największe swoje osiągnięcie związane z Afryką?

JŁ: Myślę, że miałem w życiu szczęście spotykać na swojej drodze niemałe grono osób, z którymi mogłem wybrać się do Afryki. Wiele z nich naprawdę interesowało się Afryką. Niektóre po raz pierwszy pojechały tam ze mną i pozostały przy tematyce afrykańskiej do dziś. Uważam to za ich i moje największe osiągnięcie.

EP: Czy jest takie miejsce w Afryce, do którego Pan chętnie wraca i takie, gdzie jeszcze Pan nie był, a które chciałby Pan zobaczyć?

JŁ: Byłem wprawdzie w strefie lasów tropikalnych, ale przyznam szczerze, że nie siedłem nigdy cały dzień przez tropikalny las, aby trafić do jakiejś odosobnionej wioski, jak to czasami zdarzało mi się na sawannie czy w strefie sahelu. Może taka perspektywa skłoniłaby mnie jeszcze do podjęcia działań, by wybrać się do jakiejś grupy etnicznej ze strefy lasów tropikalnych. Chociaż po zastanowieniu wydaje mi się to jednak nieprawdopodobne. „Nie zmienia się koni w polowie brodu”. Zostaję przy Dogonach.

Mój zmarły w ubiegłym roku dogoński przyjaciel Gladiolou Dolo zapisał mi kawałek litej skały na masywie Bandiagara, abym tam wznosił dom i bazę badawczą dla tych, których teraz uczę. Wola zmarłych jest święta, będę więc musiał się tym zająć.

WB: Dziękujemy za rozmowę.



Jacek Łapott w trakcie rozmowy z przewodnikiem Douda Yanouge, Songho, Mali
(fot. E. Prądyńska)



Jacek Łapott z kowalem Diatourou Fane, wieś Kena, Mali (fot. E. Prądyńska)



Jacek Łapott i Gadiolou Dolo w drodze do zapory w Bara, Mali (fot. E. Prądyńska)

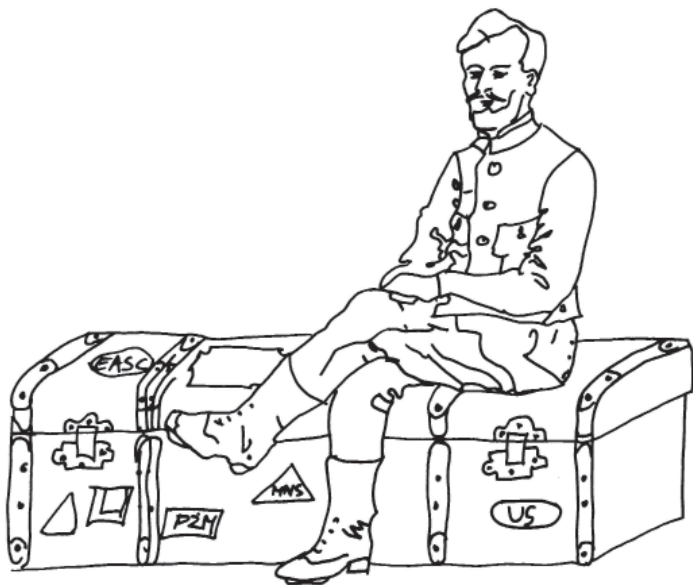


Jacek Łapott i Pangale Dolo w jaskini zstąpienia *Nommo*, Mali (fot. E. Prądyńska)

AFRYKANISTYKA W DOROBKU NAUKOWYM JANA CZEKANOWSKIEGO

JOANNA BAR

Jan Czekanowski urodził się 6 października 1882 roku w Głuchowie koło Grójca w rodzinie ziemiańskiej. W latach 1894-1898 był uczniem szkoły Wojciecha Górskiego w Warszawie, a następnie, do 1901 roku kontynuował naukę w rosyjskim gimnazjum realnym w Libawie (ob. Lipawa) na Łotwie. Bezpośrednio po ukończeniu szkoły podjął służbę w Libawskiej Armii Fortecznej, jednak po czterech miesiącach został zwolniony z wojska na podstawie świadectwa lekarskiego.



Projekt szczecińskiego pomnika Jana Czekanowskiego, wg pomysłu Jacka Łapotta.

W 1902 roku wstąpił na uniwersytet w Zurychu, gdzie podjął studia antropologiczne u Rudolfa Martina. On to właśnie przyczynił się do rozwoju warsztatu badawczego swego zdolnego studenta, zwracając jego uwagę na możliwość zastosowania statystyki matematycznej w antropologii poprzez wykorzystanie osiągnięć angielskiej szkoły biometrycznej. W latach 1902-1906 Czekanowski kontynuował równolegle studia antropologiczne u Rudolfa Martina, anatomiczne u Georga Rugego, matematyczne u Heinricha Burghardta oraz etnologiczne u Oskara Stolla. Przygotowane przez Czekanowskiego seminaryjne omówienie zastosowania korelacji Pearsona do pomiaru czaszek zostało zaprezentowane na Kongresie Nauk Antropologicznych w Wormacji (1903), stając się zarazem pierwszą opublikowaną¹ rozprawą naukową Polaka.

W roku 1907 Czekanowski obronił rozprawę doktorską², opublikowaną w prestiżowym „Archiv für Anthropologie”, której wstęp, będący zarysem metod statystycznych stosowanych w szkole biometryków angielskich, wszedł w skład klasycznego podręcznika antropologii Rudolfa Martina³, a kilka lat później stał się również podstawą do opracowania obszernego *Zarysu metod statystycznych w zastosowaniach do antropologii*⁴, pierwszego polskiego podręcznika w tej dziedzinie.

Otrzymał ofertę pracy od Feliksa von Luschna, w listopadzie 1906 roku Czekanowski podjął pracę asystenta w dziale Afryki i Oceanii Królewskiego Muzeum Ludoznawczego w Berlinie – Dahlem. W dowód uznania swych dotychczasowych osiągnięć, rok później został wydelegowany przez macierzystą placówkę do udziału w ekspedycji badawczej księcia Adolfa Fryderyka Meklemburskiego do Afryki Środkowej (1907-1908). Ekspedycja ta miała na celu systematyczne zbadanie północno-zachod-

¹ J. Czekanowski, *Zur Höhenmessung des Schädels*, „Archiv für Anthropologie“, Bd. 29, Braunschweig 1904.

² Idem, *Untersuchung über das Verhältnis der Kopfmasse zu den Schädelmassen*, „Archiv für Anthropologie“, Bd. 34, Braunschweig 1907.

³ R. Martin, *Lehrbuch der Anthropologie in systematischer Darstellung mit besonderer Berücksichtigung der anthropologischen Methoden für Studierende Ärzte und Forschungsreisende*, Jena 1914.

⁴ J. Czekanowski, *Zarys metod statystycznych w zastosowaniach do antropologii*, Prace Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, nr 5, Warszawa 1913.

niej części terytorium przynależnego do Niemieckiej Afryki Wschodniej, środkowoafrykańskich rowów położonych pomiędzy jeziorami Kiwu i Alberta oraz północno-wschodnich obszarów granicznych państwa Kongo. Czekanowski przebywał w Afryce od 30 maja 1907 do 1 kwietnia 1909, rok dłużej od pozostałych członków ekspedycji, m.in. dzięki materialnemu wsparciu rodziny. Prowadząc badania jako antropolog i etnograf wyprawy zamieścił wyniki swych badań w pięciu tomach monografii, zatytułowanej *Forschungen im Nil-Kongo-Zwischengebiet* (1911-1927), będącej integralną częścią zbioru *Wissenschaftliche Ergebnisse der Deutschen Zentral-Afrika-Expedition 1907-1908 unter Führung Adolf Friedrichs, Herzogs zu Mecklenburg*⁵, w założeniu organizatora wyprawy dzieła zbiorowego, złożonego z prac pozostałych członków ekspedycji: topografa, geologa, meteorologa, botanika i zoologa. Tym samym, u progu swej kariery naukowej związał się na stałe z afrykanistyką. Szczegółowe opracowanie pomiarów i obserwacji dokonanych podczas 22-miesięcznego pobytu w Afryce kontynuował do końca życia.

Przystępując po raz pierwszy do systematycznych badań terenowych Czekanowski reprezentował kierunek historyczny typu Bernharda Ankermanna. Uważał, że głównym zadaniem etnografii – traktowanej jako nauki pomocniczej historii – są badania nad początkami i przeszłością narodów wobec braku źródeł pisanych. *Forschungen...* stały się egzemplifikacją założeń badawczych dominującego wówczas w Niemczech kierunku naukowego. Badania Czekanowskiego prowadzone były zresztą według ustalonych wcześniej instrukcji berlińskich placówek naukowych. Zawierały opracowanie zagadnień migracji, styków kulturowych oraz chronologizacji – zawsze jednak w odniesieniu do konkretnych ludów, z zachowaniem wyraźnej ostrożności względem koncepcji kręgów kulturowych.

Rezultaty przeprowadzonych wówczas obserwacji antropologicznych stały się wielkim sukcesem naukowym. Jan Czekanowski otrzymał odznaczenia z rąk Księcia Meklemburgii – Fryderyka oraz Króla Belgów – Leopolda II. Został również przyjęty do społeczności uniwersytetu Wil-

⁵ Idem, *Forschungen im Nil-Kongo Zwischengebiet*, t. I-V, [w:] *Wissenschaftliche Ergebnisse der deutschen Zentral-Afrika-Expedition 1907-1908 unter Führung Adolf Friedrichs*, Lipsk 1914.

helma II w Berlinie. Z tego okresu pochodzą liczne zaproszenia na odczyty, uczestnictwa w kongresach, a także korespondencja z wybitnymi antropologami tego okresu, m.in. Franzem Boasem, Ellsworthem Huntingtonem, Aleszą Hardliczką.

Mimo międzynarodowego uznania, ze względu na obawy dotyczące ograniczenia praw autorskich przygotowywanych publikacji, w 1911 roku Czekanowski przyjął propozycję Muzeum Antropologii i Etnologii im. Piotra Wielkiego Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu, w którym objął funkcję młodszego kustosa działu afrykańskiego. Decyzję tą motywował m.in. uzyskaniem korzystnych warunków do opracowywania własnych materiałów afrykanistycznych, których publikacja w sumie przeciągnęła się aż do 1927 roku.

Równocześnie niemal, jeszcze w 1911 roku, profesor Józef Nusbaum zaproponował Czekanowskiemu objęcie katedry na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Katedrę tę objął w 1913 roku, a więc na rok przed wybuchem I wojny światowej. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, z nominacji Komitetu Narodowego Polski, Czekanowski brał udział w obradach Konferencji Pokojowej w Paryżu, gdzie pełnił funkcję sekretarza i konsultanta naukowego polskiej delegacji. Po zakończeniu obrad Konferencji, Czekanowski wrócił do Lwowa.

Okres kierowania lwowską Katedrą Antropologii i Etnologii stał się początkiem jego zainteresowania problemami słowianoznawstwa antropologicznego, a zwłaszcza antropologii Polski. We Lwowie powstały mapy antropologiczne Polski, a także podstawowe dzieła jego życia: *Wstęp do historii Słowian. Perspektywy antropologiczne, etnograficzne, prehistoryczne i językoznawcze*⁶, *Zarys antropologii Polski*⁷, *Człowiek w czasie i przestrzeni*⁸ oraz rozdziały do dzieła zbiorowego *Człowiek, jego rasy i życie*⁹.

W 1913 roku Czekanowski został profesorem nadzwyczajnym, a w 1920 roku profesorem zwyczajnym. W 1925 roku objął funkcję dziekana Wy-

⁶ Idem, *Wstęp do historii Słowian: perspektywy antropologiczne, etnograficzne, prehistoryczne i językoznawcze*, Lwów 1927.

⁷ Idem, *Zarys antropologii Polski*, Lwów 1930.

⁸ Idem, *Człowiek w czasie i przestrzeni*, Warszawa 1937.

⁹ Idem (wydanie zbiorowe), *Człowiek, jego rasy i życie*, Warszawa 1939.

działu Humanistycznego, a w 1934 został rektorem Uniwersytetu. Kierował Katedrą Antropologii i Etnologii do 30 czerwca 1941 roku.

Dwudziestolecie międzywojenne to okres tworzenia przez niego szkoły antropologicznej, posługującej się wypracowanymi metodami badawczymi w osiąganiu wytyczonych celów, współpracującej z archeologią, etnografią, socjologią, demografią, historią i językoznawstwem, szybko zdobywającej uznanie w świecie. Historyczną zasługą Czekanowskiego było opracowanie modelu matematycznego stanowiącego podstawę do interpretacji klasyfikacji morfologicznych Rudolfa Martina. Dzięki tej metodzie można było wyjaśnić zróżnicowanie występujących współcześnie form ludzkich. Metodę tę, doskonaloną i rozwijaną przez całe życie, stosował w celu wyjaśniania zróżnicowania i interpretacji innych zjawisk (np. językowych, artefaktów kultury materialnej i społecznej). Doceniał szczególnie badania prowadzone na pograniczu etnografii, archeologii, historii oraz językoznawstwa, zwłaszcza w świetle ich relacji do antropologii. Uwzględniał wpływ środowiska geograficznego na strukturę biologiczną człowieka i jego kulturę, zaś człowiek interesował go przede wszystkim jako jednostka społeczna.

W okresie międzywojennym Jan Czekanowski zaangażował się także w działalność naukowo-polityczną, której jednym z głównych ognisk zapalnych stał się spór z nauką niemiecką na temat rodowodu Słowian. Wraz z grupą uczniów (m.in. Stanisław Żejmo-Żejmis, Stanisław Klimek, Jan Mydlarski, Adam Wanke, Salomon Czortkower, Adam Fiszer, Józef Gajek) stworzył zespół, który zyskał miano Szkoły Lwowskiej w antropologii.

Podczas II wojny światowej, odsunięty z konieczności od czynnej pracy akademickiej, dokonał bilansu działalności swej szkoły naukowej w pracy pt. *Antropologia polska w międzywojennym dwudziestoleciu 1919-1939*¹⁰, a także przygotował szereg wydanych później artykułów, m.in.: *Polska synteza slawistyczna w perspektywie ilościowej*¹¹, *Zagadnienia antropologii*.

¹⁰ Idem, *Antropologia polska w międzywojennym dwudziestoleciu 1919-1939*, Warszawa 1949.

¹¹ Idem, *Polska synteza slawistyczna w perspektywie ilościowej*, Kraków PAU 1947.

*Zarys antropologii teoretycznej*¹², *Antropologia polska w międzywojennym dwudziestoleciu 1919-1939*¹³, *Polska – Słowiańszczyzna. Perspektywy antropologiczne*¹⁴.

Po wojnie Czekanowski objął Katedrę Antropologii i Etnologii KUL w Lublinie (1945), a następnie (1948) Katedrę Antropologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, którą kierował do 1960 roku, do czasu swego przejścia na emeryturę. Kontynuował badania slawistyczne i etnogenetyczne (m.in.: *Polska – Słowiańszczyzna. Perspektywy antropologiczne, Zarys antropologii teoretycznej*).

Lata 1949-55 okazały się dla Jana Czekanowskiego, podobnie jak dla wielu innych luminarzy nauki polskiej z okresu międzywojennego, bardzo trudne. W cieniu rosnącego prymatu marksizmu, malały wpływy dominujących przed wojną kierunków teoretycznych, zwłaszcza tych powiązanych z naukami społecznymi. Władze odebrały Czekanowskiemu prawo prowadzenia seminarium, wydawnictwa naukowe i prasa zaakceptowały praktyczny zakaz publikacji. Chlubnymi wyjątkami były „Tygodnik Powszechny” i „Lud”, które zamieszczały recenzje opracowywane przez Czekanowskiego. Z przyczyn politycznych także osłabły w tym okresie kontakty z nauką niemiecką, niemniej jednak z artykułów ogłoszonych przez profesor Ilse Schwidetzky¹⁵ wysoko oceniającej dorobek antropologii polskiej widać, iż kontakty zostały podtrzymane.

Proces liberalizacji nauki rozpoczął się po 1956 roku, wówczas też pojawiła się możliwość uczestnictwa w konferencjach międzynarodowych. Ponadto, w drugiej połowie lat 60., zgodnie z ówczesnymi trendami politycznej poprawności, Czekanowski mógł ponownie zwrócić swe zainteresowanie ku kwestiom afrykańskim. Wtedy to właśnie zostały opublikowane zarówno jego wspomnienia z wyprawy w postaci fragmentów dziennika¹⁶,

¹² Idem, *Zagadnienia antropologii. Zarys antropologii teoretycznej*, Toruń 1948.

¹³ Idem, *Antropologia polska w międzywojennym dwudziestoleciu 1919-1939*, Warszawa 1948.

¹⁴ Idem, *Polska – Słowiańszczyzna. Perspektywy antropologiczne*, Warszawa 1948.

¹⁵ Ilse Schwidetzky, 1950, 1962.

¹⁶ J. Czekanowski, *W głąb lasów Aruwimi. Dziennik wyprawy do Afryki środkowej*, Wrocław 1958.

jak i większość jego polskich artykułów w prasie naukowej i popularno-naukowej. Powstały nowe syntezy, których podstawą stały się nie opracowane dotąd partie przywiezionych materiałów (*Struktura etniczna Afryki a nawarstwienia najmłodsze*¹⁷, *Feudalne państwa pasterskie afrykańskiego Międzyjeziora*¹⁸, *Badania antropologiczne w Afryce i ich wyniki*¹⁹).

Jan Czekanowski przez całe życie pozostawał naukowo czynny. Pełnił liczne funkcje naukowe – był m.in. przewodniczącym Komitetu Antropologii PAN, przewodniczącym Rady Naukowej Zakładu Antropologii PAN, członkiem rzeczywistym PAU, później PAN. Wykształcił wielu antropologów oraz badaczy z pokrewnych dyscyplin. Pod jego kierunkiem napisano 22 rozprawy doktorskie oraz 7 habilitacyjnych. Wielokrotnie był wyróżniany odznaczeniami krajowymi i zagranicznymi. Wyróżniono go tytułem doktora *honoris causa* uniwersytetów w Poznaniu i we Wrocławiu, narodowe (polskie, brytyjskie, czeskosłowackie, fińskie, węgierskie) towarzystwa antropologiczne nadawały mu godność członka honorowego. Był przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego i redaktorem „Ludu”.

W 1960 roku został wybrany wiceprezesem Międzynarodowej Unii Nauk Antropologicznych i Etnologicznych. Otrzymał członkostwa honorowe Szwajcarskiego Towarzystwa Antropologicznego, Towarzystwa Ugrofińskiego i Brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego.

Zmarł w Szczecinie 20 lipca 1965 roku. Pochowany został w Alei Zasłużonych na cmentarzu na Powązkach w Warszawie. Już po jego śmierci poza Polską ukazały się jego cenne prace, m.in. *Morphology and the Classification of Race*²⁰ oraz napisane wspólnie z Gerardem Labudą hasło *Slavs* w *Encyclopedia Britannica*²¹.

¹⁷ Idem, *Struktura etniczna Afryki a nawarstwienia najmłodsze*, „Lud”, t. 45, 1960, s. 13-34.

¹⁸ Idem, *Feudalne państwa pasterskie afrykańskiego Międzyjeziora*, „Przegląd socjologiczny” t. 15, nr 1, 1961, s. 21-60.

¹⁹ Idem, *Badania antropologiczne w Afryce i ich wyniki*, „Przegląd Antropologiczny”, 1963.

²⁰ Idem, *Morphology and the Classification of Race*, [w:] *Race and Modern Science*, red. Robert E. Kuttner, New York 1967.

²¹ Idem, G. Labuda, *Slavs*, [w:] *Encyclopedia Britannica*, t. 19, 1969.

Nietrudno dostrzec w naukowej biografii Czekanowskiego długoletnią przerwę w zainteresowaniach afrykanistycznych. W dużej mierze była ona spowodowana kwestiami politycznymi. W okresie dwudziestolecia międzywojennego Czekanowski poświęcił swą uwagę przede wszystkim zagadnieniom naukowym, związanym z tożsamością etniczną odradzającej się Polski. Polityka wpływała również na praktyczną niemożność, ze względów zarówno propagandowych, jak i materialnych, podjęcia badań afrykanistycznych w okresie powojennym. Niemniej jednak, właśnie w latach 50., pozostając w niełasce ówczesnych władz, Czekanowski opracował i wydał najwięcej publikacji z podróży do Afryki w języku polskim, m.in. najbardziej popularną – pierwszą część dziennika wyprawy, zatytułowaną *W głąb lasów Aruwimi*.

Z opartych na zestawieniu B. Miszkiewicza²² obliczeń wynika, że z ogólnej liczby 279 tytułów wydanych w latach 1903-1963, tematyki afrykańskiej dotyczyło 26 prac (w tym *Forschungen im Nil-Kongo-Zwischengebiet*, wychodzące w różnych latach, liczone jako pięć oddzielnych), z których tylko jedenaście ukazało się w języku polskim. Z tych jedenastu aż siedem zostało opublikowanych po 1954 roku, zaś w 1962 roku ukazały się również dwa afrykanistyczne artykuły w języku niemieckim. Choć suma ta stanowi ilościowo jedynie niespełna 10% całego dorobku badacza, nie można jednak powtórzyć za J. Mydlarskim²³, że z chwilą objęcia katedry uniwersyteckiej we Lwowie afrykanistyka zeszła do rzędu ubocznych zainteresowań Czekanowskiego i była właściwie tylko spłacaniem zobowiązań wobec kierownictwa wyprawy afrykańskiej. Faktem jest, że obowiązki związane z objęciem Katedry Antropologii i Etnologii, jak chociażby przygotowanie się do pracy dydaktycznej, czy też stworzenie nowych programów studiów, musiały zmienić zainteresowania badawcze autora. Dlatego właśnie, chcąc wywiązać się rzetelnie ze swych zobowiązań wydawniczych, Czekanowski aż dwa lata zwlekał z przyjęciem tej zaszczytnej posady i okres 1911-1913

²² B. Miszkiewicz, *Publikacje Jana Czekanowskiego w latach 1903-1963*, [w:] *Księga pamiątkowa dla uczczenia 60 lat pracy naukowej Jana Czekanowskiego*, Wrocław 1964.

²³ J. Mydlarski, *Pół wieku pracy naukowej Jana Czekanowskiego*, „Przegląd Antropologiczny”, t. 21, z. 3, 1955, s. 1003-1010.

poświęcił na opracowywanie wyników wyprawy. Z tych samych powodów odrzucił propozycję udziału w kolejnej ekspedycji afrykańskiej księcia Adolfa Friedricha. Mimo, że ostatecznie wydanie pięciu tomów *Forschungen im Nil-Kongo-Zwischengebiet* przeciągnęło się do 1927 roku, rozmiary samodzielnej publikacji działu etnologiczno-antropologicznego, autorstwa Czekanowskiego, prześcignęły objętościowo łączny dorobek wszystkich innych części, realizowanych zresztą przy pomocy licznych specjalistów spoza zespołu ekspedycji. W żaden sposób nie można określić tych obszernych, zaopatrzonych w bezcenny materiał nutowy i słownikowy, pięciu tomów za jedynie *rząd ubocznych zainteresowań Czekanowskiego*, tym bardziej, że utracone w czasie wojny dane kranjologiczne zostały dzięki mozolnej pracy badacza odtworzone i opublikowane w 1951 roku.

Dorobek polskiego badacza cytowany jest wielokrotnie w bibliografiach wielu prac dotyczących badanej przez niego wówczas tematyki, a także w opracowaniach zajmujących się dorobkiem naukowym uczonego. Tymczasem, jak dotąd, spora część dorobku afrykanistycznego Czekanowskiego nie doczekała się wydania w Polsce.

Także jego najważniejsze dzieło, *Forschungen...* nie doczekało się tłumaczenia z języka niemieckiego, przez co jego treść nie jest znana polskim czytelnikom. *Forschungen...* nie znali nawet uczniowie Czekanowskiego. Omawiając dorobek ekspedycji opierano się jedynie na wydanych w Polsce, a więc znanych polskiemu czytelnikowi wspomnieniach, zatytułowanych *W głąb lasów Aruwimi. Dziennik wyprawy do Afryki środkowej*. Te właśnie wspomnienia stały się u nas w zasadzie jedyną pracą, cytowaną przy omawianiu dorobku afrykańskiego Czekanowskiego, choć wszyscy znawcy tematu uważali za swój obowiązek wspominać o *Forschungen...* Niestety, najczęściej miejsce tego dzieła znajdowało się jedynie w krótkich przypisach, informujących o jego istnieniu. Fragmenty z *Forschungen...* pojawiały się w polskich opracowaniach wyjątkowo. A. Kuczyński, w komentarzu do wydanego przez siebie zbioru pt. *Wśród buszu i czarowników. Antologia polskich relacji o ludach Afryki* pisał nawet: *Skromny fragment tego dzieła [Forschungen... – JB] udostępniamy w tej antologii po raz pierwszy w polskim tłumaczeniu*²⁴.

²⁴ *Wśród buszu i czarowników. Antologia polskich relacji o ludach Afryki*, red. A. Kuczyński, Wrocław 1990, s. 292.

Sytuację tą usprawiedliwiano wielokrotnie brakiem możliwości dostępu do *Forschungen...* mając zapewne na myśli utrudnioną w dobie PRL współpracę z zagranicą. Tymczasem, choćby w Krakowie wspomniane dzieło Czekanowskiego znajduje się zarówno w zbiorach biblioteki Instytutu Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego (z wyjątkiem tomu IV), jak również w księgozbiorze Biblioteki Jagiellońskiej (tomy II i V).

Nie doczekała się także wydania pozostała, spora część materiałów z badań terenowych, przeprowadzonych w Afryce, w tym przede wszystkim ok. 1000 stron rękopisu dziennika podróży afrykańskiej (*Dziennik kolumny antropologiczno-etnologicznej ekspedycji*), spisywanego na bieżąco podczas wyprawy, według wymagań organizatorów ekspedycji, w okresie od 1 czerwca 1907 roku do 22 marca 1909 roku. Materiały te zachowane są w formie rękopisu złożonego w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego oraz w formie transkrypcji w pliku komputerowym (wynik prac grantu KBN).

Nie doczekała się także publikacji kolekcja zdjęć i map afrykańskich Jana Czekanowskiego, przechowywana obecnie w prywatnych zbiorach córki badacza, prof. Anny Czekanowskiej.

Nie opublikowano także wszystkich zachowanych fragmentów dziennika Jana Czekanowskiego, pisanego z myślą o wydaniu w Polsce. Część z nich wydano w formie książki *W głąb lasów Arumiwi*, opublikowanej w języku polskim i francuskim. Książka ta stanowi jedynie część drugą większej całości, do której warto byłoby dodać niepublikowane dotąd fragmenty części pierwszej (poddane transkrypcji, dostępne w Bibliotece UW oraz w formie pliku komputerowego).

Tak więc ogrom pracy włożony przez Jana Czekanowskiego, mimo wielkiego uznania naukowego, jakim się cieszył za życia w kraju i za granicą, nie został uwieńczony edycją całości jego dorobku afrykanistycznego. Należy wierzyć, iż w przyszłości proces publikacji poszczególnych prac Czekanowskiego stopniowo będzie zmierzać ku pomyślnemu finałowi, zarówno ze względu na pamięć o wybitnym polskim afrykanistcie, jak i przez wartość jego dorobku dla zrozumienia współczesnych procesów społeczno-politycznych, zachodzących w tej części Afryki.

Bibliografia:

- Bar J., *Afrykański dorobek naukowy Jana Czekanowskiego*, [w:] *Śladami ekspedycji Jana Czekanowskiego do Afryki Środkowej 1907-1909*, red. A. Czekanowska, H. Deręgowska, Warszawa 2000.
- Bar J., *Afrykanistyczne badania Jana Czekanowskiego w stulecie wyprawy*, Kraków 2007.
- Bar J., Czekanowska A., *Jan Czekanowski* [w:] *Etnografowie i ludoznawcy polscy. Sylwetki, szkice biograficzne*, red. E. Fryś Pietraszkowa, t. I, Kraków 2002, s. 52-56.
- Czekanowska A., *Jan Czekanowski (1882-1965)*, [w:] *Śladami ekspedycji Jana Czekanowskiego do Afryki Środkowej 1907-1909*, red. A. Czekanowska, H. Deręgowska, Warszawa 2000.
- Gajek J., *Jan Czekanowski jako etnograf*, „Przegląd Antropologiczny”, t. 21, z. 3, 1955, s. 1010-1030.
- Kostrzewski J., *Jan Czekanowski jako badacz etnogenezy Słowian*, „Przegląd Antropologiczny”, t. 21, z. 3, 1955, s. 1035-1037.
- Lehr-Splawiński T., *Jan Czekanowski jako sławista*, „Przegląd Antropologiczny”, t. 21, z. 3, 1955, s. 1030-1034.
- Miskiewicz B., *Publikacje Jana Czekanowskiego w latach 1903-1963*, [w:] *Księga pamiątkowa dla uczczenia 60 lat pracy naukowej Jana Czekanowskiego*, Wrocław 1964.
- Mydlarski J., *W dwudziestopięciolecie objęcia katedry antropologii i etnologii w Uniwersytecie Lwowskim przez profesora Jana Czekanowskiego*, „Przegląd Antropologiczny”, t. 13, 1939, s. 1-11.
- Mydlarski J., *Pół wieku pracy naukowej Jana Czekanowskiego*, „Przegląd Antropologiczny”, t. 21, z. 3, 1955, s. 1003-1010.
- Teoria i empiria w polskiej szkole antropologicznej. W 100 lecie urodzin Jana Czekanowskiego*, red. J. Piontek, A. Malinowski, Poznań 1985.
- Wanke A., *Sześćdziesiąt lat pracy naukowej Jana Czekanowskiego*, [w:] *Księga pamiątkowa dla uczczenia 60 lat pracy naukowej Jana Czekanowskiego*, Wrocław 1964.
- Wśród buszu i czarowników. Antologia polskich relacji o ludach Afryki*, red. A. Kuczyński, Wrocław 1990.

OŚRODEK BADAŃ KRAJÓW POŁUDNIA. PRÓBA CZĘŚCIOWEJ REKONSTRUKCJI GENEZY POWSTANIA UNIwersYTETU SZCZECIŃSKIEGO

STANISŁAW FLEJTERSKI

„Zadaniem Uniwersytetu jest kształcenie i wychowywanie kadr specjalistów dla gospodarki, oświaty i kultury narodowej oraz prowadzenie badań naukowych i kształcenie kadr naukowych w zakresie nauk humanistycznych, społecznych, ekonomicznych i matematyczno-przyrodniczych ze szczególnym uwzględnieniem problematyki morskiej i *krajów Południa*” (podkr. SF). Sformułowanie powyższe, zawarte w art. 2 Ustawy z dnia 21 lipca 1984 roku o utworzeniu Uniwersytetu Szczecińskiego nie było dziełem przypadku.

Przed światem znajdowały się i znajdują nadal ogromne wyzwania. Niezwykle dramatyczne problemy rozwoju ponad stu krajów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej przyciągają od lat uwagę opinii publicznej całego świata, zarówno ze względów ogólnopoznawczych, intelektualnych, jak i zwłaszcza praktycznych. Motywów takich doszukać się można także w zainteresowaniu tą grupą krajów, w tym i Afryką, w naszym kraju. Dotyczy to i środowiska szczecińskiego, w którym ma ono bogate tradycje. W minionych latach powstało w Szczecinie kilkaset publikacji naukowych i popularno-naukowych na temat krajów azjatyckich, afrykańskich i latynoamerykańskich.

W roku 1988 opublikowany został pod moją redakcją – pod auspicjami ówczesnego Ośrodka Badań Krajów Południa US – Informator bibliograficzny *Kraje Południa w publikacjach szczecińskich naukowców w latach 1960-1987*. Była to pionierska próba dokonania przeglądu dorobku naukowców szczecińskich w tej dziedzinie, zawierała spis publikacji powstałych w Szczecinie w ciągu ponad ćwierćwiecza. Bibliografia zestawiona

USTAWA

z dnia 21 lipca 1984 r.

o utworzeniu Uniwersytetu Szczecińskiego.

Art. 1. 1. Tworzy się Uniwersytet Szczeciński, zwany dalej „Uniwersytetem”.

2. Siedzibą Uniwersytetu jest miasto Szczecin.

Art. 2. Zadaniem Uniwersytetu jest kształcenie i wychowywanie kadr specjalistów dla gospodarki, oświaty i kultury narodowej oraz prowadzenie badań naukowych i kształcenie kadr naukowych w zakresie nauk humanistycznych, społecznych, ekonomicznych i matematyczno-przyrodniczych, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki morskiej i krajów Południa.

Art. 3. Nadzór nad działalnością Uniwersytetu sprawuje Minister Nauki, Szkolnictwa Wzwyższego i Techniki.

Art. 4. 1. Uniwersytet przejmuje Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Szczecinie oraz Wydział Inżynieryjno-Ekonomiczny Transportu Politechniki Szczecińskiej.

2. Minister Nauki, Szkolnictwa Wzwyższego i Techniki, w drodze rozporządzenia, określi termin i zasady przejęcia przez Uniwersytet Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Szczecinie oraz Wydziału Inżynieryjno-Ekonomicznego

Transportu Politechniki Szczecińskiej. Zająć dydaktyczne w Uniwersytecie rozpoczną się nie później niż z początkiem roku akademickiego 1986/1987.

Art. 5. 1. Pierwszy statut Uniwersytetu ustala oraz powołuje pierwsze jego organy Minister Nauki, Szkolnictwa Wzwyższego i Techniki.

2. Kadencja organów powołanych przez Ministra Nauki, Szkolnictwa Wzwyższego i Techniki, trwa według zasad ogólnych.

3. Statut nadany Uniwersytetowi przez Ministra Nauki, Szkolnictwa Wzwyższego i Techniki obowiązuje do czasu zastąpienia go przez statut uchwalony przez senat ukonstytuowany na zasadach określonych w ustawie o szkolnictwie wyższym.

Art. 6. Ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Przewodniczący Rady Państwa: H. Jabłoński
Sekretarz Rady Państwa: J. Szymonek

Fragment ustawy o utworzeniu Uniwersytetu Szczecińskiego z zakreślonym Art. 2, w którym mowa jest o tym, że jednym z zadań US jest prowadzenie badań ze szczególnym uwzględnieniem krajów Południa.

została w porządku alfabetycznym – według nazwisk autorów, publikacje poszczególnych autorów ułożone były w porządku chronologicznym. Jako ciekawostkę warto odnotować, że pierwszą publikacją szczecińskiego autora na temat krajów Południa był prawdopodobnie artykuł prof. Piotra Zaremby na temat problemów urbanistyki podzwrotnikowej, zamieszczony w „Architekturze”, nr 8/1960. Bibliografia obejmowała w zdecydowanej większości publikacje autorów pracujących i tworzących w Szczecinie do 1987 roku, zawierała jednak również publikacje kilku naukowców, którzy wówczas już nie byli związani ze szczecińskimi placówkami naukowymi. Ich prace – napisane w „okresie szczecińskim” – były, jak się wydaje, również częścią dorobku szczecińskiego ośrodka naukowego, elementem tujszej tradycji naukowej.

Informator nie pretendował do rangi bibliografii całego piśmiennictwa powstałego w Szczecinie, a dotyczącego krajów rozwijających się, w tym Afryki. Po pierwsze, obejmował on tylko publikacje naukowe i popularno-naukowe, pomijał zaś, często interesujące i wartościowe, prace niepublikowane (raporty z badań, niepublikowane referaty, projekty etc.). Prac takich powstało w Szczecinie kilkaset. Należą do nich zwłaszcza rozprawy promocyjne: dysertacje doktorskie (również autorów z krajów Południa) obronione na dawnym Wydziale Rybactwa Morskiego i Technologii Żywności Akademii Rolniczej w Szczecinie¹ oraz na Wydziale Inżynieryjno-Ekonomicznym Transportu Politechniki Szczecińskiej (od 1985 roku stanowiącym – pod innymi nazwami – ważną część składową Uniwersytetu Szczecińskiego), ponadto liczne prace magisterskie i dyplomowe, obronione na obu wydziałach, a także w ówczesnej Wyższej Szkole Morskiej (obecnie Akademii Morskiej). Osobny, ważny rozdział stanowiły prace końcowe uczestników – działającego przy ówczesnej Politechnice Szczecińskiej – Podyplomowego Studium Urbanistyki i Planowania Regionalnego Krajów Rozwijających się (słuchaczami Studium, kierowanego przez prof. Piotra Zarembę, było w latach 1966-1987 czterystu dziesięciu obywateli z 41 krajów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej).

Drugą słabością wspomnianej bibliografii było – w pełni świadome – pominięcie licznych publikacji o innym charakterze, a mianowicie rozmaitych tekstów o charakterze literackim i dziennikarskim (wyznaczenie ścisłej linii demarkacyjnej między nimi a tekstami popularno-naukowymi bywa niekiedy dość trudne). Godzi się tu odnotować fakt, że spod piór autorów szczecińskich (pisarzy-marynistów) wyszło w tamtych czasach sporo utworów literackich, od powieści, po opowiadania, korespondencje itp., powstałych dzięki kontaktom z krajami Południa. Wymienić tu należy zwłaszcza autora zbiorów opowiadań, a także m.in. powieści *Papierowa dżungla* – Jana Papugę, byłego rektora WSM w Szczecinie kpt. ż. w. Eugeniusza Daszkowskiego – autora licznych artykułów publicystycznych w prasie, jak również m.in. zbioru opowiadań *Afrykańskie spotkania*, kpt.

¹ Zob. m.in. J. Świniarski, *Education and Training of Fisheries' Personnel for Asian, African and Latin American Countries in Poland*, „Studies on the Developing Countries” 1987, nr 2, s. 169-180.

ż. w. Józefa Gawłowicza, autora wielu opowiadań oraz książki *Awantury afrykańskie*, wreszcie Marię Salomeę Wielopolską, autorkę m.in. zbioru opowiadań z Wenezueli, Kolumbii i Ekwadoru *Tropem snów*. Na szczególną uwagę zasługuje praca autorstwa prof. Krzysztofa Prawdzica – *Wrażenia z podróży do Brazylii*, zawierająca 23 obszernie, interesujące reportaże z rejsu do Brazylii i pobytu w tym kraju w 1981 (wiele z tych reportaży opublikowanych zostało w latach 1982-1983 w tygodniku „Lud”, wydawanym w Kurytybie dla Polonii brazylijskiej). Osobny rozdział stanowiły dwie prace ówczesnego prezesa STN – prof. Władysława Górskiego, jednego z czołowych zwolenników idei „trzecioświatowej” orientacji badawczej i edukacyjnej Uniwersytetu Szczecińskiego², jednocześnie autora tekstu *Ze wspomnień uczestnika walk na froncie północno-afrykańskim w latach 1940-1942*. Do tej grupy należał też esej lekarza medycyny i pilota samolotowego Wiesława Jaszczyńskiego *Problemy współczesnego Sudanu*.

Powyższe informacje, a także zwłaszcza zawarty we wspomnianym Informatorze wykaz publikacji 36 autorów, stanowiły przekonujący dowód, że aspiracje Szczecina do stworzenia tu silnego ośrodka naukowego, zorientowanego na problematykę krajów Południa, w tym Afryki, nie były przejawem „wishful thinking”. Ośrodek Badań Krajów Południa (OBKP), utworzony 1 października 1987 roku, nie powstał na „naukowej pustyni”. Jego powołanie było w gruncie rzeczy logiczną konsekwencją tego, co działo się w Szczecinie w poprzednim ćwierćwieczu. Działalność Ośrodka projektowana była jako kontynuacja dzieła osób skupionych wokół Muzeum Narodowego w Szczecinie (w 1962 roku – dzięki inicjatywie PŻM – odbyła się rekonesansowa wyprawa pracowników Muzeum do krajów Afryki Zachodniej, która zapoczątkowała późniejsze wieloletnie badania nad historią i kulturą tej części Afryki³), wspomnianego już wcześniej Po-

² Zob. W. Górski, *Uniwersytet Szczeciński – uniwersytetem problemów Trzeciego Świata*, [w:] *Rola i zadania Szczecina w rozwoju stosunków ekonomicznych i kulturalnych między Polską i Afryką* (materiały sympozjum afrykanistycznego pod red. J. Dudzińskiego i S. Flejterskiego), Szczecin 1983, s. 83-87.

³ W tej sprawie zob. m.in.: W. Fenrych, *Zapiski z Afryki Zachodniej*, Szczecińskie Towarzystwo Naukowe, Szczecin 1965; W. Filipowiak, *Z badań nad historią i kulturą Afryki Zachodniej*, [w:] *Rola i zadania Szczecina...*, op. cit., s. 73-82.

dyplomowego Studium Urbanistyki i Planowania Regionalnego Krajów Rozwijających się⁴ oraz Zakładu Planowania Przestrzennego Krajów Rozwijających się Politechniki Szczecińskiej, Wydziału Rybactwa Morskiego i Technologii Żywności Akademii Rolniczej, Wyższej Szkoły Morskiej, Wydziału Biologii i Nauk o Morzu oraz Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Szczecińskiego.

Powołanie Ośrodka miało stanowić dla szczecińskich naukowców inspirację do rozwinięcia badań nad wybranymi, ważnymi zagadnieniami dotyczącymi krajów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Ośrodek miał dążyć do inicjowania badań wiele – i interdyscyplinarnych. Będąc nominalnie placówką uniwersytecką, w rzeczywistości miał być jednostką o zasięgu międzyuczelnianym, integrującą zainteresowanych pracowników nauki (wspólne badania, konferencje i seminaria, publikacje naukowe etc.). Ośrodek, zatrudniając w pierwszym okresie względnie niewielu stałych pracowników, zapraszać miał do współpracy w ramach swojego programu badawczego i działalności edukacyjnej poszczególnych zakładów i grup *ad hoc*, liczne osoby spoza Ośrodka, zarówno ze Szczecina, jak i innych polskich ośrodków. Chęć wykorzystywania istniejącego już w Polsce potencjału intelektualnego związana była z zamiarem uniknięcia niebezpieczeństwa przekształcenia się Ośrodka w rozbudowaną, niesprawną maszynę biurokratyczną. Kreatorzy – w tym autor niniejszego tekstu – zdawali sobie sprawę, że stworzenie Ośrodka będzie żmudnym, długotrwałym procesem, wymagającym energii i wyobraźni wielu osób. Jego założenia programowe i organizacyjne miały ewoluować w miarę zmieniających się potrzeb, a także warunków i możliwości kadrowych, lokalowych, technicznych i finansowych. Szczególnie istotne miało być, aby Ośrodek w szybkim czasie wypracował swój oryginalny profil badawczy i edukacyjny, unikając dublowania prac prowadzonych przez inne, krajowe ośrodki naukowe,

⁴ Zob. m.in.: *20-Anniversary of the Postgraduate Course of Town and Country Planning for Developing Countries. Jubilee Issue, Town and Country Planning Research*, vol. 10/1985; W. Pęski, *Advanced Postgraduate Course of Town and Regional Planning for Developing Countries*, Szczecin 1987; P. Zaremba, *Education of Regional Planners from the Developing Countries*, „Studies on the Developing Countries” 1987, nr 1, s. 197-202.

z którymi zresztą chciał ściśle współpracować (odpowiednie komitety i placówki naukowe PAN, instytuty, katedry i zakłady innych polskich uczelni).

Ośrodek współpracować miał w różnych formach – w miarę potrzeb i możliwości – nie tylko z partnerami krajowymi, ale też z wybranymi zagranicznymi instytucjami i organizacjami naukowymi, gospodarczymi i społecznymi. Przykładowo, Ośrodek zamierzał otrzymywać bieżące robocze kontakty z działającymi wówczas w Szczecinie towarzystwami przyjaźni z narodami. Chodzi tu o: Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej⁵, powstałe już w 1962 roku, Towarzystwo Polska-Ameryka Łacińska, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Arabskiej, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Chińskiej, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Indyjskiej, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Kubańskiej, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Nepalskiej, wreszcie o Polskie Towarzystwo Przyjaciół ONZ, Studenckie Stowarzyszenie Przyjaciół ONZ oraz ówczesny Polski Komitet Solidarności z Narodami Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Organizacje te były wówczas ważnym ogniwem społecznym w łańcuchu wysiłków na rzecz zbliżenia Szczecina do krajów Południa.

Czołową funkcją i zadaniem Ośrodka miało być prowadzenie badań naukowych na możliwie najwyższym, światowym poziomie, charakteryzujących się wysokim stopniem użyteczności dla polskiej polityki zagranicznej (w tym polityki ekonomicznej, z polityką handlu zagranicznego i polityką morską na czele) oraz dla działalności innych potencjalnych sponsorów – zainteresowanych instytucji, organizacji i przedsiębiorstw. Ośrodek zaczął zajmować się szczególnie badaniami problemów rozwoju ekonomicznego i handlu zagranicznego (zwłaszcza specjalnych stref ekonomicznych i handlu usługami), gospodarki morskiej (żegluga, rybołówstwo, portów, przemysłu stoczniowego), planowania przestrzennego (zwłaszcza obszarów nadmorskich i miast portowych), etnografii i archeologii oraz

⁵ Warto odnotować, że szczeciński oddział TPP-A, z mgr Andrzejem Zawadzkim na czele, zorganizował 26 marca 1983 roku sympozjum afrykanistyczne na temat „Rola i zadania Szczecina w rozwoju stosunków ekonomicznych i kulturalnych między Polską i Afryką”. Współautorami okolicznościowej publikacji byli: Jerzy Dudziński, Stanisław Flejterski, Solomon Omo-Osagie, Wojciech Milke, Andrzej Sternicki, Władysław Filipowiak i Władysław Górski.

zagadnień prawno-międzynarodowych i współczesnych stosunków międzynarodowych wybranych krajów rozwijających się. Ośrodek miał z czasem aspirować do stworzenia służb doradczo-konsultacyjnych na potrzeby krajowe, a w perspektywie i zagranicy. Istotną rolę spełniać miał afiliowany przy Ośrodku – kierowany przez nieocenionego Andrzeja Zawadzkiego (obecnie pracującego w Chinach jako Andrew Zawadzki-Liang) – Zakład Informacji o Krajach Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Osobnym, ważnym fragmentem działalności Ośrodka miało być kształcenie – również podyplomowe – praktyków i naukowców z krajów Południa, prowadzone zarówno w Polsce, jak i w zainteresowanych krajach, ponadto kształcenie obywateli polskich, przygotowujących się do wyjazdu do pracy w krajach Południa.

Po niespełna dwóch latach niezwykle intensywnej działalności Ośrodek Badań Krajów Południa US został zlikwidowany. Zabrakło wyobraźni i cierpliwości, ówcześni oponenci pokonali twórców i protektorów. Zostały wspomnienia, liczne czarno-białe fotografie, ponadto m.in. pierwszy w krótkich dziejach Uniwersytetu Szczecińskiego anglojęzyczny periodyk naukowy: „Polish Studies on Asia, Africa and Latin America Affairs” (nr 1-2/1991). Jego redaktorem naczelnym był doc. Adam Gwiazda, współredaktorem m.in. autor niniejszego tekstu, natomiast autorami artykułów kilkunastu – polskich i zagranicznych – znawców problematyki krajów Południa, w tym Afryki Arabskiej i Subsaharyjskiej. Od tamtego czasu upłynęły ponad dwie dekady. Wydaje się, że warto zachować w zbiorowej, szczecińskiej pamięci tamten epizod, choćby tylko *ad futuram rei memoriam*.

Szczecin bliżej krajów Południa

Ośrodek Badań Krajów Południa, utworzony 1 października 1987 roku jest najmłodszą placówką naukową Uniwersytetu Szczecińskiego — najmłodszego polskiego uniwersytetu. 21 kwietnia 1988 r. odbyło się w szczecińskim Zamku Książąt Pomorskich inauguracyjne posiedzenie Rady Naukowo-Programowej Ośrodka, powołanej przez UŚ na lata 1988—1990. Do udziału w pracach rady, spełniającej przede wszystkim funkcje opiniotwórcze i doradcze ale też mającej być swego rodzaju „klubem sponsorów”, zaproszono 37 przedstawicieli nauki i praktyki, w tym gospodarki morskiej. Członkami rady są m. in. mgr Tadeusz Lech (reprezentujący dyrektora naczelnego PZM), dr Adolf Wysocki (reprezentujący dyrektora oddziału PLO w Szczecinie), mgr. inż. Józef Falkowski — dyrektor PPURM „Transocean”, mgr Wojciech Polaczek — dyrektor Spółki z o.o. „Rybex”, inż. Jerzy Neja — dyrektor PPD:UR „Gryf”, ponadto prof. Leszek Plewiński i doc. Jerzy Listewnik z Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie. Przewodniczącym rady został wybrany prof. Piotr Zaremba, natomiast wiceprzewodniczącym prof. Zbigniew Dobosiewicz z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Ośrodek zainicjował badania naukowe z zakresu problematyki rozwoju społeczno-gospodarczego i handlu zagranicznego usługami, planowania przestrzennego regionów nadmorskich i miast portowych, a także gospodarki morskiej (żegluga, porty, rybołówstwo, przemysł stoczniowy wybranych krajów Azji); Daleki Wschód: ChRL, Indie, Korea Południowa, Indonezja, Tajlandia, Malesja, Filipiny, Singapur; Bliski Wschód: Turcja, Syria, Iran, Irak, Kuwejt, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Afryka (Afryka Północna, Egipt, Libia, Tunezja, Algieria, Maroko; Afryka Sub-Saharyjska: zwłaszcza Zachodnia z Nigerią i Angolą na czele), ponadto Ameryki Łacińskiej (m. in. Kuba, Meksyk, Brazylia, Argentyna, Urugwaj).

Ośrodek Badań Krajów Południa — jak informuje jego dyrektor dr Stanisław Flejterski — jest zainteresowany rozwijaniem konkretnej, pożytecznej współpracy — w rozmaitych dziedzinach i formach (np. badania zlecone, ekspertyzy, publikacje) z polskimi i zagranicznymi placówkami naukowymi, instytucjami i przedsiębiorstwami, w tym szczecińskimi przedsiębiorstwami gospodarki morskiej, które w związku ze swoją działalnością produkcyjno-handlowo-usługową utrzymują kontakty z niektórymi państwami Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Ośrodek mieści się przy ul. Mickiewicza 64 (w gmachu Wydziału Ekonomicznego UŚ), tel. 760-31, w. 530.



Inauguracyjne posiedzenie Rady Naukowo-Programowej Ośrodka Badań Krajów Południa, kwiecień 1988 roku. Na zdjęciu od lewej: prof. Stanisław Flejterski, prof. Piotr Zaremba, prof. Kazimierz Jaskot – pierwszy Rektor US (fot. J. Giedrys)



Inauguracyjne posiedzenie Rady Naukowo-Programowej Ośrodka Badań Krajów Południa, kwiecień 1988 roku (fot. J. Giedrys)



Spotkanie w gabinecie Rektora z delegacją z Nigerii (fot. J. Giedrys)



Spotkanie wigilijne ze studentami w gabinecie Dyrektora Ośrodka Badań Krajów Południa (fot. J. Giedrys)



UNIWERSYTET SZCZECIŃSKI

70-540 SZCZECIN, UL. KORSARZY NR 1

Tel. 429-92 centr. 325-81 telex nr 0422719

Szczecin, 3 stycznia 1986

Sz.P.

.....
dr Stanisław Flejterski
.....

Instytut Ekonomii Politycznej

Zwracam się z uprzejmą prośbą o wzięcie czynnego udziału w pracach zespołu studialnego d/s opracowania koncepcji działalności uniwersyteckiego Ośrodka Badań Krajów Południa.

Zasadniczym zadaniem zespołu powinno być wstępne określenie obszaru badawczego oraz funkcji dydaktycznych Ośrodka, zarysowanie jego przyszłej struktury organizacyjnej oraz sformułowanie zasad działalności, w tym współpracy z innymi placówkami i instytucjami.

Pierwsze posiedzenie zespołu odbędzie się w gabinecie Rektora dnia 14 stycznia br. o godzinie 9⁰⁰.

Uprzejmie proszę o telefoniczne potwierdzenie swojego udziału w tym posiedzeniu / sekretariat Rektora - tel. 429-92 /.

Z wyrazami poważania

Rektor
Uniwersytetu Szczecińskiego
Prof.dr hab. Kazimierz Jaskot

List ówczesnego Rektora Uniwersytetu Szczecińskiego prof. Kazimierza Jaskota do dr Stanisława Flejterskiego z prośbą o wzięcie udziału w pracach zespołu do spraw opracowania koncepcji działalności Ośrodka Badań Krajów Południa

FENOMEN KAZIMIERZA NOWAKA, CZYLI O AFRYCE NOWOCZESNIE

PIOTR TOMZA

„Wyczyn Kazimierza Nowaka zasługuje na to, by jego nazwisko znalazło się w słownikach i encyklopediach, by było wymieniane obok takich nazwisk jak Stanley i Livingstone” – powiedział w listopadzie 2006 roku Ryszard Kapuściński¹, odsłaniając w Poznaniu tablicę pamiątkową poświęconą właśnie Nowakowi. Kapuściński najwyraźniej stawiał sobie ograniczone cele. Z perspektywy sześciu lat, które od tamtego momentu upłynęły, równie dobrze możemy bowiem zapytać, dlaczego Nowaka umieszczały tylko obok tych nazwisk, a nie przed nimi.

Zanim spróbujemy odpowiedzieć, czemu ten pomysł wcale nie jest zbyt śmiały, ani tym bardziej nieuzasadniony, postaramy się pokrótce przybliżyć sylwetkę człowieka, który w latach 30. XX wieku samotnie przemierzył Afrykę z północy na południe i z powrotem, wykonując przy tym – w trakcie pięcioletniej podróży – monumentalną pracę dokumentacyjną (tysiące stron notatek, zapisanych obserwacji oraz setki zdjęć), następnie został prawie całkowicie zapomniany, by wreszcie, kilkadziesiąt lat po swojej śmierci, stać się inspiracją dla nowego pokolenia podróżników i pasjonatów Afryki.

W kolejnych paragrafach artykułu omówione zostaną: życie i afrykańska podróż Nowaka, recepcja (a właściwie jej brak) jego dokonania w Polsce po drugiej wojnie światowej, przełom, jaki w tej dziedzinie dokonał się na początku XXI wieku za sprawą wydania książki *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd* i wreszcie narodziny wyjątkowego w swoim charakterze i w swojej skali zjawiska – ogromnej popularności przedwojennego

¹ K. Nowak, *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*, red. i wstęp Ł. Wierzbicki, Poznań 2008, s. 15-16.

podróżnika w Polsce w ostatnich latach, która zaowocowała m.in. realizacją oryginalnego i niezwykle interesującego przedsięwzięcia, sztafety podróżniczej „Afryka Nowaka”. Zostanie tu też podjęta próba określenia kluczowych elementów stanowiących o wyjątkowości dorobku Nowaka, które sprawiają, że do dziś jego rozumienie Afryki (odtworzone z tekstów i zdjęć, które pozostawił) może nie tylko stanowić inspirację, ale też ułatwić Europejczykowi świeże i nowoczesne spojrzenie na ten kontynent.

1.

Kazimierz Nowak urodził się w 1897 roku w Stryju (obecnie Ukraina). Nie udało mu się odebrać systematycznego wykształcenia (nie miał matury), za to od bardzo młodego wieku podróżował. Mając zaledwie 15 lat udał się ze Lwowa w podróż do Rzymu. We Włoszech znalazł się jeszcze raz kilka lat później, gdy podczas pierwszej wojny światowej trafił tam do niewoli jako austriacki żołnierz. Po 1918 roku krótko mieszkał w Krakowie, a następnie, po przeniesieniu wraz z jednostką wojskową do Poznania, osiadł w Wielkopolsce, ożenił się i podjął pracę jako urzędnik. W 1924 roku zwolniony z Poznańskiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego zaczął zarabiać na życie korespondencjami i zdjęciami z podróży. W tym celu odbył rowerowe wyprawy po Polsce oraz po Europie. W 1928 roku podczas jednej z takich wędrówek dotarł aż do Afryki Północnej, i odtąd, zafascynowany „odkryciem” dla siebie nowego kontynentu, zaczął czynić starania dla realizacji wyjątkowo odważnego i niepodjęwanego wcześniej przez nikogo przedsięwzięcia – samotnej rowerowej wyprawy przez Afrykę. Miał świadomość, że wcielenie w życie tego planu może zarówno przynieść mu powodzenie w wymiarze finansowym (ze względu na atrakcyjność i unikatowość materiału reporterskiego, który mógłby zgromadzić) jak i uczynić z niego pierwszego badacza, który na Afrykę spojrzy z zupełnie nowej perspektywy (rowerowe siodełko znakomicie nadaje się tu na symbol: jest czymś, co kształtuje nastawienie obserwatora i podróżnika, w równym stopniu, co lektyka niesiona przez tragarzy, choć – rzecz jasna – dokonuje tego w radykalnie odmienny sposób). Już będąc w podróży pisał: „Mimo upałów, burz i złej drogi przebyłem w ciągu osiemnastu dni prawie pięćset kilometrów pieszo, co nie jest niewątpliwie rekordem światowym, jednak

wątpię, czy znalazłbym wśród miliona białych choćby jednego naśladowcę”²; albo: „Zacząłem naprawdę najbardziej awanturniczy tryb życia, jakim żaden z dzisiejszych podróżników po Afryce pochwalić by się nie mógł”³.

Dzięki konsekwencji, silnemu przekonaniu o wartości tego, co robi, oraz – to też przecież nie bez znaczenia – dużej dozie szczęścia Kazimierz Nowak swoje ambitne zamierzenie zrealizował. Poprawił dzięki temu materialny byt swojej rodziny (podczas jego podróży żona z dwójką dzieci przeniosła się z Boruszyna, niewielkiej wielkopolskiej wioski, do Poznania), ale rozgłosu i uznania już nie doczekał. Styl, w jakim podróżował, a także rodzaj wrażliwości, który wpływał na to, jak przedstawiał swoje doświadczenia, za bardzo wyprzedzały epokę, w której przyszło mu żyć. Ale po kolei.

2.

4 listopada 1931 roku Kazimierz Nowak wyruszył ze wspomnianego Boruszyna do odległego kilkadziesiąt kilometrów na południe Poznania, wsiadł w pociąg do Rzymu i rozpoczął wyprawę, która zajęła mu kolejne pięć lat życia. Na wysłużonym, kilkuletnim rowerze, dysponując bardzo skromnym budżetem i pozbawiony instytucjonalnego wsparcia (czyli zupełnie inaczej niż choćby Arkady Fiedler, wybitny, i – podobnie jak Nowak – związany z Poznaniem badacz i podróżnik, który mniej więcej w tym samym okresie rozpoczynał swoje wyprawy po świecie) Nowak wylądował w Trypolisie pod koniec listopada 1931 roku. Skierował się wprost na południe, jednak zawrócony na Saharze przez włoską administrację targanej powstaniem Cyrenajki musiał cofnąć się do wybrzeża Morza Śródziemnego i przez Bengazi dotarł do Aleksandrii.

Warto podkreślić, że dopiero będąc w Egipcie, odebrał nowoczesny, małoobrazkowy aparat fotograficzny Contax przysłany mu z Poznania, wcześniej zaś, a więc na trasie liczącej ok. 3-3,5 tys. km, wiózł ze sobą na bagażniku roweru nieporęczny, staroświecki aparat fotograficzny z całym oprzyrządowaniem niezbędnym do wywoływania zdjęć, co mówi sporo o jego determinacji.

² Ibidem, s. 274.

³ Ibidem, s. 267.

Z Egiptu trasa podróży Nowaka wiodła już bez większych przeszkód na południe wzdłuż Nilu (odcinek Pustyni Nubijskiej pokonał pociągiem, zmuszony do tego przez administrację brytyjską), a następnie przez gęsto zaludniony rejon Wielkich Jezior Afrykańskich. Do Kapsztadu, pierwotnego celu swojej podróży, Nowak dotarł w kwietniu 1934 roku. Na powrót do Polski statkiem nie zdecydował się z kilku powodów. Brak pieniędzy z pewnością nie był jedynym, ani nawet – choć to już rzecz jasna tylko domniemanie – najważniejszym. Nowak, co z łatwością da się wyczytać w jego tekstach (nieraz zresztą formułuje to wprost) rozsmakował w podróżowaniu po Afryce, a zachęcony dotychczasowym powodzeniem, uznał, że nie warto przerywać wyprawy, i zdecydował się na podróż na północ, tym razem bliżej zachodniego wybrzeża kontynentu.

Po tym, jak wysłużony rower odmówił mu posłuszeństwa, Nowak prześiadł się na pewien czas na konia (podał mu go mieszkający w Gumuchab, w dzisiejszej Namibii, Polak, Mieczysław Wiśniewski), spory dystans przemierzył pieszo, spłynął rzekami Lulua, Kasai i Kongo, a Saharę z Fort Lamey (dzisiejsza Ndżamena) do Uargli pokonał na wielbłądzie. Ostatnie kilometry przemierzał znów na rowerze. W listopadzie 1936 roku zakończył swoją afrykańską wędrówkę w Algierze. Nie bez perturbacji dotarł następnie do Marsylii, skąd – znów rowerem! – przejechał dystans do Paryża, by wreszcie pociągiem udać się przez Niemcy w kierunku Polski. Granicę przekroczył w nocy z 22 na 23 grudnia w Zbąszyniu.

Decyzja, którą Nowak podjął w Kapsztadzie, okazała się brzemienne w skutki, droga powrotna była bowiem o wiele bardziej żmudna i męcząca niż trasa na południe. Swoje robiło też wyczerpanie organizmu, wyniszczonego trudami podróży, wysiłkiem fizycznym oraz – przede wszystkim – nawrotami malarii. Czytając i porównując korespondencje Nowaka pisane w pierwszych latach trwania wyprawy z tymi, które powstały w drodze powrotnej, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że pełen entuzjazmu i ciekawości człowiek, który potrafił w niesamowity, wręcz zaraźliwy sposób cieszyć się Afryką, jej przyrodą i spotkaniami z ludźmi, z czasem zamienił się w kogoś, kto co prawda nie stracił całkiem świeżości i radości obcowania z nowym i nieznanym, ale jednak na pierwszym miejscu musiał już stawiać walkę o przetrwanie. Tak czy owak jednak, dopiął swego.

Po powrocie do Polski Nowak szybko podjął działania zmierzające do nagłośnienia i popularyzacji swojego bezprecedensowego dokonania. Wygłosił kilka odczytów o życiu mieszkańców Afryki i geografii kontynentu w Poznaniu (kino „Apollo”), w Krakowie (na Uniwersytecie Jagiellońskim) oraz w Warszawie (w Wyższej Szkole Handlowej), a także rozpoczął pracę nad książką. Niestety, przez pięć lat eksploatowany ponad miarę organizm Nowaka nie wytrzymał. 13 października 1937 roku podróżnik zmarł na zapalenie płuc, którego nabawił się w szpitalu po operacji, jaką przeszedł z powodu zapalenia okostnej.

Choć pogrzeb Nowaka był w Poznaniu wydarzeniem dużej rangi, jego postać oraz wyczyn szybko poszły w niepamięć. W okresie tuż po jego śmierci trudno się zresztą temu dziwić. Bez wątplenia nie były to (końcówka lat 30. XX wieku w Polsce) najlepsze czasy na popularyzację czegoś tak oderwanego od polityki jak podróżowanie z aparatem fotograficznym i notesem po Afryce, w dodatku Nowak dość wyraźnie odcinał się od projektów zgłaszanych wówczas przez cieszącą się pewnymi wpływami również w kręgach rządowych Ligę Morską i Kolonialną. O Nowaku zapomniano na bardzo długo.

3.

Mając na uwadze skalę dokonania Nowaka i jego pionierski charakter, w pierwszym odruchu trudno uwierzyć, że w polskim piśmiennictwie po drugiej wojnie światowej wzmianki o podróżniku, który przemierzył Afrykę „na przełaj” można właściwie policzyć na palcach. Jest to tym bardziej kuriozalne, że choć Nowak istotnie nie zdążył za życia opublikować książki, do której można by się odnosić jako do zwartego źródła, to jednak jego spuścizna była po pierwsze obszerna, po drugie miała charakter pisany (drukowany), po trzecie wreszcie była (i jest) stosunkowo łatwo dostępna, w trakcie swojej wyprawy Nowak regularnie publikował bowiem w polskiej prasie, m.in. w takich czasopismach jak „Naokoło Świata”, „Na Szerokim Świecie” czy „Przewodnik Katolicki”.

Za najważniejszą powojenną publikację dotyczącą podróży Nowaka należy uznać przygotowany przez córkę podróżnika, Elżbietę Nowak-Gliszewską, album *Przez Czarny Ląd*, zawierający ponad trzysta wykonanych przez

niego fotografii⁴. Ukazał się on nakładem wydawnictwa Wiedza Powszechna w 1962 roku, jednak – jak należy ocenić z perspektywy czasu – nie wywołał wielkiego zainteresowania ani w świecie naukowym, ani w obiegu popularnym. Ponadto wzmianki o Nowaku można znaleźć w książce Zbigniewa Zakrzewskiego *Przechadzki po Poznaniu lat międzywojennych*⁵, w broszurze Marii Paradowskiej i Jolanty Bagińskiej-Mleczak o wielkopolskich podróżnikach *Z Wielkopolski w świat*⁶ oraz w cenionym opracowaniu Antoniego Kuczyńskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego *Polskie opisanie świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych*. Są to jednak zaledwie wspomnienia o tym, że ktoś taki jak Nowak istniał i odbył podróż po Afryce. Zakrzewski poświęca Nowakowi jeden akapit, Kuczyński zaś (w zgodzie z konwencją swojej pracy, w której wymienia i krótko charakteryzuje możliwie wszystkich polskich podróżników i badaczy mających zasługi dla polskiej etnologii) jedno zdanie: „Podobną podróż [do wyprawy Walerego Goetla i Jerzego Lotha – PT] przedsięwziął w latach 1931-1936 Kazimierz Nowak, pokonując trasę z Kairu do Kapsztadu i z powrotem, wykonując bogatą dokumentację fotograficzną wykorzystywaną później w publikacjach”⁷.

Stosunkowo najwięcej (przy czym wciąż chodzi o raptem cztery akapity) i najdokładniej pisał o Nowaku Tadeusz Szafar w popularnonaukowej książce pt. *Odkrycie Afryki. Cztery tysiąclecia eksploracji Czarnego Lądu*, której jeden z rozdziałów, „Polacy na szlakach Afryki”, składa się z not biograficznych polskich podróżników. Oprócz dość precyzyjnego opisu trasy Nowaka, autor podkreśla też bardzo ważny aspekt dorobku podróżnika, a dokładnie wykonanych przez niego zdjęć: ich dużą wartość dokumentalną dla stosunków afrykańskich lat 30. XX wieku⁸.

⁴ Ibidem, s. 9; K. Nowak, E. Gliszewska, *Przez Czarny Ląd*, Warszawa 1962.

⁵ Z. Zakrzewski, *Przechadzki po Poznaniu lat międzywojennych*, Warszawa-Poznań 1974, s. 275.

⁶ M. Paradowska, J. Bagińska-Mleczak, *Z Wielkopolski w świat*, Poznań 1984.

⁷ A. Kuczyński, *Polskie opisanie świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych. Część II: Korzenie i współczesność polskich badań etnologicznych w Afryce*, „Etnografia Polska”, t. XXXVIII: 1994, z. 1-2, s. 143.

⁸ T. Szafar, *Odkrycie Afryki. Cztery tysiąclecia eksploracji Czarnego Lądu*, Warszawa 1974, s. 318.

Cycling Across The Sahara Desert

By
Kazimierz
Nowak

The author with his friends at the Sahara Desert.

What The Bedouin Calls A Day!

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

Thirst and Hunger
on an Amazing
Journey

KAZIMIERZ NOWAK.

The author's journey across the Sahara Desert.

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

It was a hot day in the Sahara Desert. The sun was shining brightly, and the air was dry and dusty. The three men were sitting on the ground, looking tired and thirsty. They had been cycling for hours, and now they were resting. One of the men, Kazimierz Nowak, was looking at the others and saying, "What the Bedouin calls a day!"

Bulawayo Chronicle, Rodezja, czerwiec 1934 rok

Oprócz tego o Nowaku pisano jeszcze kilkakrotnie w prasie, ale raczej o zasięgu lokalnym niż ogólnopolskim (m.in. wspomnienia o podróżniku w dziesiątą rocznicę jego śmierci w „Ilustrowanym Kurierze Polskim”, w „Głosie Wielkopolski” oraz dużo później w periodyku „Wielkopolska”). I tyle. Aż do roku 2000.

4.

W 2000 roku, nakładem poznańskiego Wydawnictwa Sorus, ukazało się pierwsze wydanie książki zatytułowanej *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*. Znalazły się w niej teksty reportaży Nowaka publikowane w przedwojennych czasopiśmie, wybrane i zredagowane przez Łukasza Wierzbickiego, poznaniaka, który postacią Nowaka zainteresował się za sprawą swojego

Kazimierz Nowak

ROWEREM I PIESZO PRZEZ CZARNY LĄD



Listy z podróży afrykańskiej
z lat 1931-1937

Pierwsze wydanie książki *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*, 1000 egzemplarzy,
2000 rok

dziadka, który w młodości był ich wiernym czytelnikiem. Początkowo, podobnie jak album przygotowany przez Elżbietę Gliszewską-Nowak czterdzieści lat wcześniej, książka nie spotkała się z szerszym odzewem. Zmieniło się to dopiero w 2006 roku, gdy trafiła w ręce Ryszarda Kapuścińskiego. Wybitny pisarz i znawca Afryki jak mało kto potrafił ocenić wartość tekstów oraz zdjęć Kazimierza Nowaka. „Przejęty jestem lekturą książki Kazimierza Nowaka [...]. To zupełnie niezwykła książka ze względu na treść i osobę autora, zasługująca na dużo większą uwagę i szerszy oddźwięk. Rewelacyjna to rzecz [...]; oby zajęła ona stałe miejsce na listach klasyki polskiego reportażu – czego zresztą jestem od tego momentu sam gorącym zwolennikiem”⁹ – napisał Kapuściński w liście do wydawnictwa, zgodził się też uczestniczyć w odsłonięciu tablicy upamiętniającej Nowaka na dworcu Poznań Główny, którą ufundował Maciej Pastwa, poznański podróżnik również zafascynowany historią sprzed lat.

Od tego momentu wokół postaci Nowaka i jego afrykańskiej podróży zaczęło się dziać bardzo dużo. Wydawnictwo przygotowało i zaczęło promować drugie, a potem kolejne wydania *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*, a wyczyn przedwojennego podróżnika zyskiwał popularność.

5.

W marcu 2009 roku, podczas Kolosów, największego podróżniczego festiwalu w Polsce, zrodził się pomysł, by dokonanie Kazimierza Nowaka upamiętnić i spopularyzować poprzez sztafetę podróżniczą jego śladami z wykorzystaniem tych samych środków lokomocji, a więc przede wszystkim roweru. Autorami tej koncepcji byli podróżnicy: Jakub Pająk z Krakowa, oraz szczecinianie Piotr Sudol i Zbigniew Sas (rok wcześniej, również na Kolosach, projekt samochodowej wyprawy śladami Nowaka zgłosili Sławomir Kunc i Piotr Tomza, ich podróż nie doszła jednak do skutku).

Jednym z głównych założeń przedsięwzięcia, które zostało nazwane „Afryka Nowaka”, było to, by zaangażować w nie jak największą ilość osób. Dzięki temu cel popularyzacji postaci i wyczynu Nowaka – jeden z głów-

⁹ K. Nowak, op. cit., okładka.

nych, jaki postawili sobie pomysłodawcy i organizatorzy sztafety – mógł być realizowany równocześnie przez wiele osób, w różnych środowiskach i rozmaitymi kanałami komunikacji.

Sztafeta wystartowała 4 listopada 2009 roku z Boruszyna i trwała dokładnie 799 dni. Jej uczestnicy, łącznie ponad sto osób, podróżowali, starając się jak najwierniej odtworzyć szlak wyprawy Nowaka. Było to możliwe dzięki listom, jakie właściwie codziennie Nowak pisał w podróży do swojej żony, do których to – już na fali rosnącej popularności Nowaka – udało się dotrzeć Wydawnictwu Sorus.

Trasa sztafety z Trypolisu przez Kapsztad do Algieru, w sumie 33,5 tys. km, została podzielona na prawie trzydzieści etapów, trwających zwykle około miesiąca – w każdym brało udział od kilku do kilkunastu osób, które po dojechaniu do mety swojego odcinka przekazywały sztafetową pałeczkę kolejnej zmianie. Zwieńczeniem wyprawy, i to akurat w dniu 115. rocznicy urodzin Nowaka, był przejazd wielkiego peletonu na rowerach z Poznania do Boruszyna, po uprzednim przywitaniu na dworcu Poznań Główny uczestników finałowego etapu sztafety, którzy – jak Nowak w 1936 roku już po przeprawieniu się do Europy – dotarli do stolicy Wielkopolski pociągiem z Paryża.

Znaczącą rolę w powodzeniu wyprawy popularyzującej podróż Kazimierza Nowaka odegrali szczecinianie. Oprócz wspomnianych już jej pomysłodawców (oraz uczestników), Sasa oraz Sudola, kluczowe odcinki sztafety realizowali: Janusz Adamski (himalaista i podróżnik, zdobywca Korony Ziemi, w ramach „Afryki Nowaka” prowadził ekspedycję w masywie Ruwenzori oraz spłynął rzekami Lulua, Kasai i Kongo ok. 1000 km z Luebo do Kinszasy), Andrzej Ziółkowski (wraz z Adamskim zrealizował odcinek rzeczny), Radosław Okieńczuk (etap przez Rwandę, Demokratyczną Republikę Konga i Burundi), Sławomir Ciołczyk (Republika Południowej Afryki i pieszy etap przez DRK) oraz Rafał Wierzbicki (pieszo przez DRK).

Naturalnie przedstawiciele innych miast w „Afryce Nowaka” także nie brakowało, podobnie jak i reprezentantów najróżniejszych zawodów oraz kilku pokoleń (najmłodszy uczestnik, Jonasz Wierzbicki, miał siedem miesięcy, najstarszy, Sławomir Kuczyński, 68 lat). Tych wszystkich ludzi, którzy w całkowicie niekomercyjne przedsięwzięcie, jakim była „Afryka Nowaka”, zaangażowali swój czas, energię i pieniądze, coś do tego skłoniło. Kazimierz

Nowak i jego pięcioletnia podróż – to oczywiste. W tamtej wyprawie sprzed lat musiało być jednak coś wyjątkowo aktualnego, skoro aż tylu różnym osobom wydała się ona dzisiaj tak ważna. Postawiliśmy wcześniej tezę, że spojrzenie Nowaka na Afrykę znacznie wyprzedzało jego epokę. Być może właśnie tutaj należy szukać klucza.

6.

Zupełnie niezwykła jak na lata 30. XX wieku jest otwartość Kazimierza Nowaka na różnorodność kulturową, jego tolerancja i chęć zrozumienia „innego” (by posłużyć się ulubionym terminem przywoływanego już tu kilkakrotnie Kapuścińskiego). Nie wiemy, czy Nowak znał i czytał prace Bronisława Malinowskiego, na pewno jednak w podobny sposób postrzegał kulturę. Na tle białych podróżników przemierzających Afrykę w pierwszej połowie XX wieku był ewenementem: obca była mu pogarda dla „dzikich” i przekonanie o wyższości cywilizacji europejskiej. O kolonizacji kulturowej kontynentu i „brzemieniu białego człowieka” miał zresztą jak najgorsze zdanie. Nie był przy tym bezkrytyczny w ocenie stosunków wewnątrzafrykańskich, bowiem jego otwarty stosunek do innych kultur nie polegał na ich doktrynerskim – powiedzielibyśmy dzisiaj – politycznie poprawnym afirmowaniu, ale na szacunku, który przecież nie wyklucza również krytyki.

W tym miejscu wspomnieć trzeba o pewnej bardzo radykalnej interpretacji, jakiej poddane zostały niektóre wyjęte z kontekstu fragmenty reportaży Nowaka, w których w negatywny sposób ocenia on rozmaite aspekty afrykańskiej rzeczywistości. W tekście, jaki w 2008 roku ukazał się w portalu *Afryka.org*, Nowakowi przypisano „poczucie wyższości i zwykły, pierwotny wręcz rasizm”, ponieważ w jego listach i reportażach można znaleźć też i takie fragmenty: „Jeść dużo, obojętnie co – to rozkosz Murzyna, a potem położyć się w cieniu strzechy i trwać bezmyślnie godzinami”; albo „Murzyn to duże dziecko, nie zna troski o jutro, w ogóle o niczym nie myśli. [...] nigdy potomstwu nic nie pozostawi”¹⁰. Z dzisiejszej perspektywy te zdania faktycznie brzmią szokująco, jednak przykładanie

¹⁰ Zob. *Afryka oczami Kazika*, <http://afryka.org/afryka/afryka-oczami-kazika-news/>

w taki sposób ahistorycznej, współczesnej miary do tekstów sprzed ponad siedemdziesięciu lat raczej fałszuje obraz rzeczywistości niż coś do niego wnosi. Owszem, Nowak niejednokrotnie pisał o lenistwie Afrykańczyków albo o ich braku samodzielności, jednak równocześnie, traktując ich jak równych sobie, jadał razem z nimi siadając na ziemi i wspólnie z nimi się fotografował, a należy też przecież pamiętać o dziesiątkach jego relacji pisanych w zupełnie innym tonie niż inkryminowany wyżej. A robił to wszystko w czasach, w których normą było coś zgoła odmiennego, a które najlepiej, bo zarazem lakonicznie i niezwykle celnie, opisał w *Podróży do kresu nocy* Céline: „Ale co tam dużo gadać, nie bardzo było fajnie w tych koloniach”¹¹.

Zajmując się Nowakiem, nie sposób przemilczeć także jego niebywałą odwagę i determinację. Podejmując się wyzwania, jakim była wieloletnia podróż przez Afrykę bez wsparcia z zewnątrz, a także wybierając w ramach niej takie, a nie inne rozwiązania (np. przejście przez Saharę czy spływ dopływami Kongo) Nowak nierzadko balansował na granicy między życiem a śmiercią. Momentami można wręcz odnieść wrażenie, że takich granicznych doświadczeń szukał. Ponieważ przeżył, wydaje się to efektowne i inspirujące. Gdyby zginął, to albo nic byśmy o tym nie wiedzieli albo nazwali go szaleńcem. Jasne – takie postawienie sprawy jednak niewiele wnosi. Warto raczej zastanowić się, czy – a jeśli tak, to jakie – ryzykanctwo Nowaka miało uzasadnienie.

„Ryzykowałem życiem, narażony byłem na tysiące niebezpieczeństw, na choroby, nędzę, na ciernie, które raniły mi ciało i niszczyły gumy mojego roweru, w zamian za to jednak z bliska przyglądałem się życiu ludzi i zwierząt Afryki, dotykałem stopami jej ziemi, żyłem otaczającym mnie życiem tego kontynentu”¹² – pisał Nowak w jednej ze swoich korespondencji. Żyjąc w tamtych czasach – w innych nie było mu dane – i chcąc realizować pasję reportera i badacza Afryki bez „brzemienia białego człowieka” na karku, Nowak *de facto* nie miał wyboru: istniejące pomiędzy „białym” a „czarnym” kulturowe bariery były tak potężne, że musiał przekraczać je w sposób radykalny i jednoznaczny, inaczej bowiem nie miał szans choćby

¹¹ L.-F. Céline, *Podróż do kresu nocy*, Izabelin 2005, s. 147.

¹² K. Nowak, op. cit., s. 150.

zbliżyć się do prawdy o codziennym, autentycznym życiu mieszkańców tego kontynentu. Nasuwa to pewne skojarzenie z postawą współczesnych korespondentów wojennych – by zdobyć informacje z pierwszej ręki, zajrzeć pod podszewkę wydarzeń, trzeba podejmować ryzyko: inaczej tego zawodu uprawiać się nie da. Nowak podobnie – gdyby nie wybrał losu włóczęgi, nie miałby szans stworzyć tak wyjątkowego zapisu swojej epoki: „Zaprawdę wygodniej można podróżować po Kongu Belgijskim, ale ja do wygod nie tęsknię. Jestem zadowolony sam z siebie, przebijam się przez Afrykę o własnych siłach, a nie prowadzony przez przewodnika, jak pokojowy piesek przez swoją panią”¹³. Powtórzmy to jeszcze raz: nikt przed Nowakiem nie podróżował przez Afrykę w taki sposób.

I wreszcie ostatni element świadczący o oryginalności i nowoczesności Nowaka, na który chcemy tu zwrócić uwagę: jego krytyka stosunków społecznych w wymiarze globalnym. „Świat staje się coraz bardziej szary, przeraźliwie monotony. Wszystkie pięć kontynentów ulega temu samemu prawu, zanikają piękne stroje ludowe i architektura, stworzone fantazją poszczególnych ludów i ras. Nawet florę i faunę modernizuje się, nagina do woli wygodnych ludzi XX wieku, którzy każdą kwestię starają się ująć w ramy prawa, z wykluczeniem odrębnych potrzeb poszczególnych ras, zamieszkałych pod różnymi szerokościami geograficznymi” - pisał Nowak w 1933 roku. Kapuściński miał wtedy zaledwie rok, a przecież kilkadziesiąt lat później śmiało (choć pewnie nie posłużyłby się kategorią rasy) mógłby włączyć ten fragment do jednego ze swych wykładów o globalizacji, uznawanych nie bez racji za świeże i odkrywcze!

Forma niniejszego artykułu nie pozwala na to, by rozwijać w nim kolejne wątki, nie to jest też jego celem, niemniej warto zaznaczyć, że dokonanie i twórczość Kazimierza Nowaka zasługują (i wciąż czekają) na rzetelne opracowanie krytyczne, które pozwoliłoby umieścić je we właściwym kontekście, na tle dorobku innych, polskich i nie tylko, badaczy Afryki.

¹³ Ibidem, s. 170.

7.

Na koniec wróćmy jeszcze do sztafety „Afryka Nowaka”. O ile celem podróży Nowaka była Afryka, o tyle celem wyprawy zrealizowanej w latach 2009-2012 był Nowak. Jej uczestnicy, podróżując w zupełnie innych warunkach niż przedwojenny – jak sam siebie określał – „obleciświat”, nie przywieźli ze sobą równie znakomitego materiału etnograficznego co Nowak, udało im się za to wykonać znakomitą pracę popularyzatorską i dokumentacyjną. M.in. wykonali kilkadziesiąt „zdjęć porównawczych”, przedstawiających dokładnie te same kadry, które na swoich fotografiach uchwycił Nowak, tyle że kilkadziesiąt lat później, zamontowali na trasie wyprawy ponad osiemdziesiąt tabliczek upamiętniających wyczyn Nowaka (każda informująca o nim w języku polskim, postkolonialnym i rodzimym), a także – co może się wydawać wręcz sensacyjne – dotarli do sześciu osób pamiętających osobiście Kazimierza Nowaka z czasów jego podróży przez Afrykę.

Wyprawa „Afryka Nowaka” zakończyła się w styczniu 2012 roku. Zgromadzony podczas niej materiał znajduje się w trakcie opracowywania.

Bibliografia:

- Céline L.-F., *Podróż do kresu nocy*, Izabelin 2005.
- Kuczyński A., *Polskie opisanie świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych. Część II: Korzenie i współczesność polskich badań etnologicznych w Afryce*, „Etnografia Polska”, t. XXXVIII: 1994, z. 1-2.
- Lindqvist S., *Wytępić całe to bydło*, Warszawa 2009.
- Nowak K., Gliszewska E., *Przez Czarny Ląd*, Warszawa 1962.
- Nowak K., *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*, red. i wstęp Ł. Wierzbicki, Poznań 2008.
- Paradowska M., Bagińska-Mleczak J., *Z Wielkopolski w świat*, Poznań 1984.
- Szafar T., *Odkrycie Afryki. Cztery tysiąclecia eksploracji Czarnego Lądu*, Warszawa 1974.
- Zakrzewski Z., *Przechadzki po Poznaniu lat międzywojennych*, Warszawa-Poznań 1974.

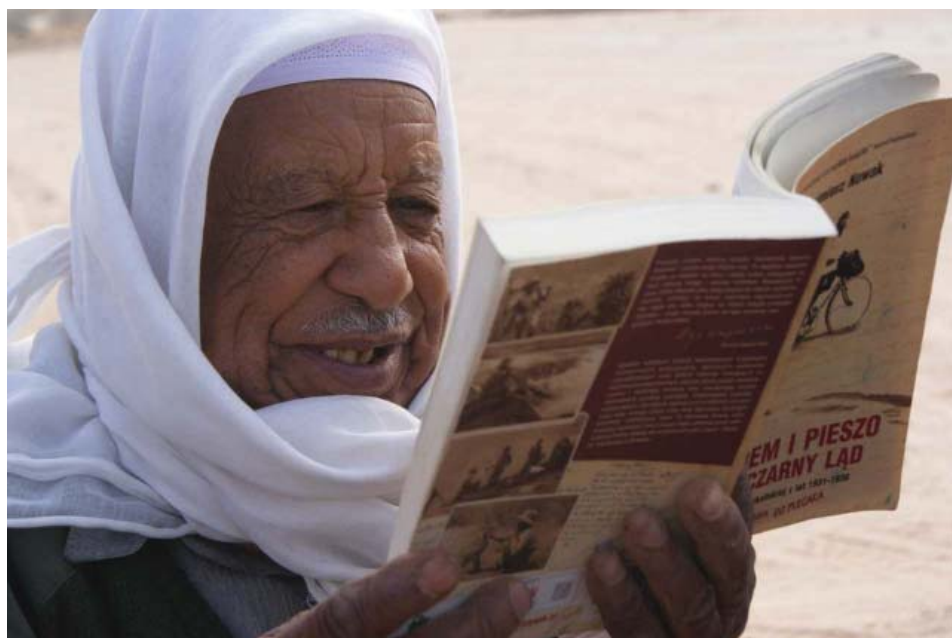
Internet:

AfrykaNowaka.pl

Podziękowania dla p. Teresy Szmajdy z Wydawnictwa Sorus oraz dla Łukasza Wierzbickiego za pomoc w ustaleniu listy publikacji, w których po II wojnie światowej wzmiankowano o Kazimierzu Nowaku i jego podróży.



Mikrofilm gazety *Al-Ahram* wydanej w sierpniu 1932 roku, odnaleziony w redakcji w Kairze, Egipt, styczeń 2010 rok



Naoczny świadek podróży K. Nowaka - Salah Ali Badran, Libia, 2009 rok



Kazimierz Nowak na Saharze, Trypolitania



Kazimierz Nowak wśród Szulików, Sudan



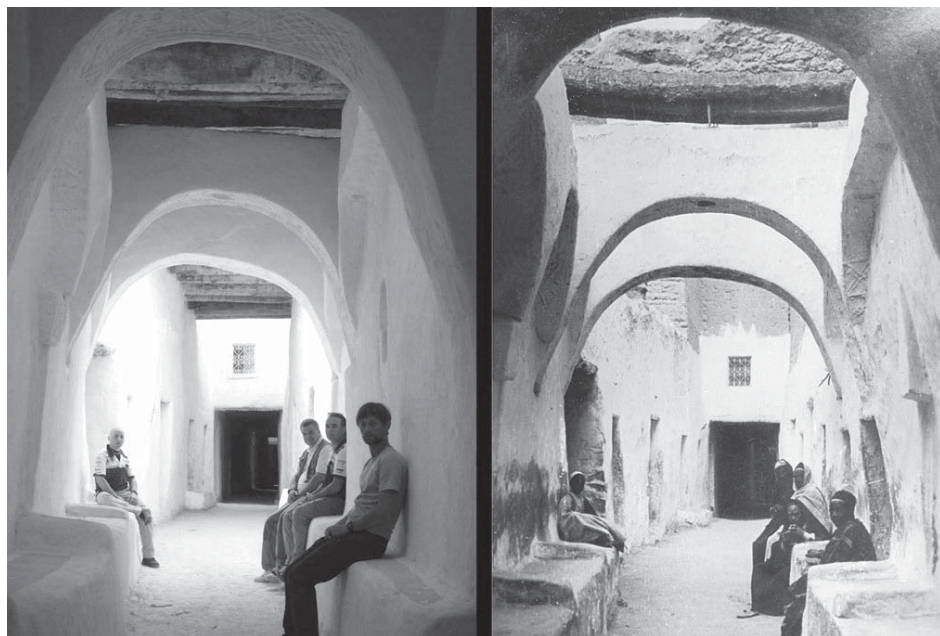
Kazimierz Nowak ze swoim skromnym dobytkiem



Kazimierz Nowak



Tabliczka ze szlaku Kazimierza Nowaka w Afryce, zwieszona w Misji Quipeio, Angola, styczeń 2011



Zdjęcie porównawcze – Medina w gadamesie. Nowak, Trypolitania, grudzień 1932 rok; Sztafeta, Libia, grudzień 2009 rok

GHANA 2011 – WSTĘPNE SPRAWOZDANIE Z OBSERWACJI I DOKONAŃ W TRAKCIE WYJAZDU BADAWCZEGO*

ANNA BYTYŃ-BUCHAJCZYK, MARTA TOBOTA

Przed każdym wyjazdem na badania terenowe należy w pierwszej kolejności rozstrzygnąć pytania co do celu wyprawy, planu i charakteru badań. Dlaczego zatem Ghana? Co tak wyjątkowego kryje się w jej historii, kulturze, mieszkańcach?

Ghana to przede wszystkim pierwszy niepodległy kraj Afryki Subsaharyjskiej, który swą niezależność zawdzięcza m.in. Kwame Nkrumahowi, pierwszemu premierowi i prezydentowi tego kraju, postaci tyle zasłużonej co kontrowersyjnej. Pionierskość tego kraju to także pierwszy europejski fort na wybrzeżu Afryki Zachodniej, a tym samym początek europejskich kontaktów handlowych z Afryką drogą morską. Ghana to także ojczyzna bogatej kultury ludu Aszanti oraz rejon „niezwykle urodzajny” w nowe odłamy religii muzułmańskiej. Biorąc pod uwagę sumę powyższych elementów określiliśmy cztery tematy rozpoznawcze, które obejmują powyższe zagadnienia – „Brandenburskie i europejskie pozostałości na Złotym Wybrzeżu”, „Tradycja i współczesność w kulturze Aszantów”, „Społeczeństwa muzułmańskie w Ghanie i relacje między wspólnotami

** Sprawozdanie jest rezultatem miesięcznej wyprawy do Ghany (10 czerwca – 8 lipca 2011 roku) Anny Bytyń-Buchajczyk, doktorantki na Uniwersytecie Szczecińskim, której głównym celem było zbadanie współczesnego stanu pozostałości europejskich fortyfikacji na Złotym Wybrzeżu, oraz Marty Toboty z Działu Kultur Pozaeuropejskich Muzeum Narodowego w Szczecinie, badającej w Ghanie kulturę ludu Aszantów i społeczności muzułmańskie na północy kraju.*

muzułmańskimi” oraz „Kwame Nkrumah w świadomości Ghańczyków – niewykorzystana szansa czy spełnione nadzieje?”

Wyprawę zaplanowaliśmy dość ambitnie – rozpoczynając w stolicy kraju, Akrze, przemieszczając się wzdłuż wybrzeża atlantyckiego, następnie udając się do stolicy kraju Aszantów Kumasi, w środkowej części kraju, po miejscowość Wa w części północo-zachodniej, niedaleko granicy z Burkina Faso. W końcowym etapie wyprawy zatrzymaliśmy się jeszcze w stolicy Regionu Północnego – Tamale, aby dotrzeć do Yendi – siedziby wodza ludu Dagomba. Z Tamale, przez Kumasi, wróciliśmy do Akry, zataczając koło w ghańskiej wyprawie.

Akra to ogromna metropolia. Chociaż historycznie miasto to należało do grupy etnicznej Ga, obecnie stanowi mozaikę kulturową przede wszystkim ze względu na migracje zarobkowe z obszaru całej Ghany, a nawet sąsiednich krajów. Epatowanie symbolami narodowymi Ghany najwyraźniej można odczuć właśnie w stolicy. Do symboli tych, poza flagą narodową, należy niewątpliwie postać Kwame Nkrumaha. Mauzoleum oraz park imienia byłego prezydenta znajduje się nieopodal wybrzeża w pobliżu Placu Niepodległości. Pomnik Nkrumaha zdobi także dziedziniec Muzeum Narodowego, a Nkrumah Circle jest jednym z najważniejszych węzłów komunikacyjnych Akry. Symbole przeszłości, choć w różnym stopniu, widoczne są też w innych regionach. W większości miast i miejscowości znajduje się udekorowany plac – pozostałość po uroczystościach z okazji 50-lecia uzyskania niepodległości w 2007 roku, w Akrze takie miejsce sąsiaduje z Placem Niepodległości. Pomimo iż w historii Ghany nietrudno znaleźć podstawy do krytycznej oceny rządów Nkrumaha, w pamięci Ghańczyków wydaje się on pozostawać osobą jednoznacznie pozytywną. Dotyczy to również opinii środowisk muzułmańskich, choć należały one do społeczności wręcz przez niego dyskryminowanych. Obecny główny imam meczetu w Akrze w dzielnicy Abose Okai, z którym miałyśmy okazję rozmawiać, podziela zdanie większości mówiące o nieskazitelności pierwszego prezydenta.

Jednak Ghana to teren atrakcyjny nie tylko dla badaczy ruchów niepodległościowych i zmięczeniu epoki kolonializmu, ale również dziejów dawniejszych, sięgających pierwszych kontaktów i wpływów europejskich na obszarze Zatoki Gwinejskiej, ponieważ to właśnie na Złotym Wybrzeżu powstała pierwsza fortyfikacja europejska. Począwszy od 1482 roku na tere-

nie Złotego Wybrzeża Europejczycy wzniesli około 50 fortyfikacji – fortów, kwater, zamków, które rozciągały się wzdłuż całego ghańskiego wybrzeża, od Kety na wschodzie, przy granicy z Togo, do Beyinu, na zachodzie. Do czasów obecnych przetrwało około trzydzieści budowli. Dziś, mimo jedynie częściowo zachowanych oryginalnych fragmentów, fortyfikacje te są zabytkami unikalnymi w skali światowej. Kierując się tymi przesłankami Komisja Światowego Dziedzictwa UNESCO zdecydowała w 1979 roku o przyjęciu tych obiektów na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO (UNESCO World Heritage List)¹. W okresie od przełomu XV-XVI wieku do mniej więcej połowy XIX wieku magazyny fortów zapelniane były początkowo przede wszystkim złotem, kością słoniową, drewnem i przyprawami, następnie zaś głównym „towarem eksportowym”, przetrzymywanym w ciemnych lochach, zostali niewolnicy. Mimo, iż towarami pochodzącymi z Afryki Zachodniej handlowano już od dawna w Afryce Północnej, a do kontaktów dochodziło już od I połowy XV wieku w ramach wypraw organizowanych przez Henryka Żeglarza, to dopiero Zamek Elmina, wybudowany na Złotym Wybrzeżu, stanowi pierwszy, trwały ślad europejskiej bytności. Ważne jest, aby pamiętać, iż historia fortyfikacji wzniesionych na Złotym Wybrzeżu i na całym wybrzeżu Afryki Zachodniej może być rozpatrywana jako część historii europejskiej ekspansji oceanicznej. Nie należy jednak postrzegać jej jako części historii kolonializmu *sensu stricte*, rozumianego jako zdobycie i utrzymywanie kontroli politycznej i gospodarczej nad danym krajem w celu jego eksploatacji.

Poznanie fortów rozpoczęliśmy już w Akrze, gdzie do dziś istnieją trzy fortyfikacje – dwa forty: Ussher i James oraz jeden z trzech zamków wzniesionych przez Europejczyków – Osu Castle (dawniej Christiansborg), obecnie siedziba rządu Ghany. Fort James znajduje się w dzielnicy o tej samej nazwie, którą zamieszkują głównie przedstawiciele grupy etnicznej Ga. Wszystkie trzy fortyfikacje znajdują się w odległości kilku kilometrów od siebie i można je zobaczyć z plaży niedaleko Osu Castle. Kierując się wzdłuż wybrzeża w kierunku zachodnim dotarliśmy do miasta Cape Coast, położonego niedaleko słynnego zamku Elmina, w strategicznym

¹ *World Heritage List, Forts and Castles, Volta, Greater Accra, Central and Western Regions, Documents*, www.whc.unesco.org/archive (23.02.2012).

wówczas punkcie Złotego Wybrzeża. Rozciągając kontrolę nad Złotym Wybrzeżem pierwsi wzniesli fortecę w Cape Coast Portugalczycy w połowie XIX wieku, następnie kwatera została rozbudowana przez Szwedów. Z powodów strategicznych forteca była przez kilkadziesiąt lat przedmiotem sporów pomiędzy Portugalią, Szwecją, Danią, Holandią i Anglią. W walkach o przejęcie kontroli nad zamkiem zwyciężyła Anglia i do późnych lat XIX wieku był on w jej posiadaniu. Obecnie odnowiony jest udostępniony do zwiedzania. Mieści się tam niewielkie muzeum oraz sklepy z pamiątkami. W 2009 roku prezydent USA Barack Obama odwiedzając Ghanę był także gościem na Cape Coast Castle.

Na odcinku około 145 km, który dzieli Akrę od Cape Coast znajdują się forty: Good Hope w Senya Beraku, Patience w Apam, Amsterdam w Abandze, William w Anomabu i Nassau w Moree (Mori). Wszystkie te forty, z wyjątkiem Fortu Nassau, są odnowione i udostępnione do zwiedzania z miejscowymi przewodnikami. Powstały one w okresie od drugiej połowy XVII do początku XVIII wieku. Zostały zbudowane głównie przez kolejną siłę europejską, Holandię, która zapragnęła, w ślad za Portugalczykami, handlować na Złotym Wybrzeżu. Według Alberta van Dantziga okres ekspansji holendersko-brytyjskiej przypada na lata 1600-1640, poprzedza go oczywiście okres monopolu portugalskiego (1470-1600). W drugiej połowie XVII wieku przyszedł na Złotym Wybrzeżu czas na rywalizację w sumie aż siedmiu europejskich krajów, ponieważ do gry o złoto i niewolników dołączyły Szwecja, Dania, Francja i Brandenburgia-Prusy².

Na kolejnym odcinku realizowanej przez nas trasy wybrzeża Cape Coast-Takoradi, znajduje się kilka niezwykle ciekawych fortów. W odległości około piętnastu kilometrów od Cape Coast wzniesiono słynny zamek Elmina, po którym oprowadzają zawodowi, profesjonalnie przygotowani przewodnicy, nastawieni przede wszystkim na turystów z USA, których jest w Ghanie zdecydowanie najwięcej. Uprawiają oni tzw. turystykę sentymentalną – przeważnie ze względu na pamięć o swych przodkach odwiedzają miejsca związane z niewolnictwem – forty, w których przetrzymywano i handlowano niewolnikami czy targi niewolników. Świadomi tego przewodnicy niejednokrotnie swoimi opowiadaniem mocno wzruszają tury-

² A. Dantzig, *Forts and Castles of Ghana*, Akra 1980, s. vii.

stów. Na trasach amerykańskich wycieczek znajduje się przede wszystkim zamek Elmina, pomija się mniejsze forty, to właśnie Elmina stanowi wizytówkę wszystkich fortyfikacji na Złotym Wybrzeżu. Co ciekawe, zamek został zbudowany w bardzo krótkim czasie przez sprowadzonych z Portugalii żołnierzy i rzemieślników. Do budowy użyto kamienia z półwyspu, na którym zamek był stawiany. Powstał w ten sposób rów dookoła twierdzy, który wzmacniał jej funkcję obronną. Część materiałów – zaprawę czy czerwoną cegłę wypalaną przywieziono z Portugalii, aby dokładnie zrealizować prace wykończeniowe. Nazwa Zamek Saint George została nadana na cześć patrona Portugalii. Była to i do dnia dzisiejszego jest największa fortyfikacja na Złotym Wybrzeżu. Kilkakrotnie poddawano ją przebudowie. W początkowym zamiarze twierdza miała być ostatnim przyczółkiem, z którego Portugalczycy mieli wyruszać do walki z niewiernymi, których nawracali na religię chrześcijańską z tym większym zapałem, im bardziej obawiali się napływu islamu³.

Kolejną fortyfikacją na zachód od Elminy, do której udało nam się dotrzeć był Fort São Sebastião w Shامية. Został zbudowany w 1558 roku przez Portugalczyków jako drewniany garnizon na potrzeby rozwijającego się handlu z okolicznymi plemionami. Nie był to punkt ważny strategicznie. Gdy w 1637 roku garnizon został przejęty przez Holendrów stał zupełnie opuszczony. Pod flagą holenderską stacjonował w Shامية zaledwie niewielki oddział. Fort pozostawał w rękach holenderskich aż do 1872 roku, kiedy to wszystkie posiadłości przejęli Brytyjczycy.

Z Takoradi, które zostało naszą następną bazą wypadową wyruszyliśmy zobaczyć fortyfikacje znajdujące się najdalej na zachód na wybrzeżu Ghany: Fort Oranje w Sekondi, Metal Cross w Dixcove, Batenstein w Butre, Saint Antonio w Axim oraz Gross Friedrichsburg w Princes Town. Zarówno Fort Oranje jak i Metal Cross (wcześniejsza nazwa: Metalen Kruis) zostały zbudowane przez Holendrów. Ciekawostką pozostaje, że Fort Oranje używany do tej pory jako latarnia, jest strzeżony, ale dostępny dla odwiedzających. Fort Batenstein został zbudowany przez Holendrów na wysokim wzniesieniu w wiosce Butre. Pod koniec XVI wieku Holendrzy zbudowali w Butre

³ M. Ramerini, *European forts in Ghana (Gold Coast)*, Fort São Jorge Da Mina (Elmina), www.colonialvoyage.com.

posterunek handlowy, na co Szwedzi odpowiedzieli budową niewielkiej kwatery. Przeciwwagą dla szwedzkiej kwatery było właśnie wzniesienie przez Holendrów w 1656 roku fortu na wysokim wzgórzu w Butre. Fort ten służył jednak bardziej do celów handlowych niż obronnych. Również Brandenburgia-Prusy rozpoczęła walkę o zamorskie posiadłości, aby mieć swój udział w handlu złotem, a później także niewolnikami. W 1680 roku Wielki Elektor zainicjował wyprawę do Afryki dwóch okrętów brandenburskich, w celu nabycia pierwszej zamorskiej posiadłości niemieckiej w Afryce. Założony w 1683 roku fort Gross-Friedrichsburg stał się głównym punktem handlowym Brandenburskiej Kompanii Afrykańskiej, działającej od 1682 roku w Królewcu. Jednocześnie z budową twierdzy Gross-Friedrichsburg rozpoczęto pracę nad stworzeniem kolejnych fortów. W porozumieniu z lokalnymi wodzami postanowiono założyć fort w osadzie Accada (dzisiejsza Akwida). Na niedalekim półwyspie utworzono fortyfikację Dorothea, nazwaną tak na cześć drugiej żony Elektora. Przez jej budowę Brandenburczycy naruszyli holenderskie interesy handlowe, fort bowiem zbudowano niedaleko posiadłości holenderskich (Fort Butre). W tym samym okresie rozpoczęto prace nad budową fortu w Taccarary (dzisiejsze Takoradi), około trzydzieści kilometrów na wschód od Gross-Friedrichsburg. Odbędzie się to na prośbę lokalnych mieszkańców, którzy chcieli w ten sposób ochronić się przed ewentualnymi atakami ze strony Holendrów, z którymi zerwali wszelkie porozumienia handlowe. Fort Taccarary był najbardziej oddalonym od Fortu Gross-Friedrichsburg umocnieniem. Czwartą, najmniejszą fortyfikacją była kwatera Sophie-Louise, zbudowana w pobliżu wsi Taccrama (obecnie Takrama), między Fortem Gross-Friedrichsburg a fortem Dorothea na samym Przylądku Tres Puntas (Three Points), w pobliżu miejsca, gdzie po raz pierwszy przybili do brzegu Brandenburczycy. Przylądek Three Points jest najbardziej wysuniętym w ocean punktem w Ghanie. Ukończony Fort Gross-Friedrichsburg był, razem z portugalskim fortem Elmina, najlepszą fortyfikacją na wybrzeżu⁴. Obecnie, dzięki niemieckiemu wsparciu, Gross-Friedrichsburg jest doskonale odnowiony, można go nie tylko zwiedzić, ale także wynająć tam pokój oraz skorzystać z miejscowej oferty turystycznej.

⁴ A.W. Lawrence, *Trade Castles and Forts of West Africa*, Londyn 1963, s. 52.

Najbliższym granicy z Wybrzeżem Kości Słoniowej fortem, do którego dotarliśmy, był Saint Anthony w Axim. Fort ten był drugą, po Elminie, fortyfikacją wzniesioną na Złotym Wybrzeżu przez Portugalczyków. Za rządów brytyjskich mieścił się tam lokalny urząd. Z ostatniej bazy na wybrzeżu – Takoradi ruszyliśmy do centralnej Ghany, do kraju Aszantów. Niestety nie udało nam się dojechać do Fortu Apollonia w Beyinie, położonej najbardziej na zachód fortyfikacji na wybrzeżu Ghany.

Z zachowanych do dziś w Ghanie około trzydziestu fortów udało nam się dotrzeć do osiemnastu. Z nielicznymi wyjątkami, fortyfikacje te są w bardzo dobrym stanie. Dbłość o te zabytki Ghana zawdzięcza nie tylko instytucji państwowej Ghana Museum & Monuments Board, ale także pomocy rządów Holandii, Szwecji, Danii, Niemiec czy Portugalii, o której wspominają tabliczki a czasem tylko zwykłe kartki papieru zawieszane nad głównym wejściem do fortu.

Poznanie stanu fortów i ich historii składało się na pierwszy etap wyprawy, obejmujący tereny na południu Ghany wzdłuż wybrzeży Oceanu Atlantyckiego. Zakończył się on w Takoradi, skąd wyruszyliśmy w około pięciogodzinną podróż w kierunku północnym do Kumasi. Przybycie do Regionu Aszanti, trzeciego co do wielkości z dziesięciu administracyjnych regionów kraju, prowadziło do realizacji drugiego punktu planu badawczego, jakim było zbadanie kultury jednego z wciąż najpotężniejszych ludów Afryki Zachodniej – Aszantów.

Pierwszym ku temu krokiem było rozpoznanie symboliki wszechobecnego w regionie znaków oraz tkanin *adinkra*, których umowną stolicą jest oddalona o niecałe trzydzieści kilometrów od Kumasi miejscowość Ntonso. Wszelkie informacje na temat techniki i materiałów *adinkra* otrzymaliśmy od rodziny Boakye, a przede wszystkim od Gabriela Boakye zajmującego się produkcją materiałów *adinkra*, tradycji powstałej najprawdopodobniej w XIX wieku. Wywiad z Gabrielem Boakye dotyczył poszczególnych etapów tworzenia tkanin, od sprowadzenia z północy kraju kory i korzenia baobabu, z których powstaje barwnik, poprzez tkanie materiałów i ukształtowanie z tykwy stempli z symbolami *adinkra*, po ostateczny proces zdobienia tkanin. Każdy opisany i zaprezentowany krok został udokumentowany.

Jednym z pierwszych skojarzeń przychodzących na myśl przy okazji tematu Ghany czy samych Aszantów jest sztuka tworzenia znanych w całej

Afryce tkanin *kente*. Po dokładniejsze wyjaśnienia dotyczące rangi i znaczenia tej tradycji udałyśmy się do miejscowości Adanwomase, jednego z pięciu oryginalnych królewskich (*kente stool*) źródeł *kente*. Adanwomase okazało się niezwykle prężnym i postępowym ośrodkiem, którego mieszkańcy są w pełni świadomi roli swej miejscowości w historii dworu władcy Aszanti – *Asantehene*, i którego rozwój wspierany jest z funduszy europejskich. Na miejscu organizowane są lekcje tematyczne z przewodnikiem, które dają wgląd w legendy na temat powstania Adanwomase, pozwalają przyjrzeć się pracy tkaczy *kente*, czy informują o sposobie funkcjonowania plantacji i upraw kakao i ich roli w przemyśle Ghany.

W roku 1697 ówczesny *Asantehene* wyznaczył tkaczy z czterech miast Aszanti, którzy wysłani zostali do Bontuku w Wybrzeżu Kości Słoniowej, aby pobrać dalszą naukę tkania. Byli wśród nich przedstawiciele Adanwomase. Datę tą uważa się za początek tradycji tkackiej w państwie Aszantów, gdyż wysłannicy po powrocie tworzyli szaty dla rodziny królewskiej, z czasem dodając i urozmaicając wzornictwo i technikę wykonania kreując tym samym swój własny styl. Z około pięciu tysięcy mieszkańców współczesnego Adanwomase około połowa trudni się tkactwem.

Kultura Aszantów była priorytetowym punktem naszych badań, dlatego uznaliśmy za konieczne dotarcie do ośrodków, w których można pozyskać informacje na temat historii tego ludu. Trafiliśmy choćby do Ejisu, miejsca urodzenia *Yaa Asantewaa*, królowej matki, która w 1900 roku sprzeciwiła się woli brytyjskich kolonizatorów motywując Aszantów do rozpoczęcia przeciwko nim wojny. W Ejisu znajduje się dom, w którym mieszkała królowa matka, otwarty w 2003 roku jako muzeum upamiętniające wojnę *Yaa Asantewaa*. Niestety, kilka lat temu budynek spłonął i do naszej wizyty nie został jeszcze ponownie otwarty.

Mniej więcej dwadzieścia kilometrów na wschód od Kumasi, a około dwa kilometry od Ejisu, leży Besease, a w nim *Obosomfie* – jedno z najlepiej utrzymanych sanktuariów Aszantów poświęconych mniejszym bóstwom (*Abosom*), pośrednikom między ludźmi a bogiem najwyższym. Spełniające dziś, obok rytualnych, również funkcje muzealne sanktuarium znajduje się pod opieką starszego mieszkańca Besease, który mimo iż nie posługuje się językiem angielskim, jest bardzo uprzejmym i gościnnym gospodarzem.

Pod koniec pobytu w Regionie Aszantów zawężyliśmy obszar badawczy do miasta Kumasi, przed wiekami noszącego nazwę Kwaman. „Punktami obowiązkowymi” były Ghana National Cultural Centre i znajdujące się na jego terenie Prempeh II Jubilee Museum, nazwane na cześć *Asantehene* Nana Osei Agyemana Prempeha II, który rządził w latach 1931-1970.

Pierwszym czynnikiem branym pod uwagę przy tworzeniu planu wyprawy była obecność w Kumasi w niedzielę 26 czerwca. W tym dniu miał miejsce jeden z głównych festiwali Aszantów, organizowany co 42 dni, *akwasidae*. Uroczystości odbywały się na dziedzińcu pałacu *Asantehene* Manhiya Palace i zgromadziły wodzów nie tylko z Ghany, ale z całej Afryki. Wśród osób, które oddawały cześć *Asantehene* Osei Tutu II byli wodzowie z Beninu, Czadu, Togo, a nawet z Konga. Uczestniczyli oni w zamkniętej części uroczystości odbywającej się wczesnym rankiem w pomieszczeniach pałacowych, oraz w kilkugodzinnej części publicznej. *Akwasidae* okazało się najlepszą okazją do zobaczenia *Asantehene* i osób mu towarzyszących, oraz do zetknięcia się z wciąż żywymi symbolami władzy aszantyjskiej.

Kumasi pożegnało nas intensywną burzą i silnymi opadami, ale już po południu tego samego dnia wysiadliśmy z autobusu w gorącym i słonecznym Wa. Miasteczko diametralnie różni się od tych odwiedzonych przez nas w regionach południowych i centralnych. Upper-West Region jest zdominowany przez mieszkańców wyznania mahometańskiego należących do różnych wspólnot i odłamów. Informacji o początkach ruchu Ahmadiyya w Wa udzielił nam w wywiadzie jego dyrektor na Upper-West Region na północy kraju. Jego członkowie oprócz aktywności religijnej prowadzą szkoły dla wszystkich chętnych, nie ograniczając dostępu do wyznawców Ahmadiyyi. Kilka kilometrów od głównego meczetu Ahmadiyyi w Wa, na drodze prowadzącej do miejscowości Nakori, dokąd pojechaliśmy by przyjrzeć się staremu, pięknemu meczetowi – przykładowi budownictwa w stylu sudańskim, funkcjonuje szpital założony, finansowany i zarządzany ze środków Ahmadiyyi.

Z przekazów dyrektora oddziału Ahmadiyyi w Wa wynika, iż ruch obecny jest we wszystkich regionach północnej Ghany. Częściowe potwierdzenie tych słów otrzymaliśmy już kilka dni później w Tamale, około trzysta kilometrów w kierunku zachodnim od Wa. Główny meczet Ahmadiyyi wyróżnia się tam pośród otaczających go budynków. W jego pobliżu wznosi się meczet

sekty Anbariya, sunnickiej wspólnoty, której początki ściśle wiążą się z miastem Tamale. Zmarły w 2004 roku szejik Afa Ajura, założyciel sekty, żył w Tamale i mieszkał kilkaset metrów od meczetu. Na nasze pytania o fakty z jego życia i przyczyny sławy, jaką się cieszył, odpowiadali uprzejmi i pomocni imamowie i przedstawiciele starszyny wspólnoty. Zostałyśmy oprowadzone po kampusie edukacyjnym Anbariyi, na terenie którego, w skromnym i niepozornym grobie, pochowany został założyciel sekty.

Przynależność muzułmanów do różnych wspólnot, lecz przede wszystkim współistnienie tak wielu grup etnicznych zwykle prowadzi do sporów i konfliktów. Dość poważnym problemem jest kwestia sukcesji na stanowisku *Ya-Na*, wodza ludu Dagomba licznie reprezentowanego w Regionie Północnym. Szczegóły wydarzeń sprzed dziesięciu lat, kiedy to ówczesny *Ya-Na* – Yakubu Andani II został zamordowany przez członków konkurencyjnego klanu, poznałyśmy podczas wizyty w pałacu *Ya-Na* w miejscowości Yendi, sto kilometrów na wschód od Tamale. Po rozmowie z siostrami ostatniego *Ya-Na* zostałyśmy zaproszone przez wodza-regenta, jego pierwszego syna, Kampakuya Na Abdullai Yakubu Andani. Regent otrzymał prawowity tytuł *Ya-Na* dopiero po pogrzebie swego poprzednika, a uroczystości nadania tytułu będą mogły odbyć się dopiero po osądzeniu mordercy *Ya-Na* Yakubu Andani II i wydaniu na niego wyroku.

Tradycyjna władza, choć według starszyny dziś zapominana, funkcjonuje również w Tamale w pałacu *Gulpke-Na*, nieopodal centralnego meczetu. Niestety będący w podeszłym wieku, podlegający *Ya-Na*, wódz Dagomba w Tamale podczas naszego pobytu w mieście przebywał w szpitalu w Akrze. Po dziedzincu oprowadzili nas jeden z jego wnuków oraz tłumacz-rzecznik dworu.

Oddalając się kilkaset metrów od pałacu Dagomba dotarłyśmy do hausńskiej dzielnicy *zongo*. Społeczność Hausańczyków w Tamale znana jest z produkcji przedmiotów ze skóry, czemu mogłyśmy się przyjrzeć z bliska. Poznałyśmy *sarkin zongo* w Tamale – Yahaya Salifu Magaji Gari, który znalazł czas, by przybliżyć nam realia życia Hausańczyków w Ghanie.

Dnia 1 lipca wspólnie z mieszkańcami Tamale obchodziłyśmy Dzień Republiki. Wieczorem tego dnia w Cultural Centre wyświetlany był film z 2011 roku pt.: „The Good Old Days: Papa Lasisi Good Bicycle”, którego reżyserem jest Kwaw Ansah. Seria „The Good Old Days” ukazuje społe-

czeństwo Ghany w epoce przed i po uzyskaniu niepodległości. Inny film z serii, tego samego reżysera, „The Love of AA” tłumaczy przyczyny konfliktu między Adani i Abudu, klanami Dagomba. Kolejną dawką kultury Ghany, lecz już w bardzo współczesnym wydaniu, był koncert muzyki high life „Party in the Park” zorganizowany z okazji Dnia Republiki na stadionie piłkarskim w Tamale.

Po całodziennej podróży z północy na południe, z powrotem znalazłyśmy się w gościnnym domu ojców Werbistów na McCarthy Hill w Akrze. Pozostałe do wyjazdu dni poświęciłyśmy na poznanie miejsc dla Ghany charakterystycznych – takich jak warsztaty stolarskie w Nungua, oraz stanowiących i przypominających o ghańskiej i afrykańskiej tożsamości – jak W.E.B. Du Bois Memorial Centre.

Teshie i Nungua, dwie bliźniacze miejscowości, które często wymieniane są jednym tchem jako Teshie-Nungua, oddalone kilka kilometrów od Akry przy drodze do Temy, słyną z produkcji wyjątkowych trumien. O ile informacje o niepospolitych trumnach powstających w Ghanie dotarły poza kontynent afrykański, o tyle sami mieszkańcy tych miejscowości wydawali się zdziwieni pytaniami o warsztaty. W końcu jednak udało nam się dotrzeć do szczytujących się trzydziestoletnią tradycją „unique coffin makers” w Nungua, którzy pokazali nam gotowe trumny czekające na odbiór, album z fotografiami najciekawszych sprzedanych już egzemplarzy, oraz wyjaśnili etapy produkcji takiej unikalnej trumny. W zależności od życzeń i zamożności klientów stolarze wykonują trumny w dowolnych kształtach (biblii, pistoletu, ryby, słonia, orła, taksówki, buta sportowego, itd.), które przeważnie wiążą się z zawodem lub zainteresowaniami zmarłego. Trumny wykonywane są w celu zaimponowania przybyłym na pogrzeb gościom, a ich koszt kilkakrotnie przewyższa cenę trumny tradycyjnej. Mimo to, jak twierdzą producenci, zamówień nie brakuje, ponieważ pochowanie w takiej trumnie uświetnia ceremonię pogrzebową i budzi jeszcze większy szacunek zebranych dla osoby zmarłego.

Ostatnim i podsumowującym nasze badania nad historią Ghany krokiem była wizyta w W.E.B. Du Bois Memorial Centre. Ten instytut, położony w jednej z najbardziej zamożnych dzielnic Akry gdzie mieszkał William Du Bois, jest idealnym miejscem do badań nad panafryzmem i odradzającą się w XX wieku tożsamością afrykańską. W mieszkaniu historyka,

socjologa i pisarza otwarto muzeum związane z jego twórczością, gdzie przedstawiono różne epizody z jego życia – wizyty w Chinach i Japonii oraz zainteresowanie sztuką japońską, komunistyczne sympatie. W muzeum znajduje się także okazała biblioteka osobista Du Bois, z której korzystają pracownicy Centrum w celach naukowych. W osobnym pomieszczeniu, pod sufitem ozdobionym motywem przypominającym sieć znanego z tradycji miejscowej pająka Anansi, którego cechy charakterystyczne przypisywano zasłużonemu panafrykaniście, znajduje się grób Du Bois.

Ghana to niezwykle różnorodny kraj. Ciekawe wydaje się przede wszystkim podejście Ghańczyków do historii. Z jednej strony obserwujemy nieskazitelną pamięć o prezydencie Nkrumahu, adaptowanie europejskich fortów na miejsca noclegowe i sklepiki z pamiątkami, epatowanie symbolami narodowymi na ulicy. Z drugiej jednak strony zauważamy niezwykle szacunek do tradycji – tworzenie muzeów w fortach, przekształcenie Osu Castle w Akrze na siedzibę rządu czy szacunek dla władzy i tradycyjnej hierarchii. Ciekawym jawi się także współegzystencja dwóch dominujących w kraju wyznań – chrześcijaństwa i islamu. Od pewnej kobiety w Tamale usłyszałyśmy nawet, że nasza religia, czyli chrześcijaństwo, tym jedynie różni się od islamu, że nie dokonujemy ablucji przed wejściem do kościoła, a oni – muzułmanie – tak. Natomiast o świadomości chrześcijan w Ghanie świadczyć może wypowiedź pewnej eleganckiej pani z ludu Ga, spotkanej przez nas w Akrze, która oznajmiła, że obecnie należy do kościoła adwentystów, ale nie ma to większego znaczenia, ponieważ przecież w każdej chwili może z tego kościoła wystąpić i zapisać się do innego.

Mieszkańcy Ghany starają się czerpać jak najwięcej korzyści z rozwijającej się w kraju turystyki. Zdają sobie sprawę z atrakcyjności ich położenia i kultury, co widać w takich miejscach jak zamek w Elminie oraz we wszystkich innych fortyfikacjach udostępnionych do zwiedzania, jak Park Narodowy w Kakum niedaleko Cape Coast, czy miejscowości znane z produkcji tradycyjnych tkanin *kente* i *adinkra*. Jest jednak drugie oblicze Ghany, to niedoceniane i pomijane przez turystów, jak pałac *Gulpke-Na* w Tamale czy świątynia ludu Ga w Ussher Town w Akrze – Sakumo We. Te właśnie miejsca są najistotniejsze, ponieważ nadają tradycji i kulturze Ghany autentyczności i to one stanowią najbardziej wiarygodny i najbardziej wdzięczny obszar badawczy.



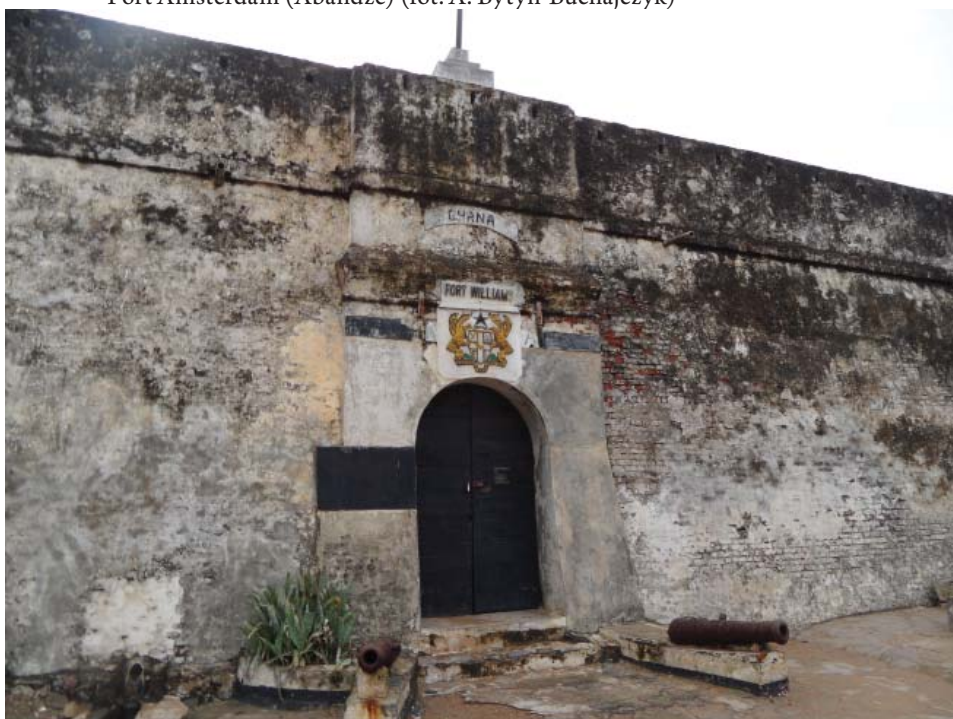
Cape Coast Castle (Cape Coast) (fot. A. Bytyń-Buchajczyk)



Cape Coast Castle (Cape Coast) (fot. A. Bytyń-Buchajczyk)



Fort Amsterdam (Abandze) (fot. A. Bytyń-Buchajczyk)



Fort William (Anomabu) (fot. M. Tobota)



Fort Nassau (Moree) (fot. A. Bytyń-Buchajczyk)



Elmina Castle - Zamek São Jorge (Elmina) (fot. A. Bytyń-Buchajczyk)



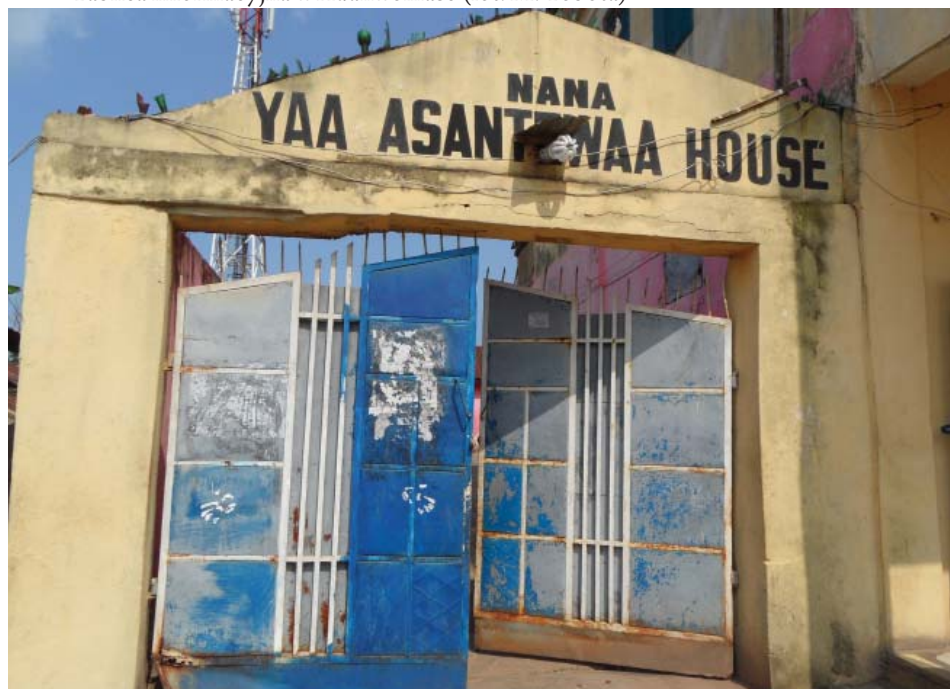
Fort Gross Friedrichsburg (Princes Town) (fot. A. Bytyń-Buchajczyk)



Spotkanie z Ya-Na Abdullai Yakubu Andani i starszyzną ludu Dagomba w Yendi (fot. M. Tobota)



Tablica informacyjna w Adanwomase (fot. M. Tobota)



Dom królowej matki Yaa Asantewaa w Ejisu (fot. M. Tobota)



Goście *Asantehene* podczas uroczystości *akwasidae*, od lewej: wódz z Czadu, Beninu, Togo i Kongo (fot. M. Tobota)



Szpital sekty Ahmadiyya w Kaleo-Wa (fot. M. Tobota)

AFRYKAŃSKIE NABYTKI MUZEUM NARODOWEGO W SZCZECINIE W OSTATNIEJ DEKADZIE – KRÓTKIE PODSUMOWANIE

EWŁA PRĄDZYŃSKA, MARTA TOBOTA

Dziesięć lat temu w materiałach wydanych z okazji 40-lecia badań Muzeum w Afryce opublikowany został artykuł o zbiorach afrykańskich Działu Kultur Pozaeuropejskich Muzeum Narodowego w Szczecinie¹. Scharakteryzowano w nim pokrótce zbiory pod kątem historii ich gromadzenia, która była nierozzerwalnie związana z wyprawami archeologicznymi oraz etnologicznymi do Afryki organizowanymi bądź współorganizowanymi przez Muzeum. W ciągu omawianych czterdziestu lat zorganizowano kilkanaście takich wypraw, a rezultaty były naprawdę imponujące, bowiem niektóre z nich przywoziły do Muzeum jednorazowo ponad tysiąc obiektów. Okres czterdziestolecia gromadzenia zbiorów zamknął się liczbą 6974 obiektów (5715 pozycji inwentarzowych).

W maju 2012 roku obchodzić będziemy pięćdziesięciolecie badań MNS w Afryce. Jest to okazja, żeby kolejny raz podsumować działalność Działu Kultur Pozaeuropejskich MNS w zakresie pozyskiwania zbiorów afrykańskich do swojej kolekcji kładąc tym razem nacisk na ostatnie dziesięć lat. Chociaż w ciągu tego dziesięciolecia pracownicy MNS wyjeżdżali wielokrotnie do Afryki, to jednak pozyskano stosunkowo niewiele obiektów w trakcie tych wypraw². Związane jest to, po pierwsze, z zupełnie odmien-

¹ E. Prądyńska, *Zbiory afrykańskie Muzeum Narodowego w Szczecinie – historia gromadzenia*, [w:] red. J. Łapott, *Afryka – 40 lat penetracji oraz poznawania ludów i ich kultur*, Szczecin 2004, s. 362-379.

² Więcej na ten temat w dalszej części artykułu.

nym od lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych charakterem wyjazdów badawczych. Od pewnego czasu pracownicy Muzeum podróżują do krajów afrykańskich samolotem, korzystając na miejscu z lokalnych środków transportu. Ogranicza to znacznie możliwości gromadzenia dużej ilości zbiorów gdyż zbyt liczne bagaże utrudniają swobodne przemieszczanie się, nie mówiąc już o problemach związanych z ich późniejszym prze-transportowaniem do Szczecina. Drugą ważną sprawą jest brak środków przeznaczanych na ten cel ze strony Muzeum. Pracownicy sami finansują swoje wyjazdy ewentualnie poszukują środków na ten cel z innych źródeł. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Dyrektor MNS tylko dwukrotnie wyasygnował kwotę na zakupy, choć jak już wspomniano wyżej, okazji ku temu było znacznie więcej³. Zdarzały się sytuacje, gdy muzealnicy za własne pieniądze kupowali w terenie zabytki, po czym Muzeum zwracało koszty owych zakupów. Ciężar kosztów związany z transportem na miejscu (tragarze) oraz potem związany z przewiezieniem paczek do Szczecina spadał już na barki pracowników dokonujących zakupów w terenie.

Biorąc to wszystko pod uwagę mogłoby się wydawać, że omawiane ostatnie dziesięciolecie będzie okresem, w którym tempo pozyskiwania zbiorów afrykańskich do Działu Kultur Pozaeuropejskich znacznie spadło. Jest jednak zupełnie inaczej. Wszystko za sprawą Oleńki i Denisa Nidzgorski-Gordier, którzy postanowili przekazać do Muzeum całą swoją kolekcję gromadzoną przez kilkadziesiąt lat w Afryce.

Oleńka i Denis Nidzgorski skończyli w Polsce studia teatralne. Początki ich zainteresowań Afryką jeszcze w latach sześćdziesiątych związane były z teatrem lalek. Oleńka obroniła we Francji pracę doktorską *Théâtre populaire de marionnettes en Afrique sudsaharienne* pod kierunkiem Denise Paulme-Schaeffner. Wiele lat pracowała w Musée de l'Homme w Paryżu. Denis uzyskał dyplom *École des Hautes Études en Sciences Sociales* broniąc pracę *Arts du spectacle africain: contributions du Gabon*. Wiele lat pracował w dyplomacji francuskiej w Afryce. Zmarł 5 września 2009 roku w Mar-

³ Jacek Łapott do 31 grudnia 2008 roku (do czasu złożenia wypowiedzenia z pracy w Muzeum) wyjeżdżał do Afryki sześć razy, Ewa Prądyńska – czterokrotnie, a raz w Afryce była zatrudniona w DKP od 1 października 2009 roku Marta Tobota.

sylii. Oleńka i Denis spędzili wspólnie kilkanaście lat w Gabonie, Beninie, Togo, Ruandzie, Nigrze. Wyprawiali się też do innych krajów afrykańskich w poszukiwaniu śladów działalności teatralnej.

Ponieważ dla naszych Ofiarodawców jest to bardzo ważne, należy podkreślić, że kolekcjonowanie czegokolwiek, a już zwłaszcza przedmiotów sztuki afrykańskiej, nigdy nie było ich celem. Stali się kolekcjonerami trochę przez przypadek. Często dostawali lalki w prezencie od lalkarzy w dowód przyjaźni, inne kupowali, aby w ten sposób pomóc artystom. Każdorazowo po powrocie z Afryki przekazywali pozyskane w ten sposób obiekty do różnych muzeów w Polsce i we Francji, uznając że jest to dla nich najbardziej odpowiednie miejsce⁴. Celem, który skłonił ich do kolekcjonowania obiektów sztuki afrykańskiej, w tym lalek, była ich praca związana z popularyzacją tego tematu. Dużo pisali na temat afrykańskiego teatru lalek chcąc uświadomić Europejczykom, że teatr afrykański istnieje i że przybiera bardzo zróżnicowane formy⁵. Okazało się, że lepiej mieć swoje obiekty, których fotografie można swobodnie publikować, niż każdorazowo zwracać się do różnych muzeów o udostępnienie materiałów.

O. i D. Nidzgorski wybrali Muzeum Narodowe w Szczecinie jako najbardziej godne miejsce dla swojej kolekcji, gdyż instytucja ta jako jedna z niewielu w Polsce prowadzi własne badania w Afryce i gromadzi kolekcje eksponatów z tego kontynentu. O. Nidzgorski zwrócił uwagę na afrykańskie zbiory szczecińskiego Muzeum kilkanaście lat temu dzięki wzmiance o kolekcji dogońskiej MNS, która ukazała się w polskiej prasie. W tym czasie była wykonawczynią testamentu Denise Paulme-Schaeffner – wiel-

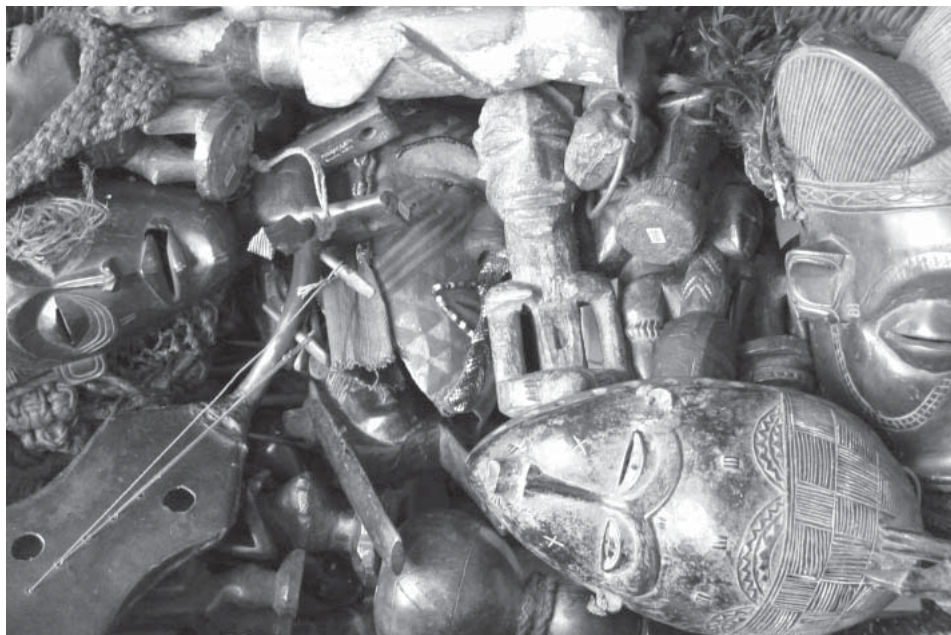
⁴ M.in. w ten sposób kilka lalek pozyskało Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie.

⁵ Zob. m.in.: O. Darkowska-Nidzgorski, *Celui qui possède la magie*, „Puck”, t. 3, 1990, s. 78-84; Idem, *Maître de la magie et des ombres: le marionnettiste africain*, „Études théâtrales”, t. 6, 1994, s. 9-18; Idem, *La marionnette africaine dans son identité traditionnelle et très moderne*, „Cahiers de littérature orale”, nr 38, 1995, s. 29-55; Idem, *Théâtre populaire de marionnettes en Afrique sudsaharienne*, Bandundu: Centre d'études ethnologiques, 1980; O. Darkowska-Nidzgorski, D. Nidzgorski, *Marionnettes et masques au coeur du théâtre africain*, Sépia 1998; D. Nidzgorski, *Arts du spectacle africain: contributions du Gabon*, Bandundu: Centre d'études ethnologiques, 1980.

kiej francuskiej afrykanistki, która dużą część swojego zawodowego życia poświęciła zgłębianiu kultury Dogonów. O. Darkowska-Nidzgorski zaczęła korespondować z Jackiem Łapottem – ówczesnym kierownikiem Działu Kultur Pozaeuropejskich MNS. Przekazała w tym czasie do muzealnej Biblioteki liczne, rzadkie w Polsce publikacje dotyczące Afryki Zachodniej⁶. Po latach tej znajomości, Oleńka i Denis Nidzgorski podjęli decyzję o przekazaniu swojej kolekcji do Szczecina – „Jesteśmy teraz pewni, że to co nam drogie znajdzie się w dobrych rękach” – napisali w jednym ze swoich listów. Trzeba podkreślić tutaj rolę jaką odegrał Jacek J. Pawlik SVD, wieloletni przyjaciel państwa Nidzgorski, który był wielkim zwolennikiem idei przekazania kolekcji szczecińskiemu Muzeum. 8 września 2006 roku, podczas wizyty w Szczecinie, O. i D. Nidzgorski podpisali list intencyjny, w którym wyrazili wolę przekazania MNS swojej kolekcji, w skład której wchodzić miał zbiór lalek i marionetek, masek, rzeźb, instrumentów muzycznych oraz przedmiotów codziennego użytku w liczbie około dwóch tysięcy sztuk. Kolekcja miała być sukcesywnie przekazywana w ciągu najbliższych dwóch lat. Warunkiem ofiarowania kolekcji Muzeum Narodowemu w Szczecinie było zachowanie jej w całości w zbiorach tej instytucji.

Pierwsza ofiarowana część kolekcji, licząca 624 eksponaty została przekazana w darze MNS aktem notarialnym w dniu 24 sierpnia 2007 roku. Główny jej trzon stanowił liczący blisko pięćset sztuk zespół marionetek i lalek afrykańskich nieobecny do tej pory w tak znaczącej ilości w zasobach muzealnych. W kolekcji znalazły się lalki pochodzące z Mali, Nigru, Nigerii, Wybrzeża Kości Słoniowej, Togo, Ghany, Beninu, Demokratycznej Republiki Konga, Republiki Konga, Gabonu, Kamerunu, Tanzanii, Ruandy, Tunezji, Senegal, Burkina Faso, Madagaskaru, Angoli, Republiki Południowej Afryki. Jest to bardzo bogaty zbiór, różnorodny pod względem pochodzenia poszczególnych lalek, roli jaką pełniły w społeczeństwach afrykańskich, pod względem sposobu ich animacji, materiału z którego zostały wykonane. Jednym co łączy obiekty wchodzące w jego skład jest fakt, że wszystkie w jakimś stopniu ożywają podczas afrykańskich rytuałów czy przedstawień. Niektóre z pozyskanych przedmiotów dziś są już unikatami. Poza lalkami

⁶ J. Łapott, *Z życia Muzeum*, „Materiały Zachodniopomorskie”, t. 45, 1999, s. 663-665.



Obiekty przywiezione z Marsylii w 2011 roku (fot. E. Prądyńska)

i marionetkami w pierwszej turze trafiły do MNS również liczne obiekty z Ruandy (Tutsi i Hutu) oraz bogaty zbiór przykładów współczesnej twórczości afrykańskiej: obrazy, afisze, tkaniny. W skład ofiarowanego zbioru weszła także bogata dokumentacja fotograficzna i filmowa.

Szybko okazało się, że przekazanie całości w ciągu dwóch lat – tak jak to planowano na początku – będzie niemożliwe. Dość długo trwały prace związane z inwentaryzacją nowo pozyskanych obiektów, a równocześnie przeciągały się czynności mające na celu przygotowanie kolejnej partii obiektów do transportu. Ostatecznie, 30 czerwca 2011 podpisując akt darowizny w Marsylii, Oleńka oficjalnie przekazała Muzeum kolejne eksponaty ze swojej kolekcji w ilości 563, z czego 548 pochodziło z Afryki. W tym ogromnym zbiorze znalazły się rzeźby drewniane (w tym fetysze, lalki płodności, lalki wróżebne, rzeźby w stylu *colon*, maski) pochodzące z Tanzanii (Kwere, Sucuma, Nyamwezi, Makonde), Demokratycznej Republiki Konga (Lega, Luba, Pende, Songye, Mangbetu, Chokwe), Burkina

Faso (Mossi, Lobi, Bobo), Togo (Ewe), Kamerunu (Fali), Ghany (Aszanti, Fanti), Nigerii (Yoruba, Ibibio), Mali (Bambara, Dogon), Wybrzeża Kości Słoniowej (Baule) oraz pojedyncze egzemplarze z Ruandy, Beninu, Gwinei, Senegal. Oprócz rzeźb drewnianych do Muzeum trafiły też rzeźby gliniane, m.in. z Kamerunu (Tikar), z pogranicza Nigru i Mali, Czadu (kultura Sao), Ruandy (Twa) oraz kamienne, m.in. z Gwinei (Kissi), Demokratycznej Republiki Konga, Nigru. W kolekcji znalazły się też tzw. przedmioty codziennego użytku: tabliczki koraniczne z Nigru, stołki z Burkina Faso, płacidła z Demokratycznej Republiki Konga, butle drewniane na mleko z Ruandy, broń (noże, siekierki, noże rzutne) z Tanzanii, Nigru (Tuareg, Hausa), Demokratycznej Republiki Konga, ozdoby (głównie ludów Tuareg i Peul-Bororo) oraz instrumenty muzyczne (dzwonki, gwizdki, flety, gongi, harfy) z Demokratycznej Republiki Konga, Wybrzeża Kości Słoniowej, Nigru, Ruandy, Kamerunu, Nigerii.

Oprócz bogatego zbioru przedmiotów pochodzących z Afryki Muzeum wzbogaciło się o niezwykle dokumentację związaną z osobą D. Paulme-Schaeffner. Znajdują się w niej fotografie rodzinne oraz zdjęcia z badań prowadzonych w Afryce, liczna korespondencja D. Paulme-Schaeffner m.in. z Claudem Levi-Straussem, Michelelem Leirisem, Mary Douglas, Williamem Faggiem, listy męża D. Paulme-Schaeffner, znakomitego muzykologa, Andre Schaeffnera do jego matki i ciotki pisane w czasie trwania misji Dakar-Djibouti. Cała ta dokumentacja to naprawdę spory kawałek historii światowej afrykanistyki.

Do tej pory O. i D. Nidzgorski przekazali do Muzeum 1179 obiektów pochodzących z Afryki, niemniej lista nabytków Działu Kultur Pozaeuropejskich w ostatnim dziesięcioleciu na tej liczbie się nie zamyka. Do powiększenia kolekcji afrykańskiej przyczynił się też brat Denisa – Adam Nidzgorski, oddając Muzeum w 2007 roku jedenaście obiektów.

Po wyodrębnieniu darów O. i D. Nidzgorski oraz A. Nidzgorskiego, kolekcja pozaeuropejska MNS w ostatniej dekadzie wzbogaciła się dodatkowo o 177 eksponatów. Przeważają wśród nich obiekty proveniencji zachodnio – i południowoafrykańskiej.

Najstarszymi obiektami ze wspomnianych 177 jest kolekcja jedenastu sztuk broni białej używanej w XIX wieku w Niemieckiej Afryce Wschodniej – najprawdopodobniej w Tanganice, dzisiejszej Tanzanii. Zbiór składający

się z ośmiu włóczni, dwóch noży rzutnych oraz topora został zakupiony w grudniu 2009 roku w szczecińskim antykwariacie „Secesja”, dokąd został sprzedany przez niemieckiego myśliwego.

Na XIX wiek, a dokładniej na rok 1880, datowana jest misa zdobiona ornamentem punktowym stanowiąca fragment kolekcji po Leopoldzie Janikowskim, która została w 2002 roku przekazana do zbiorów pozaeuropejskich przez Dział Etnografii Pomorza Muzeum Narodowego w Szczecinie. Kolekcja po L. Janikowskim – uczestniku wyprawy Stefana Szolc-Rogosińskiego, trafiła do Muzeum zaraz po wojnie. W jej skład wchodziły obrazy przedstawiające S. Rogosińskiego, K. Tomczaka, statek „Łucja Małgorzata”, przedmioty codziennego użytku, meble, okazy przyrodnicze, fotografie, listy. W tym czasie w ówczesnym Muzeum Pomorza Zachodniego nie było jeszcze odrębnego Działu Kultur Pozaeuropejskich i kolekcja została podzielona między kilka działów. W latach osiemdziesiątych starano się całości przenieść do zbiorów DKP, jednak nie do końca się to udało. Niektóre przedmioty wpisane w inwentarze innych działów nie zostały odpowiednio opisane i dziś trudno już je zidentyfikować, inne jak np. wspomniane wyżej obrazy, mimo wysiłków pracowników DKP, nadal pozostają w zbiorach, którymi opiekuje się Dział Sztuki Współczesnej. Być może kiedyś uda się zebrać całość i wtedy pozostałe obiekty zostaną wpisane do inwentarza DKP.

Inne eksponaty opatrzone numerem większym niż MNS/AF/5715, który stanowi swoistą granicę przy omawianiu obiektów nabytych przez DKP w mijającym dziesięcioleciu, wykonane zostały w XX i XXI wieku. Maską z Wybrzeża kości Słoniowej o numerze inwentarzowym MNS/AF/5715, przekazana została uroczystie przez Adolfa Wysockiego, przedstawiciela Linii Żeglugowych Euroafrica, na ręce dyrektora Muzeum Narodowego Lecha Karwowskiego podczas konferencji zorganizowanej przez MNS z okazji 40-lecia badań w Afryce MNS w 2002 roku.

Najliczniejszym zbiorem, zakupionym przez DKP w 2002 roku, jest kolekcja sześćdziesięciu przedmiotów będących przedstawieniem kultury ludów Herero i Himba, przywiezionych z trzymiesięcznej wyprawy Anny Łukawieckiej i Marka Kasprzyka do Namibii. W przypadku ludów Herero i Himba najbardziej reprezentatywnym elementem ich tradycji są stroje, a intrygującym tematem geneza ubioru oraz jego kontrastowość.

Wbrew wnioskowi jakie można by było wysunąć na podstawie historii obecności Niemców na obszarach zamieszkałych przez Herero, która nacechowana była bezwzględnością i okrucieństwem, zarówno kobiety jak i mężczyźni Herero przejęli i pozostali do dziś pod wpływem niemieckiej mody. Przykłady pięknych, długich sukien z bufiastymi rękawami oraz nakrycia głowy stylizowane na rogi bydląt – symbolu, który zakorzeniony jest w tradycji Herero od XIV wieku – należących do kolekcji A. Łukawieckiej i M. Kasprzyka znajdują się dziś w zbiorach MNS. Pierwotną wersję strojów Herero – tych sprzed zetknięcia się ze stylem niemieckim, można sobie uzbudzić patrząc na ubiór ludności Himba. Ich okrycia, w głównej mierze wykonane ze skóry, pozostały przez wieki niezmienione a ich tradycja nienaruszona obcymi oddziaływaniami⁷.

W kolekcji zakupionej od A. Łukawieckiej i M. Kasprzyka oprócz przedmiotów Herero i Himba znalazło się 21 obiektów z Zambii, głównie od przedstawicieli ludu Lozi. W sumie za sprawą tego zakupu Muzeum wzbogaciło się o 81 eksponatów z południa Afryki.

Wśród omawianych tu nabytków ostatniego dziesięciolecia na tle całego kontynentu afrykańskiego wyróżniają się przedmioty z Afryki Zachodniej. Składają się na nie m.in. zabytki zakupione od Lucjana Buchalika. Za jego pośrednictwem do Muzeum trafiła kompletna maska (ze strojem i szczydlami) ludu Dogon przedstawiająca kobietę Peul-Bororo (2002), sześć sztuk tkanin *kente* oraz *adinkra* z obszarów Ghany zamieszkałych przez ludy Akan (2006), oraz trzynaście eksponatów z Kamerunu, a wśród nich maska słonia ze strojem, rzeźby przodków, torby i naczynia (2009).

Zakupy i dary są naturalnym sposobem pozyskiwania obiektów muzealnych, lecz nie mniej cennymi są dla Muzeum eksponaty przywożone z wypraw badawczych. Wśród zabytków z ostatniego dziesięciolecia nie brakuje obiektów przywiezionych z badań terenowych w Afryce przeprowadzanych przez pracowników MNS, jednak skala tego zjawiska w porównaniu z poprzednimi dekadami, jak już wspomniano o tym wyżej, znacznie zmalała.

⁷ A. Łukawiecka, M. Kasprzyk, *Pozostałości kultury niemieckiej XIX wieku we współczesnej kulturze Namibii na przykładzie stroju ludu Herero*, [w:] red. J. Łapott, *Afryka – 40 lat penetracji oraz poznawania ludów i ich kultur*, Szczecin 2004, s. 284n.

Dziś zabytki przywożone z badań w terenie liczone są nie w setkach, czy wręcz tysiącach, lecz w dziesiątkach.

Siedemnaście nowych obiektów pozyskało Muzeum w 2005 roku dzięki wyprawie etnologicznej „Ambasira 2005”. Zorganizowane wspólnie przez Muzeum Narodowe w Szczecinie oraz Muzeum Miejskie w Żorach badania objęły wybrane obszary Kamerunu i Czadu. Wśród zakupów wyprawy „Ambasira” znalazły się trzy maski z Kamerunu i Gabonu, które są prezentowane na stałej wystawie MNS „Sztuka Afryki – między maską a fetyszem”.

W 2007 roku ówczesny kierownik Działu Kultur Pozaeuropejskich MNS, Jacek Łapott, uczestniczył wraz z Maciejem Ząbkim z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego w wyprawie w ramach grantu „Etniczna struktura ludności Południowego Kordofanu. Zmiany w wyniku migracji i przesiedleń przymusowych”. Po zakończeniu badań w ówczesnym Sudanie, J. Łapott odwiedził Etiopię, Ugandę i Ruandę, skąd przywiózł do Muzeum osiem masek.

Ewa Prądyńska z Działu Kultur Pozaeuropejskich również przywoziła do Muzeum obiekty pozyskiwane podczas badań w Mali. Z wyprawy w 2008 roku przywoziła kilka zabytków reprezentujących kulturę ludu Dogon, wśród nich m.in. dwie maski, które dziś pokazywane są na wspomnianej już ekspozycji „Sztuka Afryki – między maską a fetyszem”. Z Mali też pochodzi jedenaście kolejnych obiektów, w tym m.in. maska *sirige* i maska *calao* Dogonów i trzy maski ludu Bamana, które zostały zakupione w trakcie badań terenowych w 2009 roku w ramach realizacji grantu J. Łapotta „Dogonowie z Mali (Afryka Zachodnia) – społeczność tradycyjna w warunkach globalizacji”.

W księdze inwentarzowej zabytków afrykańskich MNS znaleźć można ponadto pojedyncze pozycje, jak choćby osiem obiektów z Wybrzeża Kości Słoniowej podarowanych przez Jean-Claude’a Koffiego, trzy maski przekazane przez Danutę Szydłowską, czy dwa groty włóczni z Sudanu pozyskane od Wiesława Jaszczyńskiego. Sumę 177 uzupełniają zakupy od Piotra Szuszkiewicza (trzy obiekty z Tanzanii), Bożeny Kopery-Buchalik (również trzy przedmioty, tym razem z Wybrzeża Kości Słoniowej), czy Andrzeja Błażyńskiego (nóż z Sudanu).

Podsumowując: kolekcja afrykańska w ostatnim dziesięcioleciu powiększyła się o 1367 sztuk obiektów zajmujących 1357 pozycji inwentarzowych.

Ostatni numer w inwentarzu muzealiów afrykańskich to 7072. Choć era wielkich wypraw już się skończyła, to jednak dzięki takim ludziom jak Oleńka i Denis Nidzgorski oraz innym Ofiarodawcom, kolekcja muzealna nadal się powiększa. Miejmy nadzieję, że przy okazji sześćdziesięciolecia badań MNS w Afryce również będziemy mogli pochwalić się takimi cennymi zdobyczami.



Oleńka i Denis Nidzgorski-Gordier w czasie wizyty w Szczecinie (fot. J. Łapott)



Maski *mapiko* (Makonde, Tanzania) z kolekcji O. i D. Nidzgorski-Gordier
(fot. E. Prądyńska)



Lalki i marionetki z kolekcji O. i D. Nidzgorski-Gordier (fot. D. Nidzgorski)